

Jerzy Edigey

# Człowiek z blizną



DETEKTYW

Jerzy Edigey

# Człowiek z blizną



© Copyright Jerzy Edigey

Projekt graficzny serii:

Pracownia Graficzna Dąbrowa

Współpraca: Wojciech

Piotr Kwiatek

ISBN: 83-60192-02-2

Wydanie pierwsze w serii **DETEKTYW**

I wyd.,

ISKRY,

Klub Srebrnego Klucza,

Warszawa 1970

Wydawca:

Przedsiębiorstwo Wydawnicze „Rzeczpospolita” S.A.

Warszawa 2005

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

### ***Lekcja matematyki***

Gdzieś daleko czekały psy. Noc była jasna, ale chłodna. Jak to zwykle bywa w drugiej połowie września. W Dąbrowie Zakościelnej już wszystkie domy stały ciemne. Nic dziwnego. Minęła godzina jedenasta, a nazajutrz, jak zwykle, dzień ciężkiej pracy. Ogławianie buraków cukrowych, kopanie kartofli, zwózka buraków do pobliskiej cukrowni w Ciechanowie. A dzień krótki i trzeba go jak najlepiej wykorzystać.

Tylko w nowym budynku, wzniesionym na samym końcu wsi, przy drodze do Ciechanowa, świeciło się w dwóch oknach. Żarówka nad wejściem oświetlała owalną tablicę z orłem i napisem:

#### **POSTERUNEK MILICJI OBYWATELSKIEJ W DĄBROWIE ZAKOŚCIELNEJ**

Duży pokój przedzielała przez całą jego długość metrowa barierka. Od strony drzwi wejściowych stały dwie długie ławy. Po drugiej stronie barierki dwa zsunięte razem stoły, kilka krzeseł. Telefon. Na ścianach godło państwa i urzędowe portrety. Drzwi w głębi pokoju opatrzone były tabliczką: Komendant posterunku.

Przy jednym ze stołów siedział mężczyzna w rozpiętym i dość już podniszczonym mundurze z dystynkcjami starszego sierżanta MO.

Był to człowiek po czterdziestce. Szpakowate włosy, zaczesane do góry, prosiły się wprost o nożyce fryzjera. Owalna twarz pokryta była gęstą siecią zmarszczek. Czy były to ślady dawnych przeżyć, czy też po prostu powstały wskutek brzydkiego zwyczaju sierżanta – krzywienia się przy czytaniu?

Człowiek w mundurze miał przed sobą otwartą książkę i rozłożony zeszyt. Długopis leżał w zasięgu ręki. Sierżant czytał półgłosem, jak to często czynią ludzie, żeby lepiej zrozumieć trudny tekst:

*Trapez równoramienny ma podstawy  $a$ ,  $b$ ;  $a$  większe od  $b$ . Jakie powinny być ramię  $p$  i wysokość  $h$  tego trapezu, aby można było wpisać weń okrąg?*

– Cholera – zaklął uczący się – ale wymyślili. Nic nie można zrozumieć.

Znowu przeczytał tekst zadania i na jego wyrazistej twarzy widać było, że trudności nie znikają. Wpatrywał się w książkę. Zmarszczki zarysowały się jeszcze wyraźniej. Powtarzał prawie na pamięć: *Trapez równoramienny...*

Za drzwiami dał się słyszeć odgłos kroków i brzęk metalu. Ktoś wprowadzał i stawiał pod ścianą rower. Za chwilę do pokoju wszedł inny milicjant. Znacznie młodszy, z odznakami kaprała. Oparł się wygodnie o barierkę.

– Objechałem nie tylko naszą wieś, ale byłem także w Zaciszu i Lubotyni. Wszędzie spokój. Wszystko w porządku.

- Sklepy zamknięte? Sprawdzaliście?
- Sprawdzalem. U nas i w Lubotyni jak się patrzy. Na dwie kłódki i na antabę. Ale w Zaciszu na jedną, a antaby ciągle nie ma. Kłódka taka, że kawałkiem żelaza w minutę ukręci.
- Mam już dosyć tego Łupieżowca! Ile to razy mu mówiłem, że sklep musi mieć odpowiednie zabezpieczenie? A on mi się w nos śmiał, że jego nie okradną. Zrobię protokół i pošlę na kolegium w Ciechanowie. Jak mu palną z tysiąc złotych grzywny, wtedy zmańdrzeje.
- Ee... – skrzywił się kapral. – To za ostro. Wstąpiłem do niego i pytam, dlaczego znowu sklep niezabezpieczony odpowiednio. Tłumaczył, że trzy miesiące temu zamówił antabę i okucia do drzwi w spółdzielni w Ciechanowie, a jeszcze mu nie zrobili. Prosił, aby powiedzieć komendantowi, że ma ładny materiał na mundurki dla dzieci, taki, jakiego pani komendantowa szukała. Odłożył kilka metrów. Niech komendant jutro tam wstąpi. A komendant to się tylko uczy i uczy.
- Dobrze ci się śmiać, kiedy sam skończyłeś szkołę. A ja muszę odrabiać zaległości z dawnych lat. Matura za kilka miesięcy, a teraz tyle nam nawalili materiału do przerobienia, że aż głowa puchnie!
- Mnie tam w szkole nauka łatwo szła.
- Bo młody jesteś. Nie to, co ja. Z wiekiem coraz trudniej. Sam się przekonasz.
- Wystarczy mi to, co umiem.

- Jak byłem młody i głupi, mówiłem słowo w słowo to samo.
- Bo tak prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego tak wam się zachciało tej matury, za przeproszeniem, na stare lata.
- Zachciało! Masz papierek w kieszeni i wszystkie drzwi otwarte. Posłużysz tu w Dąbrowie Zakościelnej jeszcze ze dwa, trzy lata i wezmą cię gdzieś do miasta. Będziesz chciał, pojedziesz do Szczytna, do szkoły oficerskiej, i za kilka lat ja, stary, będę musiał ci salutować. A nie spodoba ci się służba w milicji, to skończysz jakieś inne kursy albo zapiszesz się na zaoczne studia i pracę znajdziesz wszędzie. A ja? Teraz jestem komendantem trzyosobowego posterunku w niedużej wsi, a przed osiemnastu laty byłem kierownikiem komendy powiatowej.
- Tu? W Ciechanowie?
- Nie. Daleko stąd. W takim jednym mieście nad Odrą.
- I co? Miał komendant dyscyplinarkę?
- Nie. Po prostu wtedy, w latach czterdziestych, kiedy zakładano się na Ziemiach Zachodnich placówki milicji, to brano każdego, kto chciał, był odważny i miał trochę sprytu. Później przychodzili ludzie wykształceni, fachowcy z oficerskimi stopniami. Niedługo i na takie posterunki będą wyznaczali tych ze szkoły w Szczytnie. A takim starym niedobitkom jak ja, co pozostanie? Tylko iść na rentę albo na jakieś jeszcze bardziej podrzędne stanowisko. Tak, tak, czasy się zmieniają, dzisiaj bez specjalnego wykształcenia daleko nie

zajedziesz. Dlatego najpierw muszę zrobić maturę.

- A potem jeszcze szkoła w Szczytnie?
- Chciałbym. Ale czy mnie przyjmą?
- Rozmawiał komendant z majorem?

– Kiedyś mu napomknąłem. Major porządny chłop, pewnie by mi przeszkód nie stawiał. Oczywiście nie na dwa lata do Szczytna, lecz na ten trzyletni zaoczny. Bo na zwykłą szkołę jestem za stary. Ale major sam nie decyduje. On może jedynie postawić wniosek. Wiadomo, kandydatów jest zawsze znacznie więcej niż możliwości. Nawet komenda wojewódzka musi się dobrze gimnastykować, żeby możliwie najlepiej rozdzielić przyznane im miejsca.

- Major w takiej sprawie może jednak dużo zrobić.
- Ale czy zechce?
- Dlaczego nie?

– Stary jestem. Czterdzieści pięć lat już włązi na kark. Z punktu widzenia służby korzystniej jest wysuwać młodszych. Nikt tego głośno nam, starym pracownikom aparatu, nie powiedział, ale ja sam dobrze wiem, że tak jest. Mają zresztą rację.

- Ale komendant ma tyle lat służby! Dwa krzyże i kilka medali.
- To wszystko się liczy. Ale czy wystarczy? A te krzyże i przestrelone przez jakiegoś upowca kulą płuca, to już stara historia. Są młodzi, którzy mają świeższe zasługi.



– Słyszałem, że na odprawie komendant wojewódzki mówił o naszym posterunku. Powiedział, że to najlepszy w całym powiecie.

– No to co z tego? Nie sztuka być komendantem trzyosobowej placówki. W okolicy ludzie spokojni. Pracują na roli, dobrze im się powodzi. Co tu do roboty? Pilnować, żeby sklepy gminnej spółdzielni Samopomocy Chłopskiej były zamykane na solidne kłódki i uważać, żeby chłopaki na weselu nożami się nie porznęli. W ten sposób nie wyróżnisz się. Nie tak jak ten plutonowy, który w Warszawie sam jeden przyprowadził w nocy czterech bandytów do komendy wojewódzkiej. Taki, wiadomo, jeżeli zrobi maturę, od razu trafi do szkoły oficerskiej. A poza tym chłop młodszy jest ode mnie o prawie 20 lat.

– Słyszałem o tym Ożogowskim. Czytałem w „Trybunie”. Miał dużo szczęścia, że te bandziory nie znały Warszawy. Myśleli, że go wykończą w bocznej uliczce, a nie wiedzieli, że tam właśnie mieści się komenda wojewódzka. Tylko dlatego mu się udało.

– W każdym bądź razie karku nadstawiał. Braku odwagi nie można mu zarzucić. A opinię dobrą sobie wyrobił.

– Komendant też ma dobrą opinię. Na pewno nie będzie żadnych kłopotów z przyjęciem do szkoły.

– O tym nie ma co teraz gadać. Najważniejsza w tej chwili matura. Żeby przez nią przebrnąć! A to nie takie proste.

– Gdzie mieści się ta szkoła? Tyle razy byłem w Ciechanowie i nigdy jej nie widziałem.

– Niedaleko stacji kolejowej. Przy ulicy Wyzwolenia. I nie szkoła, ale liceum korespondencyjne dla dorosłych – w głosie starszego sierżanta słychać było odcień dumy. – Taki trudny teraz program, że sam nie wiem, jak to będzie z tym egzaminem. Na przykład dzisiaj... Czytam i czytam, a zrozumieć nie mogę. Słuchaj: *Trapez równoramienny ma podstawy a, b, a większe od b*. Siedzę nad tym już przeszło godzinę i nie mogę ruszyć z miejsca.

Kapral sięgnął przez barierkę po książkę, wziął ją i uważnie przeczytał tekst zadania.

– Niech komendant spróbuje najpierw narysować trapez równoramienny – zaproponował.

– To już dawno zrobiłem. Ale co dalej?

– Dalej? Wiadomo, że w czworokąt można wpisać okrąg tylko wtedy, jeżeli suma jednej pary boków przeciwległych jest równa sumie drugiej pary boków przeciwległych. Jasne?

– Psiakrew – sierżant podrapał się w głowę. – Zupełnie wyleciało mi to z pamięci. Ale co z tego? Ciągle niewiele rozumiem.

– Pomyślcie, komendancie – kapral był wyraźnie zadowolony, że może uczyć swojego szefa. – W tym przypadku wiemy już, że  $2p$

$$= a + b, \text{ czyli} \\ p = \frac{a + b}{2}.$$

– No tak – zgodził się sierżant – ale to nam nic nie daje.

– Przeciwnie. Jeżeli teraz komendant przeprowadzi dwie proste prostopadłe do podstawy trapezu, to podzielił one ten trapez na trzy części. Prawda?

Sierzant wziął do ręki ołówek i uzupełnił rysunek dwiema liniami.

– Mamy więc – młody kapral coraz bardziej się zapalał – jeden prostokąt i dwa trójkąty prostokątne. Jednocześnie dzielą one dolną podstawę  $a$  na trzy części, z których środkowa jest równa  $b$ ; ponieważ dwie pozostałe części też są wzajemnie równe, więc każda z nich równa się  $\frac{a-b}{2}$ .

– No tak – przytaknął komendant posterunku MO w Dąbrowie Zakościelnej – to się zgadza.

– Proszę teraz spojrzeć na jeden z otrzymanych trójkątów. Jego przeciwprostokątna  $p$ , jedna z przyprostokątnych  $h$ , druga  $\frac{a-b}{2}$ .

– Zgadza się – stwierdził starszy sierżant.

– Jeżeli teraz zastosujemy twierdzenie Pitagorasa, otrzymamy:

$$h^2 = p^2 - \left(\frac{a-b}{2}\right)^2$$

podstawiając za  $p$  wartość poprzednio otrzymaną, po wykonaniu rachunków dostajemy:

$$h^2 = \left(\frac{a+b}{2}\right)^2 - \left(\frac{a-b}{2}\right)^2 = ab,$$

czyli

$$h = \sqrt{ab}$$

Twarz sierżanta rozjaśnił uśmiech.

– Rozumiem – powiedział – w trapez równoramienny o podstawie  $a$  i  $b$  można wpisać okrąg, jeżeli ramię trapezu jest średnią arytmetyczną, zaś wysokość  $h$  średnią geometryczną obu podstaw, czyli:

$$p = \frac{a+b}{2} \quad h = \sqrt{ab}$$

– Doskonale – ucieszył się kapral.  
– Bez ciebie nigdy bym tego nie rozwiązał.  
– Na pewno komendant dałby sobie sam radę. To nie takie trudne zadanie.

– Dobrze ci tak mówić, kiedy masz maturę i już uczyłeś się tego wszystkiego.

Starszy sierżant spojrział na zegarek.

– Dochodzi dwunasta – stwierdził. – Idź, połóż się w moim pokoju na leżance. Ja jeszcze pouczę się ze trzy godziny. Kiedy skończę, to cię obudzę.

– Dlaczego komendant uczy się po nocach? W dzień lepiej wchodzi do głowy.

– Możliwe – zgodził się sierżant – ale w domu żona i troje dzieci. Poza tym w dzień zawsze są jakieś sprawy do załatwienia. W nocy spokój, nic nie przeszkadza. Przyzwyczailem się przez te kilka lat. Do maja, do matury wytrzymam. Żeby tylko zdać. Ale ty masz głowę! Nie od parady.

- Matematyka w szkole zawsze mi najłatwiej przychodziła.
- Żebyś tak znał regulamin służby!
- To trudniejsze.

- Wolałbym jednak zdawać z regulaminu – powiedział sierżant.
- No, ale prześpij się ze dwie godzinki.

Kapral wyszedł. Starszy sierżant przez pewien czas powtarzał rozwiązane już zadanie, starając się jak najlepiej je zrozumieć, a potem wziął się za następne. Ale nie było sądzono komendantowi posterunku MO w Dąbrowie Zakościelnej starszemu sierżantowi Stanisławowi Chrzanowskiemu spędzić tej nocy na nauce matematyki, a kapralowi Mikołajowi Kacperkowi przedzemać kilka godzin podarowanych mu z dyżuru nocnego przez szefa. Nagle drzwi się otworzyły i do dyżurki wszedł mężczyzna w jasnym prochowcu. Był bardzo zmęczony. Pot spływał mu z twarzy.

- Co się stało, sołtysie?

Przybyły milczał, szeroko otwartymi ustami chwycił powietrze. Wreszcie zdołał wykrztusić:

- Napad! Obrabowano sklep geesu! Sklepowa nie żyje. Zamordowana.

- Michalakowa? Niemożliwe!

- Michalakowa – sołtys mówił już prawie normalnym głosem.
- Zastrzelili ją i zabrali wszystkie pieniądze ze sklepu.

- Kiedy to się stało?

- Zawiadomili mnie przed godziną. Feliksiak wracał z Ciechanowa i zauważył, że w sklepie pali się jeszcze światło, a drzwi są otwarte. Zajrzał, Michalakowa leżała na podłodze. Chciał ratować, ale już nie żyła. Więc przybiegł po mnie. Kiedy to zobaczyłem, zaraz wsiadłem na rower. Tak się do was spieszyłem, że tchu nie mogłem

złapać. Dostała dwie kule. W samo serce. Od razu było po niej. Znam się na tym. Niejednego takiego zastrzelonego widziałem na wojnie.

Starszy sierżant nie stracił głowy. Napad zbrojny i zabójstwo – tego w swojej praktyce jako komendant posterunku w Dąbrowie Zakościelnej nie miał, ale wiedział, co robić. Podniósł słuchawkę telefonu i energicznie zakręcił korbką. Wprawdzie wszystkie aparaty telefoniczne w małych miejscowościach czynne są jedynie w czasie urzędowania poczty, ale milicja ma stałe połączenie z centralą w mieście powiatowym. Więc i teraz Chrzanowski mógł rzucić polecenie:

- Z komendą powiatową MO.

- ...

- Oficer dyżurny? Tu posterunek w Dąbrowie Zakościelnej. Chrzanowski przy aparacie. W tej chwili otrzymałem meldunek, że we wsi Grabienice Małe dokonano napadu na sklep gminnej spółdzielni. Prowadząca sklep Antonina Michalakowa została zastrzelona. Zameldowanie złożył sołtys wsi Grabienice Paweł Majorek. Jest tutaj na posterunku. Sam widział, że Michalakowa nie żyje. O pomocy nie ma mowy.

Sierżant wysłuchał odpowiedzi i na zakończenie powtórzył:

- Tak jest. Zrozumiałem. Natychmiast udaję się na miejsce zbrodni. Zabezpieczę ślady. Będę czekał na przyjazd ekipy śledczej. Biorę ze sobą jeszcze jednego człowieka. Kaprała Kacperka.

Kapral widocznie nie zdążył jeszcze usnąć, bo zwabiony rozmową o tak niezwyklej porze wszedł do dyżurki i usłyszał ostatnie słowa komendanta.

– Pojedziemy motorem?

– Tak. Do Grabienic przeszło sześć kilometrów. Przygotujcie maszynę. Po drodze obudzimy Lisowskiego, żeby przyszedł na posterunek. Będziemy na miejscu przed ekipą z Ciechanowa. Zanim oni się zbiorą i dojadą po tych piachach, upłynie z półtorej godziny. Niestety, sołtysie, nie możemy was zabrać ze sobą, bo motor bez wózka.

– Wróć, jak przyjechałem, na rowerze, ale teraz nie będę tak się spieszył.

– Jak to było?

– Co wiedziałem, to już powiedziałem. Feliksiak zawiadomił mnie o napadzie. Zobaczyłem, że kierowniczką sklepu nie żyje, więc jak najszybciej pognąłem do was na posterunek. Tam kobiety próbowały ratować Michalakową, ale nic jej nie pomoże ani ksiądz, ani lekarz.

– Wszystkie ślady zادةpczą – zmartwił się sierżant.

– Jakie tam ślady? Po prostu strzelili do niej i zabrali pieniądze.

Kacperek, nie słuchając dalszej rozmowy, wybiegł z pokoju. W pół minuty potem na ulicy rozległ się warkot zapuszczanego motoru. Sierżant zapiął mundur, założył pas z pistoletem i, nie gasząc światła w budynku, wyszedł na dwór. Kapral czekał na motocyklu przed wejściem.

Komendant zajął miejsce na tylnym siodełku i ruszyli.

Sołtys Majorek ciężko wsiadł na swój rower i popedałował za milicjantami.

We wsi Dąbrowa Zakościelna znowu zapanowała cisza, bo nawet psy, umęczone ujadaniem, usnęły w swoich budach.



## ROZDZIAŁ DRUGI

### *Na miejscu zbrodni*

Domy wsi Grabienice Małe rozsiadły się wzdłuż drogi na prawie kilometrowym odcinku. Na zachodnim krańcu osady, tym położonym najbliższej, dużej wsi Niedźbórz, gminna spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej wybudowała przed trzema laty dość duży sklep, połączony z okazałym magazynem na opał i nawozy sztuczne. W lecie magazyn ten służył także jako punkt skupu zboża. Budowa sklepu w Grabienicach, o wiele mniejszych od Niedźborza, była przez długi czas solą w oku mieszkańców tej miejscowości. Musieli się jednak pogodzić. Po prostu grabieniczanie ubiegli swoich najbliższych sąsiadów i ofiarowali nie tylko plac pod budowę sklepu, ale również włożyli w ten obiekt sporo pracy społecznej. Żeby skończyć sąsiedzkie waśnie, powiat zdecydował, że kolejna nowa szkoła – tysiąclatka powstanie właśnie w Niedźborzu. O sklep – orzeczono – nie ma się co targować, bo od krańca Grabienic do pierwszych domów Niedźborza jest niecały kilometr, a zatem nawet mniej niż niektórzy grabieniczanie mają do swojego geesu.

Kiedy Kacperek przejeżdżał motorem przez wieś, we wszystkich prawie oknach paliły się światła. – Już wiedzą o napadzie – stwierdził sierżant.

– A co komendant myślał? Założę się, że cała wieś zebrała się przed sklepem.

Kapral nie mylił się. Już z daleka reflektor motocykla oświetlił spory tłumek, kręcący się wokół białego budynku. Obaj milicjanci zsiadli z motoru i nie bez trudu przepychali się w stronę wejścia.

– Ludzie, rozejdźcie się! – nawoływał sierżant. – Tu nie ma nic ciekawego! Nie widzieliście umarłego, czy co? Jutro rano przecież trzeba iść do roboty, w pole.

Tłumek rozstępował się, przepuszczając przybyłych, ale nikt się nie kwapił do domu. W izbie sklepowej tak ciasno, że o wejściu tam jeszcze dwóch osób nie mogło być nawet mowy.

– Natychmiast opuścić sklep! – powtórzył energiczniej sierżant.

Wezwanie nie odniosło najmniejszego skutku. Chrzanowski, stojąc przed drzwiami, powtórzył je, a widząc, że nic nie pomaga, po prostu złapał za kołnierz dwóch chłopaków i zdecydowanym ruchem wyciągnął ich ze sklepu. Za przykładem szefa poszedł i kapral, który wypchnął następnych paru ciekawskich. Reszta, widząc, że milicja nie żartuje, acz niechętnie, zaczęła wychodzić ze sklepu. Kiedy zostało w nim tylko kilka kobiet i dwóch mężczyzn, Chrzanowski mógł się nareszcie rozejrzeć po miejscu zbrodni.

Całą tylną ścianę zajmowały, jak to zwykle bywa w każdym sklepie, sięgające aż pod sufit półki wypełnione różnymi towarami. Na ladzie, obok wagi uchyłnej, ułożone były arkusze papieru i spora kupka bilonu, przeważnie pięciozłotówki. Na ławce pod ścianą

leżała na wznak Michalakowa. Ktoś przysłonił twarz zmarłej białą chustką. Sierżant zbliżył się do zabitej i zdjął to nakrycie.

Michalakowa miała około pięćdziesiątki. Była rosłą, dość tęgą kobietą. Czarne włosy starannie zaczesane, jak gdyby prosto od fryzjera. Na twarzy zmarłej ciągle jeszcze malował się wyraz ogromnego zdziwienia. Zdawałoby się, że nawet po śmierci nie może uwierzyć w swój zgon. Niebieski sweterek poplamiony był z lewej strony piersi zastygającą już krwią. Sołtys Paweł Majorek nie mylił się. Napadnięta zginęła natychmiastową śmiercią. Morderca miał pewną rękę i umiał celować. Strzelał, żeby zabić.

Starszy sierżant dobrze znał energiczną sklepową i jej historię. Wdowa po wójcie z Krasnego nie chciała siedzieć na łaskawym chlebie u dorosłej córki, która przejęła ojcowską gospodarkę. Skończyła jakieś kursy dla sprzedawców i następnie pracowała przez dwa lata w Ciechanowie, w sklepie przy ulicy Pułtuskiej. Przed trzema laty objęła nowo uruchomiony sklep w Grabienicach Małych. Tutaj spotkała ją śmierć.

– Tak ją znaleźliście? – zapytał sierżant jedną z kobiet. Znał ją. Była to żona sołtysa.

– Ale skądże! – oburzyła się sołtysowa. – Leżała, biedaczka, przy kontuarze. A oczy miała otwarte, jak żywa. Ale już była martwa, kiedy tu przybiegłam za moim starym.

– To dlaczego ją ruszaliście? – oburzył się milicjant.

– Jak to? Trzeba było dać pomoc chrześcijańskiej duszy. Przenieśliśmy ją na ławę i zamknęli oczy.

– A przy tym zatarli wszystkie ślady.

– O, co to, to nie! – oburzyły się kobiety – żadnych śladów tu nie było. U nas, w Grabienicach, bruki są dobre, błota nie ma. Także samo zebrałyśmy porozrzucane po całej podłodze papiery i pieniądze i położyłyśmy na blacie kontuaru. Możemy przysiąc, że ani żaden grosz, ani jeden świstek papieru nie przepadł. I nic innego ze sklepu nie zginęło, odkąd tu jesteśmy.

Sierżant złapał się za głowę. Prowadź dochodzenie w takiej sytuacji!

– Pani była pierwsza? – zwrócił się do Majorkowej.

– Tak – kobieta była dumna, że udziela informacji. – Kiedy tylko Feliksiak przybiegł do mojego starego, że Michalakową zabili, zaraz tu przyszedłam. Chciałam ją ratować, niebogę. Ale nic nie mogło jej pomóc.

– Jak wyglądał sklep?

– Ona leżała na podłodze przy kontuarze. Koło niej te papiery. Jak upadła, to pewnie się zsunęły. Krzesło przewrócone, a szuflada, w której zawsze trzymała pieniądze, wyciągnięta i porzucona na środku sklepu. Naokoło niej i w szufladzie te drobniaki. Kiedy zobaczyłam, że Michalakową oddała ducha, to przenieśliśmy ją na ławkę i pobieraliśmy papiery i pieniądze. Szufladę włożyłam na swoje miejsce. Ale nie wiedziałam, czy schować te papiery...

– Dobrze, że nie zdążyliście Michalakowej pochować – mruknął pod nosem kapral Kacperek, a głośno zapytał: – A dlaczego wpuściliście tu tyle ludzi?

– A miałam im zabraniać? Michalakową każdy szanował, bo porządna kobieta była, więc też jak się po wsi rozniosło, że nie żyje, to każdy chciał ją zobaczyć. Widoku im żałować?

– No dobrze – zgodził się sierżant – ale proszę, niech teraz wszyscy wyjdą. Zaraz tu przyjadą z komendy w Ciechanowie.

Kiedy ostatnia z kobiet, a była nią oczywiście pani sołtysowa, opuściła sklep, sierżant zwrócił się do swojego podwładnego.

– Zdążyli nie tylko ślady zatrzeć, ale jeszcze i posprząta! Co za ludzie! – westchnął. – Zdaje się, że będę oczyma świecił ekipie z Ciechanowa, bo kto winien? Naturalnie Chrzanowski, ponieważ nie dopilnował dochodzenia.

– Może by pogadać z tym Feliksiakiem? On pierwszy tu był.

– Słusznie – sierżant podszedł do drzwi. Tłumek przed sklepem ani myślał się rozejść. Przeciwnie, ludzi było teraz chyba więcej niż przed półgodziną.

– Jest tu Feliksiak? – zawołał Chrzanowski.

– Jestem – odpowiedział jakiś głos.

– Chodźcie tutaj – polecił sierżant.

Z grupki stojącej przed sklepem wysunął się wysoki, szczupły mężczyzna. Jasne włosy miał nieco rozwichrzone nad czołem. Nosił ciepłą popielatą kurtkę, sięgającą prawie do kolan, ciemne spodnie i wysokie buty z cholewami. W ręku, nie wiadomo dlaczego, trzymał bicz.

– Jak to było, panie Feliksiak?  
– Ano wracam z Ciechanowa i przejeżdżam koło sklepu. Było już dobrze ciemno. Prawie po dziewiątej, ale na zegarek nie patrzyłem. Widzę, że w sklepie pali się światło i drzwi są otwarte, tak jak teraz.

– Jechaliście z Ciechanowa od tej strony? – zdziwił się sierżant.  
– Przecież na Ciechanów jedzie się przez Modłę, Chotum i Gąski.

Chłop nieco się zmieszał, ale zaraz wyjaśnił.

– Można i tak, a można szosą do Czeruchów, a stamtąd przez Niedźbórz. Dalej, ale droga lepsza. A poza tym miałem interes do jednego z Niedźborza.

– Do kogo?

– Do Adama Olszewskiego.

– A jaki to był interes?

– Jego grunta leżą koło moich. Chciałem, żebyśmy od poniedziałku razem zaorali. W dwa konie łatwiej i prędej.

– Co było dalej?

– Kiedy zobaczyłem światło, myślę sobie: Michalakowa jeszcze w sklepie, to wstąpię i kupię papierosy, bo swoich zapomniałem u Olszewskiego. Podchodzę do drzwi, a tu na środku sklepu leży szuflada i naokoło niej pieniądze.

– Bilon czy papierki?

– Bilon. Papierków nie było. Myślałem, że ktoś włamał się do sklepu, jak w przeszłym roku w Budach Sułkowskich. Dopiero kiedy zrobiłem dwa kroki, zobaczyłem Michalakową za ladą. Krew na

piersi. Dotknąłem, jeszcze ciepła była, ale już bez życia. Wskoczyłem na furmankę, zaciąłem konia batem i pojechałem do sołtysa. Potem konia na podwórze wprowadziłem i sam przybiegłem tu z powrotem.

– Co robiliście w Ciechanowie?

– Odstawiłem tam dwa wieprzki i brałem wysłodki z cukrowni.

Bo buraki już zdałem w przeszłym tygodniu.

– Tak od rana do nocy zeszło wam przy tych wysłodkach?

– Ee, tyle to nie... – zgodził się Feliksiak.

– Kiedy przyjechaliście do Niedźborza, do Olszewskiego?

– Jeszcze za widna. Było koło piątej.

– Długo namawialiście go na to wspólne oranie?

Chłop się uśmiechnął.

– Sierżant sam rozumie, sprzedało się dwa wieprzki, trzeba było wypić kapinkę.

– Z Olszewskim?

– To mój krewniak. Przez żonę. Zasiedziałem się, a tu noc już przysła.

– Jak jechaliście tutaj, spotkaliście kogo?

– Na szosie dużo. Nawet by nie zliczył. A od Czeruchów chyba nikogo.

– Chyba czy nikogo? Przecież na tej drodze zawsze duży ruch.

– Ja tam nie wiem – przyznał szczerze Feliksiak. – Koń zna drogę, to sam jechał, a mnie trochę zmogło. Obudziłem się, kiedy

wóz wjechał na bruk w Niedźborzu.

- A z Niedźborza do Grabienic też spaliście?
- Nie spałem, ale nikogo nie widziałem. Słyszałem tylko, jak ktoś jechał na motorze. Cisza była, to daleko niesło.
- Z której strony?
- Jakby jechał na Łebki.
- Od Grabienic?
- Chyba tak, bo głos się oddalał. Kiedy podjeżdżałem do wsi, już go nie słyszałem.

Sierżant Chrzanowski znowu podszedł do drzwi sklepu. Tłumek ciekawskich cierpliwie czekał. Nikt nie poszedł spać.

– Czy ktoś z mieszkańców Grabienic jeździł dzisiaj motorem po zmierzchu?

– Ja jeździłem – młody człowiek stanął w świetle padającym od otwartych drzwi.

- Kiedy i dokąd?
- Do jednej dziewczyny z Czarnocinka.
- Kiedy wróciłeś?
- Przed ósmą byłem w domu. Ojciec może zaświadczyć.
- Pewnie, że mogę. Był w domu, panie władzo – odezwał się ktoś z tłumu.
- A wy, Feliksiak, słyszeliście ten motor przed ósmą?
- Nie, z godzinę potem. O ósmej byłem jeszcze u Olszewskiego. Dobrze pamiętam, bo słuchaliśmy w radiu dziennika. Wyjechałem po wiadomościach sportowych. A poza tym wyraźnie



słyszałem motor od strony Łebków. Droga na Czarnocinek jest dalej. Bardziej na południe. Tam zaraz rośnie las. Motoru by nie było słuchać.

Błysnęły światła reflektorów. Za chwilę przed sklepem zatrzymała się warszawa. Wsiadł z niej porucznik Lewandowski, za nim lekarz z Ciechanowa i dwóch milicjantów z ekipy śledczej, fotograf i daktyloskopograf; obaj z niezbędnymi przyborami.

Porucznik rozejrzał się po sklepie i wysłuchał raportu starszego sierżanta. Lekarz pochylił się nad zmarłą.

– Dwie kule – powiedział. – Jedna na pewno musiała przebić lewą komorę serca. Zgon natychmiastowy. Resztę będę mógł powiedzieć dopiero po sekcji. Zginęła między ósmą a dziesiątą wieczorem.

– Dlaczego nie dopilnowaliście, sierżancie – złośliwie się porucznik – żeby tu nikt nie wchodził i niczego nie ruszał? Teraz szukaj wiatru w polu.

– O przestępstwie zostałem zawiadomiony dopiero za dziesięć dwunasta. Od razu przekazałem meldunek do komendy powiatowej i przyjechałem do Grabienic Małych. Ale jak ustaliłem, zbrodnię popełniono około dziewiątej. Obywatel Feliksiak wykrył przestępstwo po dziewiątej. Zawiadomił sołtysa. Ludzie przybiegli ratować Michalakową, a dopiero później, kiedy przekonali się, że sklepowa nie żyje, sołtys pojechał mnie zawiadomić. Z Grabienic do Dąbrowy Zakościelnej jest prawie siedem kilometrów ciężkiej, piaszczystej drogi. Ze dwa kilometry trzeba rower prowadzić. Motorem też nie wszędzie mogliśmy przejechać. Kiedy tu dotarłem, w sklepie było

pełno ludzi, a zmarła została przeniesiona i ułożona na ławce. Pobierano rozrzucone na podłodze pieniądze i papiery.

– W tej sytuacji – zauważył technik daktyloskopii – nie mam tu nic do roboty.

– W takim razie ja zrobię jedynie fotografię zabitej i wnętrza sklepu – uzupełnił fotograf.

– Dobrze – zgodził się porucznik Lewandowski. – Spiszemy teraz tylko krótki protokół i opieczątujemy sklep. Jutro, a właściwie dzisiaj rano, przyjedzie karetka i zabierze ciało. Ja też przyjadę i przesłucham jeszcze raz sołtysa, jego żonę, obywatela Feliksiaka i może inne osoby. Powiedzcie, sierżancie, tym ludziom przed sklepem, żeby rozeszli się do domów, a jeżeli ktoś coś zauważył czy ma coś do powiedzenia, niech przyjdzie o dziewiątej do domu sołtysa. Tam będę prowadził dochodzenie. Was, sierżancie, również chciałbym widzieć na miejscu.

– Tak jest – sierżant wyszedł na dwór i ogłosił postanowienie oficera milicji. Ludzie zaczęli się powoli rozchodzić.

– Gdzie mieszkała Michalakowa? – zapytał porucznik Lewandowski.

– Ona była samotna – wyjaśnił sołtys, któremu sierżant polecił się zatrzymać. – Kiedy budowano ten sklep, zrobiono na górce małe mieszkanko, pokój z kuchenką. Tam umieszczono sklepową. To było bardzo wygodne i dla niej, i dla kupujących. Kobieta była ludzka i nawet kiedy ktoś się spóźnił, otwierała sklep, żeby klienta obsłużyć.

- To te papiery leżały na podłodze koło zabitej?
- Tak – potwierdził sołtys. – Przenieśliśmy Michalakową na ławę, a wszystkie papiery żona zebrała i położyła na kontuarze, żeby nic nie zginęło.

Porucznik wiedział z własnej praktyki, że byłoby zupełnie bezowocne i poniewczasie tłumaczenie świadkom, iż nie powinni dotykać ani zmarłej, ani dokumentów, a swoim czynem bardzo utrudnili śledztwo. Milczał więc i przeglądał arkusze. Były to po prostu raporty kasowe z kolejno zapisywanymi sumami utargów i wypełniony już blankiet wpłaty pieniędzy na konto. Zaznaczona była suma 47 tysięcy 800 złotych i obok adnotacja „utarg sklepu w dniach 18-25 września”.

- Taki duży? – zdziwił się oficer milicji.
- Sklep dostał ostatnio sporo nawozów sztucznych. Przywieźli też cement i węgiel. Ludzie po żniwach mają pieniądze, to każdy wolał od razu się zaopatrzyć. Dlatego zebrało się tyle pieniędzy w tym tygodniu. Zazwyczaj bywa dużo mniej.
- A gdzie te pieniądze?
- Jutro z rana wybierałem się do Ciechanowa. Michalakowa miała przynieść mi gotówkę, żebym wpłacił w banku. Zawsze tak robimy. Pewnie siedziała wieczorem i przygotowywała wszystko do wpłaty, kiedy wszedł ten, co ją zabił. W ubiegły czwartek pojechała razem ze mną, bo miała różne sprawy do załatwienia, ale najczęściej sam wpłacam, jak jestem w mieście.

– Ciekawe, skąd bandyta wiedział, że w tym tygodniu jest taki duży utarg...

Sołtys nie odpowiedział.

– Ja tam nie wiem – wybąkał po chwili. – We wsi wiedzieli, że towar przyszedł. Ale żeby ktoś ze swoich podniósł na Michalakową rękę, nigdy nie uwierzę. To już prędzej ktoś z Niedźborza.

– Zastanowimy się nad tym za widna – rzekł porucznik – a teraz opieczętujemy drzwi do sklepu i te na górę, do mieszkania Michalakowej. Później zrobi się szczegółową rewizję. Sprowadzimy z Ciechanowa biegłych, żeby przeprowadzili remanent. A może te pieniądze są w mieszkaniu Michalakowej?

– Bardzo w to wątpię – wtrącił kapral Kacperk – to na pewno morderstwo rabunkowe. Kto by zabijał Michalakową dla innego powodu niż pieniądze?

– Ja też tak przypuszczam – zgodził się Lewandowski – ale przecież wystarczyło sterroryzować ją pistoletem, a nie od razu mordować.

– Może nie chciała oddać pieniędzy? Albo znała zabójcę?

Wiele przypuszczeń było do rozszyfrowania. Na razie jednak opieczętuwano drzwi paskami papieru i porucznik polecił kapralowi Kacperkowi pełnić wartę przed sklepem, a sam wraz z ekipą dochodzeniową odjechał do Ciechanowa. Sierżant podwiózł sołtysa do jego domu i zawrócił w stronę Dąbrowy Zakościelnej. W drodze powrotnej nie myślał już, w jaki sposób wpisać okrąg w trapez, ale zastanawiał się nad tym, kto mógł wiedzieć, że sklep w Grabienicach Małych ma taki duży utarg.

Znalezienie mordercy zależało w dużej mierze od tego, czy dochodzenie potrafi odpowiedzieć na to pytanie oraz na kolejne: kto jechał wieczorem na motorze w kierunku wsi Łebki? Mógł to właśnie być przestępca, ale mógł też być i mieszkaniec sąsiedniej wioski, który odwiedzał znajomych albo dziewczynę.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### *To był diabeł*

Już przed szóstą starszy sierżant gnał na motorze w stronę Grabienic Małych. Jeszcze przed przyjazdem porucznika Lewandowskiego zamierzał wyjaśnić sprawę tajemniczego motocykla, który według zeznań Feliksiaka miał jechać w kierunku wsi Łębki. Wczesnym rankiem, zanim mieszkańcy wsi udadzą się w pole, trzeba było porozmawiać z możliwie największą liczbą ludzi, przede wszystkim z posiadaczami pojazdów mechanicznych. Feliksiak jedynie przypuszczał, że to był motocykl, a w rzeczywistości mogło jechać jakieś auto albo ciągnik. Gospodarz, który tak sumiennie oblewał sprzedaż swoich wieprzków, mógł się przestyszeć.

Łębki to wieś mniejsza od Grabienic Małych, które chociaż mają w nazwie słowo „małe”, w gruncie rzeczy są sporą osadą. W Łębkach było siedem motocykli i dwa ciągniki. Ani jednego samochodu. Wszyscy właściciele tych pojazdów kategorycznie oświadczyli, że nie używali ich poprzedniego wieczoru. Również nikt nie zauważył obcego motoru, którym przejeżdżano by przez wieś.

Ciekawe natomiast zeznanie złożyły siostry Irena i Anna Gacówny. Obie panny wracały od przyjaciółki późnym wieczorem. Po wpół

do dziesiątej. A mieszkały na samym prawie krańcu wsi. Słyszały one odgłos motoru jadącego od strony Grabienic Małych, ale chociaż zaciekawione wyszły na środek drogi, nie widziały świateł tego pojazdu; według wersji dziewcząt, nie dojeżdżając do Łebków, skręcił on w boczną drogę, którą można było dotrzeć do wsi Unikowo, a stamtąd do szosy ciechanowskiej.

Obie dziewczyny twierdziły, że gdyby motocykl miał zapalone światła, to musiałyby je zauważyć, ponieważ warkot motoru rozlegał się zupełnie blisko, a droga jest tutaj równa i prowadzi pomiędzy gruntami uprawnymi. Nie ma żadnych drzew ani krzaków. Ścieżka do Unikowa zaczyna się jakieś sto metrów przed Łebkami.

Niewiele się namyślając, starszy sierżant skręcił na tę polną dróżkę, którą można dojechać do wsi Unikowo. Widniało na niej wiele śladów: odciski kół rowerowych, motocykli, a nawet traktorów. A że deszcz nie padał od przeszło tygodnia, nie sposób było odróżnić starszych śladów od powstałych ostatniej nocy.

Wywiad w Unikowie nie dał żadnych rezultatów. Trakt: Pokrytki-Niedźbórz-Unikowo-Czeruchy był drogą o dość dużym natężeniu ruchu. Jeździły tędy autobusy PKS, samochody ciężarowe wożące przez całą dobę buraki z miejsc skupu do cukrowni ciechanowskiej, a także wiele innych pojazdów, w tym, oczywiście, najwięcej motocykli. Mieszkańcy Unikowa mogli tylko potwierdzić, że ubiegłego wieczoru przez wieś przejechało kilkanaście różnych pojazdów. Ale jakie? Skąd i dokąd? Nikt nie zwracał na to uwagi.

W Grabienicach sierżant Chrzanowski odwiedził kolejno wszystkich właścicieli motocykli. Nie polegał na swojej wczorajszej rozmowie z ludźmi zgromadzonymi wokół sklepu, ale każdemu zmotoryzowanemu zadawał pytania z osobna. Okazało się jednak, że po godzinie ósmej wieczorem nikt z nich nie ruszał się z domu. Zeznania te potwierdzili inni mieszkańcy wsi; ani jeden motor nie przejeździł jedyną wiejską ulicą. A więc sprawa tajemniczego motocykla nie została wyjaśniona. Dlaczego ów człowiek, wyjeżdżając z Grabienic czy też z najbliższych okolic wsi, zatoczył półkole? Jeżeli jechał do Ciechanowa, to nie musiał omijać wsi Łebki. A jeżeli chciał dostać się na trakt Pokrytki-Czeruchy, to najbliższa wygodna droga wiodła właśnie przez Grabienice i Niedźbórz. Po co po nocy tłukł się polną ścieżką, co było tym dziwniejsze, że nie palił świateł? Gdyby nawet miał je zepsute, rozum dyktował wybór właśnie lepszej drogi.

Wszystko natomiast doskonale pasowało do siebie, jeżeli założy się, że człowiek na motocyklu był mordercą uciekającym z miejsca zbrodni. Wtedy wybór trasy i brak świateł stają się doskonale zrozumiałe.

Przed ósmą rano przyjechał do Grabienic porucznik Lewandowski wraz ze swoimi ludźmi oraz z ekipą z Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni. Przybyła także karetka, która zabrała ciało zamordowanej do Ciechanowa, do miejscowego szpitala dla przeprowadzenia sekcji zwłok.

Oficer milicji dokonał przede wszystkim szczegółowej rewizji lokali sklepowych oraz mieszkania zmarłej. W sklepie, poza niewielką



sumą w bilonie na kontuarze, odkryto jeszcze kilka monet, które potoczyły się pod półki. Żadnych innych pieniędzy nie było. W mieszkaniu Michalakowej, w jej torebce i pod bielizną w szafie, znaleziono w banknotach i w bilonie łącznie 1947 złotych oraz książeczkę PKO z wkładem ponad 18 tysięcy złotych. Ostatnia wpłata nosiła datę prawie sprzed miesiąca. Nie znaleziono jednak kwoty, na jaką opiewał wypełniony już blankiet wpłaty bankowej, to jest 47 800 złotych. Czy poza tym w sklepie czegoś brakowało, mógł wykazać dopiero remanent, a do niego zabierali się przedstawiciele geesu.

Porucznik wysłuchał raportu sierżanta o poszukiwaniach motocykla, kwitując uwagę:

– Mogło być tak, jak mówicie. Przestępca mógł rzeczywiście schować gdzieś w pobliżu wsi motocykl i uciec nim po dokonaniu zbrodni. Najdziwniejszy w tej całej historii jest fakt, iż ten człowiek doskonale wiedział o pęcznej kasie sklepowej, pełnej pieniędzy, których nazajutrz już by tam nie było. To świadczy o jakimś powiązaniu zbrodniarza z miejscowym środowiskiem, ze wsią Grabienice Małe lub Niedźborzem. Przecież przestępca mógł po rabunku uciec motorem w stronę wsi Łebki, a potem zatoczyć pełne koło i przez Unikowo wrócić do Grabienic.

– Nie, żaden z motocykli, jak sprawdziłem, nie był wczoraj wieczorem używany. Wyjazd motorem lub powrót nim w nocy nie uszedłby uwadze sąsiadów.

– A w Niedźborzu?

– To już trudniej sprawdzić – przyznał sierżant – bo trakt Pokrytki-Czeruchy jest bardziej uczęszczany. Nikogo tam nie dziwi przejazd motocykla lub samochodu.

– A więc mordercy należy szukać najpierw w Niedźborzu. Dowiedźcie się, sierżancie, czy któryś z mieszkańców wsi, mający motor, nie pożyczał go wczoraj komu innemu. Jak wskazuje praktyka, przestępcy najczęściej posługują się pojazdami kradzionymi lub pożyczonymi. Nie można też wykluczyć, że bandyta pożyczył motor w innej wiosce lub od kogoś z Ciechanowa. Albo nawet posługiwał się własnym. Przecież to nie zawodowiec, ale amator, który nie zastanawiał się nad wszystkimi problemami zbrodni, chociaż drogę ucieczki zaplanował bardzo sprytnie. Pojedźcie zaraz do Niedźborza i sporządźcie pełną listę właścicieli motocykli i samochodów oraz zrobicie wywiad, których z tych pojazdów używano wczoraj. Spróbujemy też zdjąć odlewy śladów opon, jakie znajdują się na ścieżce z Łebków do Unikowa. W razie identyfikacji któregoś z nich z oponami posiadaczy motorów w Niedźborzu nie będzie to wprawdzie druzgocący dowód, ale w każdym razie bardzo poważna poszlaka.

Chrzezanowski już się zbierał wykonać polecenie, kiedy zdarzyło się coś, co całkowicie zmieniło kierunek dochodzenia. Oto do oficera milicji zgłosiła się mieszkanka wsi, obywatelka Maria Grzęda, prowadząca za rękę bardzo wylężkioną córeczkę.

– Przyprowadziłam małą – oświadczyła pani Grzęda – bo ona od rana wygaduje jakieś głupstwa. Nie puściłam jej do szkoły, bo pomyślałam, że może panom się nada to, co dziecko opowiada. No,

powiedz panom o tym diable, którego wczoraj widziałaś.

Mała milczała, jakby ją zamurowało.

Porucznik Lewandowski wyjął z kieszeni kilka cukierków. Oficer milicji wiedział, że jadąc na jakąkolwiek akcję na wieś, nie można zaniedbać kontaktów z dziećmi, a droga do nich prowadzi przez słodycze. Dzieci wprawdzie wielu spraw jeszcze nie rozumieją, ale są spostrzegawcze i mogą oddać dochodzeniu ogromne usługi. Teraz też, zamiast zadawać pytania dziewczynce, poczęstował ją cukierkami. Mała nie chciała wziąć.

– No weź, jeżeli pan daje – interweniowała matka.

Dziewczynka wzięła cukierek, rozwinęła go z papierka i włożyła do ust.

– Smakuje? – dopytywał się porucznik.

– Uhm – mruknęła dziewczynka i nagle powiedziała: – Tatus przywiózł mi takie same z Ciechanowa. Ale w zielonych papierkach.

– Na drugi raz postaram się, aby papierki były zielone – z powagą obiecał Lewandowski i, starając się ośmielić małą, spytał: – A jak ci na imię?

– Haneczka Grzędzianka – dziewczynka nabierała coraz więcej odwagi.

– To ty, Haneczko, wczoraj widziałaś diabła?

– Dwa diabły – poważnie odpowiedziało dziecko.

– A skąd wiesz, że to były diabły?

– Bo takie same chodziły z Herodem na Boże Narodzenie.

– Masz rację – zgodził się oficer milicji – to na pewno były diabły. A gdzie ich widziałaś?

– Stały przed sklepem pani Michalakowej i zaglądały w okno.

– A ty co tam robiłaś?

– Ja wracałam od Paulinki z Niedźborza.

– Tak późno? Już po ciemku?

– Hanka wróciła do domu prawie o dziewiątej – wyjaśniła matka. – Chciałam jej dobrze przyłożyć za to włóczenie się po nocy, ale ojciec ją wybronił. Jeszcze raz tak zrobi, to popamięta ruski miesiąc.

– Bo najpierw myśmy się z Paulinką bawiły, a później robiłyśmy lekcje. Kiedy skończyłyśmy, było zupełnie ciemno. Pani od arytmetyki zadała nam takie trudne rzeczy. Kazała narysować w zeszytcie trapez.

– Trapez? – podchwycił starszy sierżant Chrzanowski. – To rzeczywiście bardzo trudne – dodał z całym przekonaniem. – Może równoramienny?

– Ja nie wiem – szczerze przyznała Haneczka.

– Już dzieci tak męczą! – mruknął sierżant. Był wyraźnie niezadowolony z programu nauczania w szkole podstawowej w Niedźborzu.

– Jeszcze cukierka? – porucznik podsuwał słodczyce.

Tym razem Haneczka nie kazała się długo prosić.

– Więc jak to było z tymi diabłami?

– Wracałam od Paulinki z Niedźborza i przechodziłam drogą. Było ciemno. Trochę się bałam. Patrząc, w sklepie okna oświetlone, a

pod oknem stoją dwa diabły i zagłąda do środka. Bardzo się przestraszyłam i zaczęłam biec do domu.

– To prawda – potwierdziła matka. – Kiedy Hanka przyszła do chałupy, była cała czerwona i zgrzana. Nie chciała nic jeść na kolację.

– A mówiłaś mamie o tych diabłach?

– Nie mówiłam. Bałam się.

– Kogo się bałaś? Mamy?

– Mama krzyczała, że tak późno wróciłam do domu, ale bałam się diabłów, żeby nie przyśniły mi się w nocy.

– Aha... – powiedział ze zrozumieniem porucznik. – Ale się nie przyśniły?

– Nie – potwierdziło dziecko.

– To już na pewno się przyśnią. Już ich tu nie ma. Możesz więc, Haneczko, śmiało mówić, jak wyglądały.

– Teraz mogę – zgodziła się dziewczynka. – Od rano mamusi wszystko opowiedziałam o tych paskudnych diabłach. To one porwały panią Michalakową do piekła.

– Jezus, Maria! – pani Grzęda aż się przeżegnała – co ta dziewczyna dzisiaj wygaduje. Pani Michalakowa umarła i jest już z aniołkami.

– Ale diabły przyszły po nią wczoraj – upierało się dziecko.

Pani Grzęda chciała ostro zareplikować, ale starszy sierżant w porę dał jej znak, żeby nie wtrącała się do rozmowy porucznika z jej córką.

- Masz rację, Haneczko – zgodził się Lewandowski – to były naprawdę diabły. Powiadasz, że były dwa? Jak wyglądały?
- Jeden był duży, a drugi mały.
- Bardzo mały? Taki jak ty?
- Taki jak mamusia. Może trochę większy. Cały czarny. Prawdziwy diabeł.
- Cały czarny?
- Czarny na twarzy. Nie miał ani nosa, ani oczu, tylko cały czarny. Włosów też nie miał, a coś czarnego na tym miejscu głowy.
- Może czapka?
- Diabły czapek nie noszą.
- Rzeczywiście – połapał się w porę porucznik. Przerwał na chwilę przesłuchanie i szepnął coś sierżantowi, który wyszedł z pokoju.
- A ten drugi diabeł jak wyglądał?
- Był wysoki i miał jasne włosy – stwierdziła Haneczka.
- A twarz?
- Widać mu było tylko oczy i włosy. Niżej była czarna plama. Nie miał nosa ani ust.
- A jak były ubrane te dwa diabły?
- Oba miały kurtki. Takie jak ma Stach, ale jaśniejsze.
- Kto to jest Stach? – tym razem porucznik zwrócił się do matki dziewczynki.
- Stach to mój syn – wyjaśniła pani Grzęda. – Chłopak ma siedemnasty rok.
- A w jakiej kurtce chodzi?

– Ojciec kupił mu czarną ortalionową wiatrówkę. Nieraz mówiłam chłopakowi, żeby oszczędzał ją na święta, ale czy to posłucha? Żeby nie dopilnowała, to chyba by w niej i spał.

– Czy te diabły miały długie buty?

– Nie wiem. Szybko uciekłam. Bałam się ich.

– Pewnie. Ja bym się też bał takich diabłów – przyznał porucznik. – A widno było od okna?

– Widno. W sklepie świeciły się wszystkie światła.

– A te diabły zagłądały do środka? Oba?

– Ten wyższy. Ten czarny stał trochę dalej.

W tej chwili wrócił Chrzanowski. Podał porucznikowi czarną pończochę.

– Patrz teraz na mnie, Haneczko – poprosił oficer milicji – czy tak samo wyglądam jak ten mniejszy diabeł?

To mówiąc, porucznik włożył na głowę przyniesioną przez sierżanta pończochę. Dziewczynka cofnęła się przestraszona.

– Ta...ak. Tak samo... – wyjąkała.

Porucznik zdjął czarną zasłonę i oddał ją Chrzanowskiemu. Sierżant znowu wyszedł, by zwrócić pończochę właścicielce.

– Powiedz jeszcze, Haneczko, o tym wyższym diable. Czy widziałś jego oczy, czoło, włosy? Pamiętasz?

Hanka namyślała się.

– Zaraz uciekłam. Ale włosy miał jasne, a na czole miał krechę.

– Krechę?

Dziewczynka przyłożyła palce do czoła nad lewym okiem.

– O, tutaj – powiedziała – miał taką czerwoną linię, jakby nadział się na płot i krew poleciała.

– Widziałś na pewno? – dopytywał się porucznik.

– On stał przy samym oknie. Widziałam dobrze – upierała się mała.

Lewandowski poczęstował dziewczynkę jeszcze jednym cukierkiem i podziękował Marii Grzędzie za przyprowadzenie córki. Nadmienił, że informacje uzyskane od małej mogą mieć bardzo ważne znaczenie dla ujęcia sprawców zabójstwa Antoniny Michalakowej.

Kiedy kobieta wyszła, oficer powiedział do sierżanta.

– Wydaje mi się, że ta mała powiedziała prawdę. Zresztą, skąd by mogła wiedzieć o człowieku z blizną? W pierwszej chwili, kiedy słuchałem jej opowiadania, nie chciałem w nie uwierzyć. Przecież on nigdy dotychczas nie mordował swoich ofiar. Ale wszystko się zgadza. I ten mały z czarną pończochą na głowie i ten wysoki blondyn z blizną nad lewym okiem.

– Może Michalakowa broniła pieniędzy? – sierżant wyraził swoje przypuszczenie.

– Wątpię. Było ich zresztą dwóch. Daliby sobie radę z jedną kobietą bez zabijania. Nie wiem, czy znacie tę sprawę? Człowiek z blizną napadł na plebanię w Woli Wierzbowskiej. Tam proboszcz nie chciał wydać pieniędzy. To tak go zbili nogą wyrwaną z krzesła, że później leżał przeszło trzy tygodnie w szpitalu w Ciechanowie. Przed odejściem księdza związali, zakneblowali, żeby nie mógł krzyczyć,



a pieniądze znaleźli schowane w biurku w kancelarii parafialnej. Wiedzieli, że tego dnia proboszcz sprzedał swoje auto za przeszło 60 tysięcy złotych i że ta gotówka jest w domu. A jednak nie zabili swojej ofiary.

– Może dlatego, że ksiądz?

– Akurat by na to zważali! A bezbronnej kobiety nie zawahali się zastrzelić? Zresztą, jak stwierdził lekarz, strzał był oddany z odległości około trzech metrów i nieco z góry, co świadczyłoby o tym, że Michalakowa w tym momencie siedziała na krześle za kontuarem i żadnej walki nie było.

„Człowiek z blizną”! Starszy sierżant doskonale znał taką sygnaturę licznych akt Komendy Powiatowej MO w Ciechanowie, chociaż nigdy dotąd nie zetknął się osobiście z działalnością tego nieuchwytnego bandyty. Od przeszło dwóch lat Ciechanowskie, a także i okoliczne powiaty, Płońsk, Pułtusk, Maków i Przasnysz, nękanie były przez zuchwałego przestępcę. Metoda dokonywania napadów była zawsze identyczna. W dniu, kiedy w jakimś sklepie lub u któregoś z bogatszych gospodarzy albo proboszczów znajdowała się większa gotówka, niespodziewanie zjawiali się dwaj zamaskowani bandyci. Ten mniejszy zawsze miał na głowie czarną pończochę, zasłaniającą całą twarz. Wyższy występował z gołą głową, w czarnej masce, ukrywającej dolną część twarzy, aż do oczu. Włosy miał jasnoblonde, na czole zaś, nad lewym okiem, dużą czerwoną bliznę.

Pomimo tak charakterystycznego wyglądu przestępcy w jakiś przedziwny sposób wymykał się z licznych obław, rozstawianych

przez milicję. W ciągu dwóch lat dokonał wraz ze swoim pomocnikiem ponad dwudziestu napadów, a suma zrabowanych pieniędzy (tylko tego, co udało się ustalić, bo ludzie raczej nie przyznają się do pełnej wysokości poniesionej straty), sięgała bez mała miliona złotych.

Nie ulegało też najmniejszej wątpliwości, że dowódcą był ten wyższy. Jego towarzysz trzymał się nieco z tyłu i nigdy się nie odzywał, w milczeniu spełniając polecenia szefa. Obaj byli uzbrojeni w broń palną. Czasami wyższy strzelał. Ale jedynie na postrach, nigdy dotychczas do ludzi. Michalakowa była jego pierwszą śmiertelną ofiarą, chociaż niejednokrotnie bandyta bił i znęcał się nad tymi, którzy chcieli ocalić swoje pieniądze, a raz bestialsko zmaltretował bogatego chłopca. Spodziewał się znaleźć w jego domu przeszło 50 tysięcy złotych z odstawy buraków do cukrowni; tymczasem spotkało go rozczarowanie, bo łupem stało się zaledwie kilka tysięcy; reszta wpłacona już była na książeczkę PKO.

Przestępca popisał się również makabrycznym żartem, który mógł skończyć się tragicznie dla jego ofiary. Pewien ksiądz podjął w PKO w Ciechanowie kilkadziesiąt tysięcy złotych, bo nazajutrz miał zapłacić przedsiębiorcom za remont kościoła i plebanii. Tegoż wieczoru na plebanii zjawili się bandyci. Proboszcz czy coś przeczuwał, czy po prostu zamarudził w Ciechanowie, dość, że nie wrócił do domu, lecz przenocował u znajomych w mieście. Na plebanii był jedynie wikary, bo nawet gospodyni księżowska poszła na plotki do kumoszek.

Bandyci, rozgniewani niepowodzeniem, pobili Bogu ducha winnego wikarego i zabrali mu 900 złotych. Przed opuszczeniem plebanii pokazali księdzu granat, kazali uklęknąć przed piecem i włożyć głowę w otwarte drzwiczki. Kiedy sterroryzowany wikary spełnił ich rozkaz, trzeba dodać, że było to w lecie i w piecu nie paliło się, wysoki bandyta oświadczył, że na plecach księdza kładzie odbezpieczony granat, który natychmiast wybuchnie, jeżeli tylko stoczy się na podłogę. Rzeczywiście wikary czuł, że coś położono mu na karku. Bandyci odeszli, ksiądz zaś, umierając z trwogi i zmęczenia, tkwił głową w piecu, dopóki nie usłyszał zdziwionego głosu gospodyni:

– A czego to ksiądz wikary szuka w piecu i dlaczego położył sobie jajko na plecach?

Nie trzeba dodawać, że biedny księżulo przyplacił ciężką chorobą ten bandycki figiel.

Jedno od dawna zastanawiało oficerów milicji prowadzących dochodzenie w sprawie wyczynów człowieka z blizną. Bandyta rozporządzał wprost fantastycznym wywiadem. Działał prawie bez pudła. A tych kilka nieudanych napadów pokrzyżował mu po prostu przypadek.

Próbowano różnych sposobów ujęcia bandyty. Wielokrotnie organizowano zasadzki. I to takie, w których przynęta nie była nawet wtajemniczona. Milicja dyskretnie wywiadywała się, kto i kiedy pobiera większą należność i w sąsiedztwie domu właściciela pieniędzy czatowała na bandytów. Ale wtedy nigdy się oni nie zjawiali. Urządzano też zasadzki w sklepach geesu. Ukryci w głębi sklepu milicjanci całymi dniami czekali na odwiedziny bandytów.

W Kargoszynie warta trwała pięć dni. Człowiek z blizną zjawił się tam dopiero po tygodniu. Zabrał wprawdzie tylko 15 tysięcy złotych, ale poinformował kierownika sklepu, że składa mu wizytę jedynie dlatego, aby milicja mogła jeszcze raz odwiedzić wieś, gdzie tak miło spędziła kilka dni w komórcze za sklepem. Podobno nikt nigdy, ani przedtem, ani potem nie widział komendanta powiatowego MO tak zdenerwowanego i bladego ze złości.

A znowu we wsi Rzeczek-Wólka, gdzie zorganizowano punkt skupu żywca, bandyci zjawili się w biały dzień, przed rozpoczęciem skupu, paroma strzałami w górę sterroryzowali gospodarzy, którzy przywieźli trzodę na sprzedaż, kazali im natychmiast wracać do domu i zabrali pieniądze przeznaczone na skup. Było tego przeszło 160 tysięcy złotych. Przed rozpoczęciem akcji przecięli druty telefoniczne. Po zrabowaniu pieniędzy wsiedli na jeden z wozów, który, porzucony, znaleziono w pobliskim lesie. Natychmiast zarządzono obławę; wzięły w niej udział również posiłki sprowadzone z Warszawy. Bez żadnego rezultatu. Bandyci zniknęli jak kamień w wodę.

W powiatowej komendzie milicji ułożono nawet teorię, że gang przestępczy jest znacznie liczniejszy. Prócz znanych już milicji dwóch wykonawców napadów muszą do niego należeć także inni współpracownicy – informatorzy, przeprowadzający wywiad i rozpoznanie w terenie. Skąd bowiem ci dwaj mają zawsze tak doskonałe wiadomości, aby działać na pewniaka. Praktyka jednak nie dała odpowiedzi, czy teoria o rzekomym gangu jest prawdziwa.

Bandyci szczególnie upodobali sobie teren powiatu ciechanowskiego. Ogromna większość wszystkich napadów dokonana została właśnie tutaj, a tylko kilka w powiatach sąsiednich. Dlatego też całość dochodzeń komenda wojewódzka MO zlokalizowała w Ciechanowie.

Była to sprawa, której oficerowie dochodzeniowi unikali jak ognia. Poza przykrościami i reprimendą z ust zwierzchnika niczego po niej nie można się było spodziewać. Dlatego każdy, kto zetknął się z aktami sygnowanymi „Człowiek z blizną”, starał się, pod byle pozorem, przekazać je przy najbliższej okazji innemu koledze.

Teraz więc, po wysłuchaniu opowiadania małej Hani, humor porucznika Lewandowskiego wyraźnie się popsuł. Biedak słusznie przeczuwał, że kapitan Żwirski, którego ostatnio uszczęśliwiono pękatymi teczkami akt tej sprawy, natychmiast podrzuci mu to kukułcze jajo.

Za to starszy sierżant Chrzanowski aż promieniał zadowoleniem. Honor jego podopiecznych został ocalony. Przestępca nie pochodzi z terenu objętego działaniem posterunku milicji w Dąbrowie Zakoscielnej. Ale kiedy sierżant głośno wyraził swoją radość z tego powodu, Lewandowski z miejsca oblał go zimną wodą:

– Zbierzcie, sierżancie – polecił – te dane z Niedźborza, o których wspominałem. Wcale nie jest powiedziane, że bandyta nie pochodzi z którejś z tych wiosek. A że dotychczas jakoś dziwnie omijał wasz rejon, to tylko potwierdza znane powiedzenie, iż dobry złodziej nie kradnie we własnym domu. Może właśnie dlatego was nie

niepokoił, a tym razem złakomił się na 47 tysięcy, leżące w kasie sklepowej, tu pod bokiem. Swojak, to wolał nie ryzykować, że go Michalakowa rozpozna, i kropnął ją.

– Panie poruczniku – protestował Chrzanowski – siedzę w Dąbrowie Zakościelnej już prawie 8 lat. Znam tu każdego człowieka. Nie ma takiego, który by miał bliznę nad lewym okiem.

– Znacie albo i nie znacie. A poza tym niekoniecznie z tych okolic musi pochodzić ten wysoki z blizną. Dlaczego nie ten mniejszy, którego twarzy przecież nikt nie widział?

Starszy sierżant nie znalazł żadnego kontrargumentu. Chcąc nie chcąc, wsiadł na motor i pojechał do Niedźborza. Wrócił dopiero po trzech godzinach z negatywnym wynikiem. Ludzie z Niedźborza, podobnie jak i z innych wsi, zajęci byli przede wszystkim wykopkami. Wstawali do ciężkiej pracy o świcie, zmęczeni kładli się wcześnie spać. Nikt nie odbywał wieczornych przejażdżek motocyklem, nikt nikomu go nie pożyczał. Brakowało też czasu i ochoty na przyglądanie się, kto jedzie drogą przez ich wieś.

Przez ten czas porucznik Lewandowski także nie próżnował. Przesłuchał wielu mieszkańców wsi Grabienice Małe, sporządził kilkanaście notatek służbowych i protokołów. Ale co z tego? Docho-dzenie nie mszyło z martwego punktu.

Zapadał już zmrok, kiedy milicyjna warszawa wzięła kurs na Ciechanów, a starszy sierżant Chrzanowski razem z kapralem Kacperkiem wracali do Dąbrowy Zakościelnej.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### *Uczesanie w trapez*

Dwa dni później starszy sierżant Stanisław Chrzanowski włożył nowy mundur, sprawdził, czy baretki odznaczeń są w porządku i pojechał do Ciechanowa. W Komendzie Powiatowej MO przywitał się ze znajomymi, porozmawiał z porucznikiem Lewandowskim, którego czarne przecucia spełniły się w stu procentach; rzeczywiście, powierzono mu dochodzenie w sprawie człowieka z blizną. Na pierwszym piętrze, w sekretariacie, sierżant zapytał przystojną i sympatyczną blondynkę, pannę Elżbietę, czy major dzisiaj w dobrym humorze i czy będzie mógł go przyjąć.

– Teraz u majora jest zastępca i panowie z Powiatowej Rady Narodowej. Konferencja potrwa z półtorej godziny, bo na 12.00 komendant kazał mi podać kawę. Ale około pierwszej mógłby sierżant dotrzeć do majora. Mogę mu powiedzieć, że pan chce się z nim zobaczyć. W jakiej sprawie?

– Takie różne... Służbowe i moje prywatne kłopoty.

– To proszę przyjść po pierwszej. Major nigdzie nie wychodzi. Chyba żeby coś niespodziewanego. Ale przedtem, panie Chrzanowski, radzę zajrzeć do fryzjera!

– O rany! – sierżant przesunął dłonią po głowie. – Bardzo

dziękuję, panno Elu. Zupełnie zapomniałem. Dopiero major dałby mi do wiwatu! Sam bym się podstawił.

Major znany był z tego, że spośród wszystkich komendantów powiatowych w województwie warszawskim najbardziej dbał o zewnętrzny wygląd swoich podkomendnych, ze szczególnym uwzględnieniem brody i włosów. Milicjanta, który nie golił się codziennie i raz na dwa tygodnie nie odwiedzał mistrza nożyczek, w Ciechanowskiem na pewno nie czekała kariera. Toteż Chrzanowski szybko zrobił w tył zwrot.

Sierzant wyjechał z Dąbrowy Zakościelnej, nie jedząc śniadania. Teraz, kiedy dochodziła już dwunasta, poczuł się potężnie głodny. Postanowił więc odłożyć wizytę w zakładzie fryzjerskim, a przede wszystkim zaspokoić głód. Tym bardziej że nie wiadomo, jak długo przyjdzie mu czekać na widzenie się z komendantem.

Chrzanowski skręcił w ulicę Warszawską i wszedł do jednej z dwóch mieszczących się tu restauracji. Pomimo stosunkowo wczesnej pory było w niej prawie pełno, bo czwartek jest w Ciechanowie dniem targowym. Ale podoficer miał trochę szczęścia, właśnie zwalniał się mały stolik pod ścianą. Przed Chrzanowskim stanął kelner, pan Władzio, wysoki, przystojny blondyn, w wieku około 35 lat.

Sierzant nie lubił tego kelnera. Władysław Plewiński był, zdaniem wielu gości, zbyt nachalny i spoufalający się z klientelą. A poza tym za często zalatywało od niego zapachem znakomitych wyrobów monopolu spirytusowego, i to w czasie pracy. Chrzanowski



od razu poznał, że pan Władzio nie wylał za kołnierz tych paru głębszych. Był więc nastawiony bardzo rozmownie. Wolał mówić, aniżeli obsługiwać głodnych gości.

– Szanowanie panu sierżantowi, szanowanie. Kopę lat! Siedzi sierżant na tej swojej wiosze, robi ciężkie pieniądze i nawet do nas, do Ciechanowa, nie chce zajrzeć!

– Może być ten ozorek i piwo – zadysponował Chrzanowski.

Rad nierad, kelner powędrował do kuchni, ale po kilku minutach, tyłu, aby zamówione danie mogło gruntownie wystygnąć, powrócił i, stawiając talerz przed sierżantem, kontynuował swój monolog.

– Wam, na wsi, to dobrze się dzieje. Ani kartofli, ani mąki żaden z was nie kupi. A kur, kaczek i gęsi chłopci doniosą, ile tylko dusza zapragnie. Byle przymknąć jedno oko na pewne sprawy.

– Co pan za głupstwa wygaduje! – oburzył się sierżant.

– Ho, ho! Wie się! Chłopi mają teraz forszę. A każdy albo bimber pędzi, albo z dostawami pokręci, więc musi dobrze żyć z milicją. Ręka rękę myje.

Sierżant nie próbował nawet dyskusji z podchmielonym Władziem. Ten zaś ciągnął dalej.

– Święte życie. Nie to, co u nas, w zakładzie. Pchają się od rana do wieczora, a rachunki tak sprawdzają, jak gdyby były tam miliony. Zamówi jeden z drugim ćwiartkę i już mu się zdaje, że jest wielkim panem. Albo i nie zamówi... – dodał z wyraźną przyganą pod adresem podoficera.

– Trzeba było wstąpić do milicji, kiedy tam tak dobrze – odciął się sierżant.

– Nie lubię dziadostwa. Tej knajpy też mam dosyć. Kupię sobie takse. Ale nie jakąś tam warszawę, tylko wóz jak się patrzy, opel rekord. Będę woził chłopów na śluby do kościoła. Za jeden taki kurs najmarniej z półtora patyka wpadnie. A jeszcze na weselu człowiek podje sobie solidnie.

– Nie radzę jednak tak pić, jak tutaj.

– Spokojna głowa. Mnie nikt jeszcze nie złapał i nie złapie.

– Najsprytniejsi wpadali.

– Tak? Na przykład człowiek z blizną... Ten, co rąbnął tę pańską sklepową z Grabienic Małych. Jeden ruch palcem na cynglu i już miał w kieszeni przeszło 47 tysięcy.

– Przyjdzie kolej i na człowieka z blizną.

– Nie przyjdzie! – zaperzył się pan Władzio. – Nigdy go nie złapiecie! Nigdy! Za głupi jesteście. Za głupi! – pijany kelner wykrzykiwał na całą salę.

Sierżant nie chciał robić awantury. Właściwie powinien zaprowadzić pijaka do aresztu, żeby wytrzeźwiał, ale przybiegła bufetowa – chwyciła Plewińskiego za ramię i odciągnęła w głąb pomieszczeń restauracyjnych. Chrzanowski zadowolił się więc poleceniem jej, aby kelner nie obsługiwał dzisiaj gości. Zapłacił rachunek i poszedł do fryzjera.

Nie musiał się daleko fatygować. Po drugiej stronie ulicy, prawie naprzeciwko komendy powiatowej, mieścił się najbardziej popularny w całym mieście zakład fryzjerski pana Karola. Na szybach

wystawowych tej placówki rzemieślniczej widniał dumny napis „Fryzjer Warszawski”.

Karol Przałkowski otworzył swój zakład w Ciechanowie przed niespełna dziesięcioma laty. Początkowo był to mały lokalik, zajmujący jedno pomieszczenie. Ale widocznie interes prosperował coraz lepiej, bo wkrótce obrotny fryzjer wykupił sąsiedni sklepik i znacznie powiększył swój zakład. Przed trzema laty przedsiębiorstwo uległo dalszej rozbudowie, a jednocześnie w oknie wystawowym zjawiła się zgrabna damska główka o modnym uczesaniu, w zakładzie zaś jeszcze zgrabniejsza i ładniejsza panna Halinka. Na szkle okiennym pojawił się nowy napis „czesanie pań”. A w zakładzie zatrudniono jeszcze jednego fryzjera, pana Zygmunta, i pomocnicę Magdę.

Ale to nie panna Halinka czesała przedstawicielki miejscowego *high-life'u* ciechanowskiego, lecz sam pan Karol szybko dowiedział, że jest prawdziwym mistrzem ondulacji. Według słów pana Karola, praktykował on przed wojną u słynnego Ewarysta w Warszawie.

Pan Karol nie zabiegał jednak o zbyt dużą rozbudowę fryzjerstwa damskiego. Czesał tylko sam, więc nie mógł mieć zbyt wielu klientek. Jednak dla pracownic komendy powiatowej i dla żon oficerów i podoficerów milicji zawsze znajdował czas.

– Mam zakład naprzeciwko milicji – śmiał się nieraz – to muszę z milicją dobrze żyć.

Natomiast pojawienie się w Ciechanowie panny Halinki od razu podniosło frekwencję na oddziale męskim. Wszyscy nieżonaci milicjanci przestali się golić w domu i chętnie powierzali swoje brody

zgrabnym rączkom pięknej fryzjerki. Wszyscy też flirtowali z nią na zabój, a choć niejeden chciałby się posunąć i dalej, to bezskutecznie. Co najwyżej panna Halinka godziła się od czasu do czasu wypić kawę w „Jagiellonce” w towarzystwie kogoś z oficerów MO lub wyjątkowo zjeść kolację i potańczyć wieczorem w restauracji w rynku. Żaden nie mógł się pochwalić, że uzyskał coś więcej niż tradycyjny pocałunek przy odprowadzeniu do domu.

Jeden z młodych plutonowych MO, poważnie zadurzony w panie Halince, nadużywając nieco swoich możliwości zawodowych, zdołał wykrzyć, że panna Halinka wcale nie jest, jeżeli chodzi o stan cywilny, „panną”, lecz rozwódką, używającą panińskiego nazwiska Grześkowska. To odkrycie było swego czasu małą sensacją Ciechanowa, ale niczego nie zmieniło. Panna czy rozwódka – Halinka była równie nieprzystępna jak dawniej.

Pan Karol powitał starszego sierżanta jak dobrego znajomego. Ponieważ w damskim oddziale nie było akurat żadnej klientki, sam szef usadowił Chrzanowskiego na fotelu fryzjerskim i okrył go śnieżnobiałym prześcieradłem.

– Wiem, wiem – powiedział, nachylając się nad fryzurą sierżanta – jakie ma pan zmartwienia. Matura za pasem, a tu ten wypadek w Grabienicach Małych. Ale proszę się nie przejmować. U mnie chesze się i sama pani dyrektorowa liceum i większość pań nauczycielek. Tej profesorce od matematyki przed paru dniami zrobiłem taką

fryzurę, że się nachwalić nie mogła.

– Trzeba było w trapez – machinalnie powiedział zamyślony nad swoimi kłopotami komendant posterunku w Dąbrowie Zakoscielnej.

– W trapez? – zdziwił się mistrz brzytwy i nożyc. – Nie znam. To chyba coś nowego. Panią Dostomską uczesałem tak, jak zawsze czesała się pani Gorczyńska. To była wielka artystka. A jakie miała piękne ręce! Jak umiała nimi grać! Pamiętam ją w *Don Juanie* Rittnera. Zawsze powtarzała: „Nikt nie umie tak mnie uczesać, jak pan Karol”. Jeszcze po wojnie ją czesałem. Ostatni raz na kilka miesięcy przed śmiercią. A czesała się z przedziałką pośrodku, włosy równo na boki, uszy trochę zakryte, z tyłu trzy bardzo dyskretne fale. Ale w trapez? Jak to wygląda?

– Równoramienny – kontynuował swoją myśl starszy sierżant i dopiero w tej chwili wrócił do rzeczywistości. – Wie pan – improwizował, chcąc ratować sytuację – z boku dwie fale – to mówiąc, usiłował pokazać coś na swojej głowie – dalej loczki podkreśnione do góry, a reszta włosów opada do tyłu – palce sierżanta wyczyniały przedziwne ruchy wokół głowy.

– A uszy?

– Odkryte – kategorycznie stwierdził Chrzanowski.

– Bardzo interesujące, bardzo – pan Karol był wyraźnie zaintrygowany słowami milicjanta. – Pan sierżant doskonale to opisał. Co za spostrzegawczość! Muszę koniecznie jutro wypróbować. Właśnie z rana zamówiła się żona zastępcy komendanta. Ma twarz

i włosy odpowiednie do takiej fryzury. Oczywiście powiem jej, że jest to uczesanie, którego nauczył mnie pan sierżant.

Tego tylko brakowało – pomyślał Chrzanowski – żeby jeszcze i zastępca komendanta miał do mnie pretensje.

– A co do matury, niech pan się nie obawia. W odpowiednim czasie Karol szepnie słówko komu trzeba. Najlepiej pani dyrektorowej i pani profesor Dostomskiej. Ją też uczeszę w ten trapez i pochwałę, że to jej uczeń, pan sierżant Chrzanowski, natchnął mnie myślą robienia takiej fryzury.

Leżę na oba fronty. I w milicji, i w liceum – komendanta posterunku MO w Dąbrowie Zakościelnej zaczęła ogarniać rozpacz. Diabli nadali, że wstąpił do tego gadatliwego Karola. Kilka domów dalej był przecież inny fryzjer, gdzie Chrzanowski nieraz się strzygł.

A tymczasem mistrz, zręcznie operując nożyczkami, mówił:

– O ten napad niech pan się nie martwi. Wszystko skrupi się na poruczniku Lewandowskim. Już ja dobrze wiem. Zna się zwyczajnie swoich sąsiadów. Kiedy pani kapitanowa powiedziała mi, że jej mąż przekazał całe dochodzenie temu porucznikowi, od razu sobie pomyślałem: znalazł kozła ofiarnego. O panu i o tym, że tam ludzie wszystkie ślady zdeptali, szybko zapomną.

Sierżant wyrwał się wreszcie z fotela, który bardziej przypominał mu jakieś narzędzie tortur niż zakład fryzjerski. Strzyżenie było skończone.

– Ile płacę?

– Ani grosika – oburzył się pan Karol. – Przeciwnie, to ja wienien jestem wdzięczność panu sierżantowi. Uczesanie *à la* trapez! – szepnął marzycielsko. – Jutro wymaluję na szybie „specjalność zakładu: najnowsze paryskie uczesanie *à la* trapez”. A pan sierżant może do mnie przychodzić na strzyżenie i golenie choćby codziennie. Nigdy ani złotóweczki nie policzę. Słowo daję. Dopóki będę w Ciechanowie.

– A dokąd pan się wybiera? – zdziwił się sierżant.

– Popracuję tu jeszcze z rok. A potem sprzedam zakład i wyniosę się z tego miasta.

– Gdzie panu będzie lepiej? Przecież na brak klienteli nie może pan narzekać. Ani męskiej, ani damskiej.

– To racja. Jestem zajęty od rana do wieczora, ale przyznam się – ma się coś z tego. Wystarczy na życie, a i na czarną godzinę parę groszy się uzbierało. Ale już nie te lata i nie te siły, co dawniej. Po całym dniu nachylania się i kręcenia koło fryzjerskiego fotela to jak wrócę na górę, do domu, krzyża nie mogę rozprostować. Zresztą klimat Ciechanowa mi nie służy. Za dużo wilgoci. Łodynia błotnista, nieuregulowana. Jej dopływy jeszcze gorsze. Mają podobno zrobić jezioro zamiast tych bagien albo wszystko osuszyć i stworzyć duży park, ale kiedy to będzie? Zresztą po co na stare lata człowiek ma się zabijać dla tych paru groszy? Zakład uda się dobrze sprzedać, bo interes rozkręcony, trochę pieniędzy odłożyłem, wyjadę stąd i osiedlę się w Zakopanem.

– Tam sporo zakładów fryzjerskich. Trudno będzie konkurować z tymi, co już mocno siedzą na rynku.

– Nawet nie mam zamiaru. Najpierw co najmniej rok odpocznę. Jestem człowiekiem skromnych potrzeb. A potem zaczepię się w którymś z istniejących zakładów. Ale nie na tyranie po 8 czy 10 godzin. Tyle, żeby z głodu nie umrzeć. Dobry fachowiec zawsze robotę znajdzie.

Po opuszczeniu zakładu fryzjerskiego Chrzanowski spojrzął na zegarek. Do terminu wyznaczonego przez pannę Elę brakowało przeszło pół godziny. Wobec tego starszy sierżant postanowił iść do SAM-u. Żona przygotowała mu całą listę zakupów. Poza tym trzeba przy okazji kupić jakiś prezent dla najmłodszego, a starszym córkom jakieś drobiazgi, aby nie miały żalu, że ojciec o nich nie pamięta.

– Co za straszna historia, panie Chrzanowski! – kierowniczką witała się ze starszym sierżantem. – Kiedy dowiedziałam się, przysną, miałam mokre oczy. Bardzo lubiłam naszą Toleczkę. I na co jej przyszło? Tak skończyć!

– Nie wiedziałem, że panie się znały.

– Bardzo dobrze. Przez wiele lat śpiewaliśmy razem w chórze. Dopiero ostatnio Michalakowa musiała z tego zrezygnować, bo za daleko i za ciężko było jej dojeżdżać na próby. Była u nas pierwszym altem.

– Tak? Nie przypuszczałem. Nie podejrzewałem nawet, że ma wielki głos. Zawsze mówiła bardzo cicho.



– Miała wspaniały głos. A jaki słuch! Gdyby ją w młodości szkolono, mogłaby w operze śpiewać. Albo zostać wielką gwiazdą. Ale cóż, ze wsi droga na scenę daleka. Tolka całe życie lubiła śpiewać. U siebie na wsi w kościele. W chórze i solo. Na różnych akademiach i przy każdej okazji. Nie dawała się prosić.

Sierzant od lat znał kierowniczkę sklepu samoobsługowego. Szczupła, czarna, mająca obecnie około trzydziestki, była kobietą o ogromnej wprost energii. Trzymała swoich pracowników żelazną ręką. Sklep nigdy nie miał najmniejszego manka. Umiała też sobie radzić z każdego rodzaju klientelą, co w mieście takim jak Ciechanów nie było łatwe. Ale żeby śpiew był hobby tej pełnej życia kobiety, o tym Chrzanowski nie miał pojęcia.

– Jeszcze przed tygodniem – mówiła kierowniczka – Tolka była u mnie w sklepie. Stała w tym miejscu, gdzie teraz pan sierżant. Taką była wesółą, zadowoloną. Opowiadała, że dostała dużą partię towarów, a także węgiel i nawozy sztuczne. Śmiała się, że w jednym tygodniu wyrobi cały plan miesięczny. No i wyrobiła... Boże, świeć nad jej duszą.

– W jej życiu był jakiś mężczyzna?

– Mężczyzna? – kierowniczka w pierwszej chwili nie zrozumiała, o co chodzi.

– No... Przyjaciół, kochanek. Żyła z kimś?

– Chyba nie. Na ten temat nigdy nie mówiła ani słowa. Wiem, że bardzo rozpaczała po śmierci męża. Potem z dziećmi niezbyt dobrze jej się układało. Wiadomo, Tolka była energiczna, przyzwyczajona do rządzenia, a córki zamężne albo synowie żonaci. Dwie

kobiety w domu i każda chce być panią! Michalakowa poznała te problemy. A że nie była jeszcze stara, wolała iść do pracy, niż siedzieć na łaskawym chlebie i niańczyć wnuki. Kilka lat pracowała w Ciechanowie, ale znała mnie od dziecka, bo pochodzimy z sąsiednich wsi. Tolka była ode mnie starsza o prawie 15 lat – dodała tonem wyjaśnienia.

– Ile miała, kiedy mąż umarł?

– Ponad czterdziestkę. Wcześniej wyszła za mąż. Jak to zwykle na wsi. Nie była jeszcze stara, a dzieci dorosłe. Ale co do chłopów, to nie biegała za nimi. Nie tak, jak ta Wikta Mleko z Lorcinka, co to ją wszystkie chłopaki z okolicznych wsi zdążyły poznać, a jeszcze i w Ciechanowie szczęścia szuka.

– Przed panią kierowniczką nic się nie ukryje.

– Ja tam, panie Chrzanowski, wiadomości nie szukam. Ale czego tu się człowiek nie nasłucha przez cały dzień? Wystarczy tylko mieć uszy otwarte. Nie ma sprawy, nie ma niczego, co by się w Ciechanowie i okolicy nie wydarzyło, żebym za dwie godziny o tym dokładnie nie wiedziała. Widocznie ludzie mają mało roboty, skoro starcza im czasu na strzępienie języków. Księdzu w kościele na spowiedzi czy matce w domu tego nie powie, co w sklepie, czekając w ogonku na dziesięć deka kielbasy. Albo do pracowników sklepu. Tu się przychodzi nie tylko po zakupy, ale jak do salonu czy kawiarni na rozmowy. Po co wydawać na kawę w „Jagiellonce”, kiedy można spotkać się i za darmo nagadać w SAM-ie.

– To racja – przyznał sierżant.

– Panie Chrzanowski, gdybym ja chciała to wszystko zapisywać, powstałaby z tego kronika Ciechanowa, ale taka, o jakiej ani wasze MO, ani rada narodowa nie mają pojęcia. Zapewniam pana. Pan myśli, że nie wiedziałam, kiedy komenda milicji szykowała zasadzkę na tych bandytów? Wtedy co to przesiedzieliście pięć dni w piwnicy sklepowej, a oni zjawili się siódmego dnia i jeszcze się z was naśmieli? A ten ksiądz, co mu zabrali 60 tysięcy złotych za sprzedane auto? Przecież był u mnie i sam się chwalił, że znalazł dobrego kupca na swój samochód. Mogłabym tak panu do wieczora opowiadać...

– To Michalakowa była u pani w czwartek, na tydzień przed śmiercią?

– A była, była. Jeszcze ją namawiałam, żeby jednak zaśpiewała w naszym chórze na rocznicę wyzwolenia, bo ten alt, który mamy na jej miejsce, nawet się nie umywa do głosu Tolki.

– A nie wie pani, co Michalakowa robiła w tamten czwartek w Ciechanowie?

– Panie Chrzanowski, jak taka kobieta raz na tydzień albo na dwa tygodnie wpadnie do miasta ze wsi oddalonej od niego o 15 kilometrów, to ma tyle rzeczy do załatwienia, że nie wie, o co najpierw ręce zaczepić. To i do powiatowego zarządu geesów trzeba zajść, żeby oddać sprawozdanie i wyklócić się o towar. Bo inaczej przyślą same buble. Czego sam nie dopilnujesz, nie dostaniesz. Inni zabiorą. Do domu towarowego trzeba zajrzeć. Może co nowego przyszło? Pan wie, jak to jest teraz z butami. Sklepy pełne, a nie ma co wybrać. Z materiałami na sukienki też nie lepiej. Z rodziną

i znajomymi przydałoby się choć parę słów zamienić. Włosy u fryzjera ułożyć. Zawsze są jakieś sprawy i do władz powiatu. A na wszystko czasu niewiele. Zaledwie kilka godzin, bo do domu lepiej wracać za widna. Toteż z Tolką nie rozmawiałam dłużej niż 5 minut. W przelocie między załatwianiem spraw wpadła do mojego sklepu jak po ogień. A ja także nie mam czasu na rozmówki, bo przecież własnej roboty muszę pilnować.

– *Aluzju poniał...* – roześmiał się sierżant i zaczął się żegnać z rozmowną kierowniczką.

Czarna kobietka broniła się:

– Ależ to nie dotyczy pana sierżancie. Dla starych przyjaciół zawsze znajdę chwilę.

– Niestety, i ja mam swoją robotę. Muszę uciekać, chciałbym się zobaczyć z komendantem powiatowym. Specjalnie po to przyjechałem do Ciechanowa.

– Wiem, wiem, domyślam się. Egzaminy maturalne za pasem. A potem chciałby pan Chrzanowski pewnie na ten kurs oficerski. Prawda?

– Nie takie to proste. Ta matura też kijem na wodzie pisana. A ze szkołą oficerską jeszcze trudniej.

– Nie trzeba naprzód się martwić, panie Chrzanowski. Wszystkie panie profesorki to moje klientki. Można szepnąć za takim starym, dobrym znajomym, jak pan sierżant. A i pani komendantowa codziennie przychodzi po zakupy. Zawsze dla niej znajdzie się świeża szynka. Jak nie na ladzie, to pod ladą. Wiadomo, ręka rękę myje. Jak trzeba będzie, to w porę słówko się powie.

– Żeby moje powodzenie tylko od tego zależało! Ale te sprawy są bardziej skomplikowane.

– Dobre słowo nikomu nigdy nie zaszkodziło – z przekonaniem powiedziała kierowniczką. – A każda żona kręci mężem jak wiatr skrzydłami wiatraka.

– To nie z naszym komendantem – westchnął Chrzanowski i pożegnał kierowniczkę, aby wrócić na czas do komendy powiatowej MO.

– O, tak, to co innego – powitała go tutaj sympatyczna sekretarka komendanta. – Od razu poznać, że to dzieło pięknych rączek panny Halinki!

– Wcale nie, bo pana Karola.

– Dobrze czesze, ale na mój gust za duży gaduła. Ciekawa jestem, co panu naopowiadał.

– Wymieniliśmy spostrzeżenia na temat najnowszych kreacji fryzjerskich.

– No i do czego doszliście? – roześmiała się panna Ela.

– Przekonałem go, że najmodniejsze jest teraz w Paryżu uczesanie w trapez. Wyjaśniłem mu, jak to wygląda.

– Naprawdę?! – panna Ela spojrzała na sierżanta tak, jak gdyby zobaczyła go po raz pierwszy w życiu. Ten człowiek przestał być w tej chwili dla niej tym „starym safandulą Chrzanowskim”, a nagle stał się „kims”. – W trapez? – powtórzyła.

– Oczywiście, że w trapez. Cokolwiek znam się na tym. Trapez jest najmodniejszy. Szczególnie równoramienny. Ale można weń wpisać okrąg.

– Fantastyczne – podziw Eli rósł z sekundy na sekundę. – Jutro rano pójdę do pana Karola, żeby mnie tak uczesał.

– Chyba dopiero po południu – z całą powagą odpowiedział Chrzanowski – bo rano czesze panią komendantową. Właśnie zamówiła sobie trapez. Ale mógłbym wspomnieć Karolowi, żeby i panią tak uczesał.

– Złociutki! Nigdy tego panu nie zapomnę. Major wprawdzie mówił, że się spieszy, bo musi jechać do komitetu, ale zaraz z nim załatwię, aby pana przyjął – to mówiąc, panna Ela zerwała się od swojego biurka i zniknęła za drzwiami obitymi brązową dermą. Gdy wróciła, zakomunikowała z triumfem – Major pana prosi – i zniżając głos uzupełniła: – Dzisiaj jest w dobrym humorze. Radzę skorzystać. To za ten trapez!

Rzeczywiście, major bardzo życzliwie powitał komendanta posterunku MO w Dąbrowie Zakościelnej.

– Siadajcie, sierżancie, siadajcie. Co tam u was? Żona, dzieciśka zdrowe? A jak praca? Nie mówię o tym napadzie, bo to już przejął Lewandowski i niech on się martwi o wyniki. Chodzi mi natomiast o tę akcję...

– Tak jest, obywatelu majorze, już kończymy. W przyszłym tygodniu złożę sprawozdanie na piśmie. A procent przestępstw i wykroczeń będziemy mieli w tym kwartale jeszcze niższy niż poprzednio.

– Ale to zabójstwo całą statystykę wam zepsuło – roześmiał się oficer milicji.

– Złapiemy i tego bandziora – zapewnił sierżant. – Właśnie w tej sprawie przyszedłem do pana majora.

- Co? – zdziwił się zwierzchnik. – Słucham, słucham...
- Chciałem prosić pana majora, aby zezwolił mi pracować przy dochodzeniu.
- W sprawie człowieka z blizną? – w głosie majora zabrzmiała nuta prawdziwego zdumienia. Dotychczas każdy jak mógł, tak wykręcał się od tych akt.
- Tak jest, obywatelu majorze. Wiem, że sprawa jest bardzo trudna, ale chciałbym spróbować. Może mnie uda się to, na czym inni zęby sobie połamali.
- Odważny z was człowiek, sierzancie. Od razu widać, żeście te ordery dostali nie za chowanie głowy pod pierzynę. Szkoda, że wy za wszystko zabieracie się zawsze za późno.
- Jak to, obywatelu majorze?
- No, choćby z tą maturą. Nie mogliście to zrobić jej ze 20 lat temu, a nie dopiero jak czterdziestka stuknęła?
- Mogłem, obywatelu majorze, ale głupi byłem. Myślałem, że wystarczy mieć tu – to mówiąc, sierżant naprężył mięśnie ręki – a zapomniałem, że ważniejsze jest tu – Chrzanowski stuknął się palcem w czoło.
- Dobrze, że chociaż na stare lata doszliście do rozumu. Jak tam z nauką?
- Jakoś leci. Chyba tę maturę to się zrobi. Więc jak będzie, obywatelu majorze?
- Ze sprawą człowieka z blizną?
- Właśnie. Włazł w mój rejon. Człowieka mi zabił. Sprawiedliwie wypada, żebym ja się tym zajmował.

Major uśmiechnął się lekko:

– Tyle lat służycie w milicji i zapomnieliście, że zabójstwami zajmuje się komenda wojewódzka. Nawet gdybym wam chciał oddać tę sprawę, nie mogę.

– Gdyby obywatel major szepnął, gdzie potrzeba, aby wzięli mnie do pomocy, to wezmą. Majorowi niczego nie odmówią w komendzie wojewódzkiej.

Major był w coraz lepszym humorze.

– Co ja z wami mam, Chrzanowski. Może bym i mógł szepnąć za wami słówko, ale co będzie z posterunkiem?

– Dam radę, obywatelu majorze. Teren u mnie spokojny. Dopilnuję wszystkiego. Sumiennie powiadam. Niech się obywatel major nie boi.

– Dobrze – zgodził się komendant. – Naturalnie nie będziecie samodzielnie prowadzili dochodzenia, ale postaram się, aby wzięli was do pomocy. A zanim przyjdą instrukcje z komendy wojewódzkiej albo zanim tu kogoś przyślą do prowadzenia sprawy, powiem o was Lewandowskiemu. Pojutrze możecie się u niego zameldować, ale przedtem wstąpicie jeszcze do mnie.

– Tak jest, obywatelu majorze – Chrzanowski był uszczęśliwiony. Nawet nie zauważył, jak znowu znalazł się w sekretariacie.

– Jak tam poszło, sierżancie?

– Bardzo dobrze.

– Prosił pan o urlop czy o zapomogę? – Ela była ciekawa, jaką to prośbę mógł mieć ten stary komendant posterunku.

– Nie, nie. Nie prosiłem o nic takiego. Chodziło o to zabójstwo.



– Rozumiem – domyśliła się panna Ela – chodziło panu, aby major nie łączył sprawy z waszym rejonem. A z tym trapezem, to byłam przekonana, że pan sierżant żartuje ze mnie, ale zadzwoniłam do fryzjera i on potwierdził. Obiecał mnie przyjąć, ale najwcześniej dopiero pod koniec tygodnia, może w piątek rano, bo na tę nową fryzurę ma mnóstwo zamówień. Ale skąd pan sierżant dowiedział się o nowej modzie?

– Właśnie znajoma mojej żony pisała do niej z Paryża – Chrzanowski zaczął rozumieć, że na tym nieszczęsnym trapezie może zbić pokaźny kapitałik popularności, zwłaszcza wśród żeńskiego personelu komendy.

Po wyjściu sierżanta, major poważnie się zamyślił. Doskonale pojmował intencje, jakie kierowały starym pracownikiem aparatu. Sierżant wiedział, że w służbie milicyjnej jego kariera dobiega końca. Zrozumiał to jednak zbyt późno i zbyt późno wziął się do nauki. Oficer milicji był pewien, że zasłużonemu milicjantowi nie dadzą zginąć. Prawdopodobnie nawet nie zwolnią ze służby aż do wysługi lat potrzebnej do emerytury, ale czy to mogło zadowolić tego ambitnego i mającego tak ładną przeszłość człowieka? Dzisiaj stojącego już przed perspektywą nieosiągnięcia niczego więcej w przyszłości?

Major mógł bez sięgania po akta personalne powtórzyć z pamięci życiorys swojego podwładnego.

Siedemnastoletni podówczas chłopak spod Wadowic natychmiast po wyzwoleniu zgłasza się na ochotnika do wojska. Przerabia nawet

datę urodzenia w swoim okupacyjnym dowodzie. A jest to chłopak z kilkoma klasami szkoły podstawowej. Wcielony do wojska, pod Berlin już jednak nie zdążył. Druga wojna światowa obeszła się bez niego. Za to walczy w Bieszczadach z bandami upowców. Pod Ustrzykami Dolnymi dostaje ciężki postrzał z karabinu maszynowego. Trzy kule w piersi. Później siedem miesięcy szpitala i Krzyż Walecznych na mundurze.

Niemający jeszcze 20 lat Chrzanowski wychodzi z wojska. Właśnie wtedy potrzebowano w milicji ludzi odważnych i gotowych do stawiania czoła największemu niebezpieczeństwu. O świadectwo szkolne dokładnie nie pytano. Kaprała z Krzyżem Walecznych powitano z otwartymi ramionami. Krótkie przeszkolenie w centrum wyszkolenia MO w Słupsku i świeżo upieczony milicjant jedzie nad Odrę, na Ziemię Odzyskane.

Na nowym miejscu pracy rychło się odznacza. Przede wszystkim swoją odwagą i szybkością decyzji. Odnosi kilka cennych sukcesów w akcjach przeciwko grasującym na tych terenach bandom Wherwolfu. Szybko awansuje, aż do stanowiska zastępcy, a później pełniącego obowiązki komendanta powiatowego MO w pewnym niewielkim mieście nad Odrą.

Wcale nie jest gorszym komendantem od innych. Energicznie walczy z szabrem, poskramia bandytyzm i walnie przyczynia się do normalizacji życia na swoim terenie. Awansuje na sierżanta. Jeszcze kilka kursów dokształcających w Łodzi i w Pile. Świadectwo ukończenia szkoły podstawowej.

A potem życie coraz bardziej się normalizuje. Mija kilka lat i sierżant na stanowisku komendanta powiatowego MO staje się anachronizmem. Nadchodzi epoka ludzi wykształconych – fachowców. Specjalistów w fabrykach, urzędach, a także i w milicji. Kończy się czas Wielkiej Improwizacji. Zaczyna się okres codziennej, normalnej pracy.

Człowiek pełniący obowiązki komendanta powiatowego MO dostaje kolejny awans na starszego sierżanta i jednocześnie przeniesienie na niższe stanowisko. Ale ciągle nie rozumie lub po prostu nie chce zrozumieć, że epoka pięknych dni minęła bezpowrotnie. Może zresztą przeszkadzają temu warunki rodzinne. Chrzanowski w tym czasie żeni się, przychodzą na świat dzieci. Dwie córki i najmłodszy – syn.

Znowu jakiś order, medal, drobna podwyżka uposażenia. W ten sposób osładzano zasłużonemu pracownikowi aparatu konieczność przeniesienia go na kolejne, coraz niższe stanowiska. W końcu wyładował w małym, trzyosobowym posterunku milicji we wsi Dąbrowa Zakościelna. Dopiero tutaj ocenił swoje położenie. I to nie od razu, lecz po paru latach, kiedy trzeba było najstarszą córkę posłać do liceum, bo przecież szkoła podstawowa dla młodej dziewczyny nie jest dzisiaj żadnym wykształceniem, na którym można by budować przyszłość. A jego przyszłość?

Za naukę wziął się dopiero pod czterdziestkę. Z uporem przebijał się rok po roku, klasa po klasie. Czy w tym roku przebrnie przez maturę? Major szczerze mu tego życzył, orientując się jednocześnie,

że zdobycie świadectwa dojrzałości nie jest łatwym zadaniem dla tego dawno dojrzałego człowieka.

Ale matura to nie wszystko. I ona nie dawała komendantowi posterunku w Dąbrowie Zakościelnej większych perspektyw. Najwyżej awans na chorążego. A Chrzanowskiemu marzyły się teraz gwiazdki oficerskie i powrót jeżeli nie na dawne stanowisko, to przynajmniej do służby w jakiejś komendzie powiatowej. Major szanował te ambicje, ale w głębi duszy uważał, że byłoby niesprawiedliwością wobec tylu młodych, doskonale zapowiadających się pracowników, forsować kandydaturę Chrzanowskiego do szkoły oficerskiej.

Podczas rozmowy ze swoim podwładnym komendant powiatowy postawił kwestię po męsku. Kiedy starszy sierżant zapytał przed rokiem, czy po maturze może liczyć na skierowanie do Szczytna, major odpowiedział, że przy przedstawianiu komendzie wojewódzkiej kandydatur kieruje się tylko jednym kryterium: foruje najlepszych i najzdolniejszych.

Teraz starszy sierżant, prosząc o powierzenie mu sprawy człowieka z bliźną, sprawy, na której połamali sobie zęby najlepsi oficerowie dochodzeniowi w kilku powiatówkach, chciał udowodnić swojemu szefowi, że jest właśnie tym „najlepszym i najzdolniejszym”. Major nie wierzył, że Chrzanowski mógłby rozwikłać zagadkę tajemniczych napadów, nie miał jednak serca pozbawiać starego pracownika tej wielkiej szansy. Może ostatniej już szansy w jego karierze milicyjnej?

Tylko dlatego zgodził się na prośbę starszego sierżanta. Ryzykując nawet, że praca posterunku w Dąbrowie Zakościelnej ulegnie małej dezorganizacji.

Major spojrział na zegarek. Było już za późno, aby jechać do komitetu. Zatelefonował, przeprosił, umówił się na dzień następny, a potem polecił sekretarce wezwać do siebie porucznika Lewandowskiego. Kiedy podkomendny zameldował się w gabinecie, major zapytał:

– No, jak tam wasza sprawa?

Młody oficer rozłożył ręce.

– Robię, co mogę. Przesłuchałem przeszło sto osób.

– Ale nie ruszyliście z miejsca, prawda?

– Prawda – przyznał Lewandowski.

– Komunikowaliście się z komendą wojewódzką? Przejmują sprawę?

– Nie zauważyłem, żeby się do tego palili. Polecili mi nadal prowadzić dochodzenie i konsultować się z nimi. Obiecali wszelką pomoc...

– Nic dziwnego – mruknął major. – Na ich miejscu to samo bym zrobił. O sukcesy tu niełatwo. Lepiej radzić, aniżeli samemu kłaść głowę pod Ewangelię.

– Właśnie – przytaknął porucznik – i ja tak to rozumiałem.

– Ale od pojutra będziecie mieli pomocnika.

– Kogo? – zaciekawił się Lewandowski.

– Przydzielam wam do tej sprawy starszego sierżanta Chrzastowskiego.

– Jego? Przecież on ma posterunek w Dąbrowie.

– To nic. Na czas prowadzenia dochodzenia będzie do was dojeżdżał.

– Jeżeli taki rozkaz obywatela majora – porucznik nawet był zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Zawsze to lepiej dzielić z kimś odpowiedzialność. Zwłaszcza w sprawie nierokującej, jak na razie, zbyt wielkiego powodzenia.

– Ale pamiętajcie, poruczniku, że bez względu na wasze stopnie służbowe prowadzicie sprawę razem. Jak to się mówi, ręka w rękę. Oczywiście mam wiedzieć o wszystkich szczegółach.

– Tak jest, obywatelu majorze.

– A teraz życzę, abyście wspólnymi siłami odnieśli sukces.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### *Starszy sierżant rozpoczyna dochodzenie*

Kiedy zgodnie z poleceniem Chrzanowski ponownie zameldował się w gabinecie komendanta, major rozpoczął od wymówki:

– No, sierżancie, ładnie się spisaliście, ani słowa. Całą pracę biurową mam w komendzie zdezorganizowaną. Gdybym wiedział, nigdy bym się nie zgodził na danie wam sprawy człowieka z blizną. Milicjantki i urzędniczki, zamiast pracować, szepczą po kątach albo chyłkiem wymykają się z gmachu.

– Co się stało?! Przecież nic nie zrobiłem – Chrzanowski poważnie się zaniepokoił.

– Nic nie zrobił! Jeszcze śmie tak mówić! A trapez?

– Trapez?!

– Nie udawajcie, że nie rozumiecie. Wyjrzyjcie przez okno. Co to za napis u Karola? „Najnowsze paryskie uczesanie *à la* trapez”. Wszystkie baby wariują. Moja też się wczoraj uczesała. Nie wiedziałem, że mam pracowników tak biegłych w sztuce fryzjerskiej.

Major nie mógł już dłużej utrzymać powagi i na widok ogromnego zmieszania sierżanta wybuchnął śmiechem.

– Gdyby teraz były wybory, toby was w Ciechanowie na pewno

wybrali na posła. Dostalibyście wszystkie głosy kobiet i fryzjerów, a więc bezwzględną większość uprawnionych do głosowania. U Karola podobno kolejka już na miesiąc z góry zamówiona. A na tej liście cały mój żeński personel. Dla mężczyzn nie macie czegoś odpowiedniego? Szczególnie dla takich łysiejących, jak ja?

– Co też pan major opowiada – uśmiechnął się Chrzanowski.

Major miał gęste, czarne włosy, lekko falujące, starannie przystryżone.

– A teraz – major wrócił do spraw urzędowych – pójdziecie do porucznika Lewandowskiego. On już wie, że macie razem pracować. Jak się zbłaźnicie, obaj dostaniecie po uszach. Jeżeli wam się uda, cała sława na obu. Ale radzę wam z dobrego serca, przede wszystkim dokładnie i bez pośpiechu przestudujcie całe akta. Dotyczą dwudziestu trzech napadów. Może tam znajdziecie coś, na co wasi poprzednicy nie zwrócili uwagi.

– Tak jest, obywatelu majorze.

– No, to odmaszerować! – major z uśmiechem dostosował się do służbistego tonu swojego podwładnego. Starszy sierżant stuknął obcasami i wyszedł z gabinetu.

W pokoju, w którym wspólnie z drugim oficerem MO urzędował porucznik Andrzej Lewandowski, trudno było się poruszać. Poza dwoma biurkami i kilkoma krzesłami stały tu jeszcze trzy szafy. Zwłaszcza jedna, dwudrzwiowa, zabierała dużo miejsca. Młody oficer zyczliwie przyjął sierżanta. Wyraził nadzieję, że współpraca



będzie zgodna i przyczyni się do wykrycia nieuchwytnego bandyty.

– Wszystkie akta – poinformował porucznik – są w tej wielkiej szafie. Ten, kto dostaje sprawę człowieka z blizną, nie otrzymuje dokumentów, lecz po prostu szafę z całą zawartością. To znacznie wygodniej i praktyczniej, chociaż pudło robi się coraz cięższe. Od kapitana do mnie aż czterech ludzi z trudem przeciągnęło ten mebel.

Porucznik wyjął z kieszeni pęk kluczy na kółku i po wyszukaniu odpowiedniego otworzył obie połówki szafy. Od dołu aż po górną półkę wypełniona była teczkami w różnych kolorach.

– Macie zajęcie, sierżancie, na ładnych kilka dni. Jak to wszystko już przestudiujecie, naradzimy się, co dalej robić. Możecie pracować przy tym biurku, bo porucznik Lesoń wyprowadził się na ten czas do sąsiedniego pokoju.

Sierżant wyciągnął pierwszą z kolei teczkę i pogrążył się w czytaniu. Kiedy skończył, wziął następny zbiór dokumentów. Pamiętając o zyczliwej radzie majora, czytał bez pośpiechu, często powracając do kwestii już przejrzanych. W grubym, czarnym brulionie robił dla pamięci własne notatki i uwagi.

Teraz codziennie przyjeżdżał z Dąbrowy Zakościelnej i już przed ósmą zasiadał przy tym biurku, aby po czwartej wrócić motorem do swojej wsi, gdzie go przecież czekała jeszcze praca na posterunku MO i godziny przeznaczone na przygotowywanie się do matury. Dopiero piątego dnia Chrzanowski zamknął ostatnią teczkę.

– No, sierżancie, wiecie już tyle co ja i tyle, co każdy z oficerów prowadzących tę cholerną sprawę. Co możecie o niej powiedzieć? – zapytał Lewandowski.

– Niewiele mam do powiedzenia, ale kilkoma spostrzeżeniami chciałbym się podzielić. Może się przydadzą.

– Ciekawy jestem – bardziej z grzeczności niż z przekonania powiedział porucznik.

– Przede wszystkim, jeżeli rozpatrywać sprawę pod kątem zlokalizowania napadów, to okaże się, że te miejscowości leżą na obwodzie koła lub, ściślej mówiąc, na obwodach kół koncentrycznych, których wspólnym środkiem jest Ciechanów. Nawet te napady, które zdarzyły się na terenie sąsiednich powiatów, potwierdzają tę regułę.

Porucznik uśmiechnął się i wyjął z szuflady biurka mapę powiatu ciechanowskiego. Mapa upstrzona była gęsto kolorowymi szpileczkami, otaczającymi ze wszystkich stron Ciechanów.

– Macie rację, sierżancie – przytaknął oficer. – Na sztabówce widać to bardzo dokładnie.

– Moim zdaniem – ciągnął Chrzanowski niezrażony tym, że ktoś przed nim dokonał identycznego odkrycia – można wysnuć jeden logiczny wniosek: bandyta lub raczej bandyci mieszkają właśnie w Ciechanowie.

– Przypuśćmy – zgodził się Lewandowski – albo też mieszkają gdzie indziej, na przykład w Warszawie, i dojeżdżają do Ciechanowa w dniu akcji.

Sierżant zignorował tę uwagę.

– Drugie moje spostrzeżenie łączy się z tym pierwszym. Wszystkie napady zdarzały się możliwie blisko głównych dróg powiatu. Drogi te rozchodzą się promieniście z Ciechanowa. Na miejsce napadu bandyci wybierają zawsze taką miejscowość, która leży albo bezpośrednio przy szosie, albo ma połączenie z tą szosą bocznymi drogami, lecz nieprzechodzącymi przez inne wsie.

– Ciekawe spostrzeżenie – porucznik uważnie studiował mapę.  
– Zasadniczo macie rację, chociaż ostatni napad stanowi pod tym względem pewien wyjątek. Morderca, uciekając z Grabienic Małych, musiał jednak przejechać przez inną wieś, Unikowo, zanim dostał się do szosy Ciechanów-Działdowo.

– Ten wyjątek tylko potwierdza regułę – bronił swojego twierdzenia starszy sierżant. – Niech pan nie zapomina, poruczniku, że droga Pokrytki-Unikowo-Czeruchy nie łączy się wprawdzie bezpośrednio z Ciechanowem, ale jest bardzo uczęszczanym traktem.

– Jaki stąd wniosek?

– Oto moja teza: bandyci dokonują napadów tylko w miejscowościach, z których, bez wzbudzenia specjalnego zainteresowania, można dotrzeć do szosy i szybko wrócić do Ciechanowa. Głównym atutem przestępczych akcji jest szybkość ich wykonania. Z miejsca każdego napadu można wrócić do Ciechanowa w ciągu pół godziny, najwyżej czterdziestu minut. To znaczy, kiedy meldunek o przestępstwie dociera do najbliższego posterunku milicji, bandyci są już bezpieczni w Ciechanowie. Jeżeli nawet nie mieszkają w tym mieście, jak wydaje się panu porucznikowi, zdołają spokojnie wsiąść do

pociągu. Dlatego też, moim zdaniem, trzeba prowadzić kontrolę wszystkich motocykli wracających do miasta, bo jak wiemy, przestępcy rozporządzają tym środkiem lokomocji.

- Tego nie jesteśmy zupełnie pewni – zaoponował porucznik.
- Stuprocentowej pewności nie mamy, ale zeznania Feliksiaka i tych dwóch panien ze wsi Łębki niedwuznacznie wskazują, że bandyci uciekali na motorze. Możemy to przyjąć za pewnik.
- Myśl niezła, ale bardzo trudna do wykonania. Z Ciechanowa wychodzi aż sześć głównych dróg. Na każdej musiałby stać milicjant i zapisywać numery motocykli, i to Bóg wie przez ile tygodni. Obawiam się, że jeżeli taką propozycję przedstawię staremu, po prostu wyrzuci mnie za drzwi. Skąd weźmie na to ludzi? Sami wiecie, ile mamy etatów, a ile zadań do wykonania.
- Toteż, poruczniku, nie pójdzie pan z tym do majora. A nawet proszę pana, aby wszystko, o czym tu mówimy, zachowane było w największej tajemnicy. Sprawę kontroli na drogach musimy załatwić tak, aby nikt o tym w Ciechanowie nie wiedział. Może przez komendę wojewódzką, może nawet przez komendę główną?
- Dlaczego? – Lewandowski był zaskoczony.
- Dlatego, że cokolwiek dzieje się w Ciechanowie, łącznie z tajemnicami gmachu komendy powiatowej MO, natychmiast dochodzi do wiadomości bandytów. Najlepiej świadczą o tym fakty. Ponad

trzydzieści razy organizowano zasadzki. Ani razu nie dali się nabrać.

– Przypuszczacie?! – w głosie porucznika zabrzmiało przerażenie.

– Nie mogę wykluczyć, że bandyci mają swojego informatora w milicji. A może, to też nie jest jakimś paradoksem, ten mniejszy, zawsze zamaskowany i milczący, to pracownik komendy?

– Jeden spośród nas? Takie twierdzenie jest wprost nie do przyjęcia!

– A czy porucznik nie zastanawiał się – przerwał mu Chrzanowski – jak to się dzieje, że bandyci zawsze są o wszystkim doskonale poinformowani? Sklepowa ma duży utarg i w środę zamierza odwieźć do banku pieniądze, wobec tego przestępcy zjawiają się we wtorek wieczorem. Ksiądz proboszcz sprzedał swoją warszawę, ale nie zdążył kupić nowej „renówki”. W tym samym dniu „goście” odwiedzają parafię. Chłop zainkasował kilkadziesiąt tysięcy złotych za buraki cukrowe – już na niego czekają w domu. W najgłębszej tajemnicy robimy zasadzkę. Trzech milicjantów przez pięć dni waruje w ciasnej komórce za sklepem. Sprzedawca otrzymuje rozkaz niekontaktowania się z nikim poza normalną obsługą klientów. Nikt we wsi nie ma pojęcia, że milicja obsadziła sklep. Jednocześnie robi się na cały powiat propagandę, że ten sklep uzyskał ponad 150 tysięcy złotych ze sprzedaży towaru. Takiej okazji bandyci nie powinni pominąć. A jednak mija pięć dni i nikt po tę forszę się nie zjawia. Zwijamy obławę i za dwa dni człowiek z bliźną melduje się w sklepie; śmieje się w głos i przyznaje, że nie chodzi mu o te 15 tysięcy, które wtedy inkasuje. Tym razem pragnie zakpić z milicji. Skąd by

bandyci mogli zdobyć te wiadomości, jak nie z tego gmachu?

– To byłoby potworne. To nie mieści się w głowie!

– Ja tego nie twierdzę stanowczo, poruczniku, ale takie wnioski wynikają z faktów.

– Ciągłe mam nadzieję, że się mylicie, chociaż, przyznaję, nie mam w tej chwili kontrargumentów. Jednakże nie możemy niczego robić bez wiedzy majora. Jak by to wyglądało? Podwładni spiskują przeciwko dowódcy?

– Oczywiście – zgodził się Chrzanowski – major jest poza wszelkimi podejrzeniami i musi wiedzieć, co się dzieje na jego terenie. To jasne. Dlatego pan, poruczniku, wtajemniczy we wszystko komendanta. Jestem zupełnie pewien, że przyzna nam rację i zaakceptuje nasz plan.

– Wolałbym nie przeprowadzać tej rozmowy...

– Ja też. Ale nie widzę innej rady.

– Trudno, jak trzeba, to pójdę do starego.

– Dziękuję, poruczniku.

– Przypuśćmy, że uzyskamy zgodę. Wszystkie numery motocykli będą codziennie zapisywane. Ale co to nam da? Przecież w samym Ciechanowie jest najmarniej z półtora tysiąca motorów. A w okolicznych wsiach jeszcze ze dwa razy tyle. Będziemy mieli kilka tysięcy podejrzaných.

– Znacznie mniej. Najwyżej kilku. Proszę nie zapominać, poruczniku, że ogromnej większości napadów dokonano po zmierzchu.

O tej porze ruch motocyklowy gwałtownie maleje. A poza tym będziemy rozporządzali stosunkowo wąskim marginesem czasu: tylko od momentu dokonania napadu do najwyżej jednej godziny później.

– To nie jest takie pewne, ale spróbować można.

– Myślę, że naszej zasadzki nie będziemy ciągnąć w nieskończoność. Jeżeli porównamy daty napadów, łatwo zauważyć, że ogromna ich większość przypada zawsze na miesiące: wrzesień, październik i początek listopada. To zresztą zupełnie zrozumiałe. Wtedy i wieś ma najwięcej pieniędzy, dostaje przecież zapłatę za zbiory i odstawienie zakontraktowanych buraków. Również i warunki techniczne dla dokonania napadu są najlepsze. Długie, ciemne wieczory. W innych miesiącach napady zdarzały się sporadycznie, jedynie wtedy, kiedy na przestępcę czekał wyjątkowo wysoki łup. W grudniu, styczniu, lutym i marcu nigdy nie przeprowadzali oni akcji.

– Rzeczywiście – zgodził się Lewandowski.

– Przestępca nie lubi operować po białym śladzie. W przeciwieństwie do polujących, jest on jednocześnie i myśliwym, i zwierzyną. Poluje na pieniądze, ucieka przed nami. A poza tym w zimie źle się jeździ na motocyklu. Zimno, ręce grabieją, o defekt motoru znacznie łatwiej, można wpaść w poślizg.

– Coraz bardziej podoba mi się wasz plan.

– Jeżeli nasze zamierzenia uzyskają zgodę władz, to przypuszczam, że w czasie najbliższego napadu uzyskamy kilku lub kilkunastu podejrzanych. Przy kolejnym napadzie zorientujemy się, jak

powtarzają się numery motorów. A przy trzecim rabunku będziemy mieli pewność.

- W waszym rozumowaniu jest pewien błąd.
- Jaki, poruczniku?
- Mówicie o trzech napadach. Bandyta zaczął mordować ludzi.

Już się nie zadowala pieniędzmi. Nie możemy spokojnie czekać na nową zbrodnię.

– Naturalnie, nie będziemy czekali. Być może ujmiemy go przedtem.

- W jaki sposób?
- Może po prostu wydedukujemy sobie jego postać z tych akt.
- Nie mam pojęcia, jak to zrobicie.
- Ja też jeszcze nie wiem, ale może nam się uda bliżej określić

jego osobę, co nam ułatwi poszukiwania.

– A jeżeli bandyta jeździ na fałszywych numerach, które zmienia przy każdej akcji?

– To prawie wykluczone. Jeżeli nie bandyta, to przynajmniej motocykl na pewno pochodzi z Ciechanowa. Przestępcy robili wypadki, korzystając ze wszystkich szos wychodzących z tego miasta. Gdyby jakiś ciechanowski motor stale zmieniał numery, wydałoby się to mocno podejrzane, choćby sąsiadom. A poza tym proszę nie zapominać, że bandyci, a przynajmniej jeden z nich, jest człowiekiem stojącym poza wszelkimi podejrzeniami.

– Ależ ten człowiek, jeżeli naprawdę pochodzi z naszego miasta, od razu zauważy wzmożoną kontrolę na drogach wylotowych z Ciechanowa!



– O to właśnie chodzi, żeby nie zauważył. Dlatego ten fakt musimy utrzymać w najściślejszej tajemnicy. Nie może być mowy o patrolu służby ruchu i milicjantach z opaskami. Ci ludzie powinni codziennie dojeżdżać z Warszawy i to w zmienianym składzie ekip i być odpowiednio zakonspirowani. A notować numery tak, aby nikt tego nie zauważył.

– O, to jest najprostsze. Sfotografują każdy mijający ich motocykl.

– Przecież to będzie raczej po zmierzchu, a może zupełnie nocą – zdziwił się sierżant.

– Żadna przeszkoda. Są sposoby fotografowania w promieniach podczerwonych. Odpowiednio zamaskuje się aparat, aby nie zwracał uwagi. Zdjęć nie będziemy nawet wywoływali codziennie. Jeżeli bandyci podejmą jakąś akcję, filmy wywoła się natychmiast.

– Spostrzegłem jeszcze jedną charakterystyczną cechę przy przeglądaniu akt – kontynuował swoje rozważania sierżant.

– Oo! – porucznik z coraz większym szacunkiem odnosił się do „wspólnika”, korygując swoją o nim ocenę. Kiedy major powiedział Lewandowskiemu o nowym współpracowniku, porucznik ucieszył się, że również ktoś drugi poniesie odpowiedzialność za fiasko śledztwa. Bo cóż by mógł do sprawy wnieść mężczyzna w średnim wieku, „żelazny sierżant”, pozostawiony w szeregach milicji bardziej ze względu na dawne zasługi niż na aktualną przydatność. A tymczasem partner okazuje się wnikliwym i pełnym pomysłowości docho-dzeniowcem. Do sprawy człowieka z blizną ludzie, którym ją powierzono, podchodzili bez serca. Z góry zakładali, że nie potrafią

zdemaskować nieuchwytnego bandyty, a powierzenie im akt traktowali jako niezasłużoną karę. Tymczasem starszy sierżant Chrzanowski przede wszystkim nie bał się sprawy, sam podjął ją na ochotnika i wierzył w zwycięstwo. Poza tym, co początkowo porucznik całkowicie zlekceważył, ten człowiek wprawdzie nie miał zawodowego wykształcenia, ale dysponował ogromnym kapitałem wieloletniej praktyki, nabytej na różnych stanowiskach pracy w aparacie. Młody oficer poczuł się jakoś rażniej. Może rzeczywiście zdołają we dwójkę osiągnąć to, co się wielu innym nie udało?

– Czy zauważył pan, poruczniku, że bandyci zawsze rabują tylko gotówkę? Nieraz przecież operowali u bogatych gospodarzy i w dobrze zaopatrzonych parafiach. Tam, gdzie łatwo o cenne futra, srebra lub biżuterię. Pamiętam taki moment zeznania proboszcza z Wasiorowa, że bandyta, ten z blizną, otworzył szuflady biurka i wyjmował z nich pieniądze, biżuterię, trzy złote zegarki, jakieś srebra. To wszystko wykladał na biurko, później dokładnie przeliczył pieniądze i w końcu zapytał, dlaczego brakuje 5 tysięcy złotych.

– To ten ksiądz, który sprzedał samochód?

– Właśnie on. Człowiek z blizną wziął gotówkę, a nie ruszył złotych zegarków i innych drobiazgów, chociaż to wszystko miało taką samą wartość, co suma w banknotach.

– Ale zdaje się, że dwukrotnie wzięto biżuterię. Tak. Na pewno. Przypominam sobie dokładnie, są o tym wzmianki w aktach!

– Dobrze pan pamięta, poruczniku. Ale i wówczas nie zabrano całej biżuterii. Raz starą bransoletkę, a za drugim razem pierścionek z perłą. W obu przypadkach te klejnoty wziął nie człowiek z blizną, ale ten drugi, niższy bandyta. Ciekawe... Przecież zawsze inkasentem jest człowiek z blizną. Ten w czarnej pończosze zazwyczaj asekuje go pistoletem.

– Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. Widocznie te cacka wyjątkowo spodobały się temu czarnemu i postanowił je sobie przywłaszczyć.

– To by świadczyło... – sierżant przerwał.

– O czym?

– Obawiam się, że mój wniosek nie byłby w tej chwili niczym udokumentowany. Lepiej więc, jeżeli chwilowo go przemilczę. Mógłby nas za daleko zaprowadzić, może na fałszywe tory.

– W takim razie – podsumował porucznik – ustalamy, że porozmawiamy z majorem i zwrócimy się z prośbą o obstawę dróg wylotowych z Ciechanowa.

– Mam jeszcze jeden projekt.

– Słucham.

– Musimy szukać człowieka z blizną.

– Ależ chyba cały czas go szukamy!

– Racja – starszy sierżant uśmiechnął się – ale mnie chodzi dosłownie o szukanie ludzi mających taki charakterystyczny znak na czole.

– Moi poprzednicy zawsze od tego zaczęli – wyjaśnił Lewandowski. – Rozpisano listy gończe, lecz nie dało to żadnego wyniku. Wszystko wskazuje na to, że bandyci pochodzą z Ciechanowa.

Miasto nie tak wielkie i trudno wprost zrozumieć, jakim cudem ktoś, kto ma tak charakterystyczny znak, może się z nim ukrywać aż do dzisiejszego dnia. Każdy milicjant zna rozkaz, iż legitymuje, rewiduje i doprowadza do gmachu komendy mężczyznę z blizną nad lewym okiem. Zatrzymano nawet kilkunastu ludzi, ale trzeba było szybko ich zwolnić, bo okazało się, że z naszym człowiekiem z blizną nie mają nic wspólnego poza przypadkową zbieżnością znaku na czole. Gdyby bandyta chodził po ulicach Ciechanowa, na pewno już dawno wpadłby w nasze ręce.

– Może więc w Ciechanowie mieszka tylko ten drugi? A wysoki albo w pobliżu, albo choćby w Warszawie i jedynie dojeżdża tutaj w dniach akcji? Zresztą czy my właściwie wiemy, jak ta blizna wygląda? Poszkodowani wspominają w swoich zeznaniach o szramie nad lewym okiem. Ale jaki kształt ma ten znak, tego nigdzie nie mogłem wyczytać. Nie mówiąc już o tym, że przestrzeń od oka aż do linii włosów jest dość duża. Blizna może być tuż nad okiem albo znacznie wyżej i na co dzień normalnie zasłania ją kosmyk włosów lub nasunięta nieco głębiej czapka.

– Tego w aktach rzeczywiście nie ma, ale po kilku napadach sprowadzono rysownika, który na podstawie zeznań świadków usiłował narysować twarz przestępcy i oznaczyć na czole tę bliznę. Rysunki te są w komendzie wojewódzkiej w Warszawie i możemy je stamtąd sprowadzić. Pamiętam dobrze, że bliznę rysowano w postaci niepełnego trójkąta, a właściwie dwóch jego boków. Mniejszy tuż nad okiem, większy na skos czoła. Nie dochodził jednak do linii

włosów. Ci, którzy zetknęli się z bandytą, twierdzą, że szrama ma kolor jasnoczerwony lub różowy. Taki, jaki przybiera rana zarośnięta świeżą skórą. Nie ma mowy, żeby taką bliznę mogła zakryć czapka lub kosmyk włosów.

– Sądzę, że dobrze byłoby rozejrzeć się w powiecie; popytać komendantów posterunków i milicjantów, czy na ich terenie są ludzie z podobną blizną.

– Mówiłem wam, że był rozesłany list gończy.

– To mało. Z praktyki wiem, że na takie listy nie zwraca się zbyt wielkiej uwagi, prawie zupełnie zapomina się o nich po upływie kilku tygodni. Co innego polecenia komendy powiatowej, żądającej odpowiedzi w ściśle określonym terminie. Trzeba ponadto zobowiązać kolejny komisariat MO na dworcu w Ciechanowie, żeby jego pracownicy obserwowali ludzi wysiadających z pociągów. Jeżeli człowiek z blizną mieszka poza naszym miastem, musi tu przyjeżdżać przynajmniej w dniach dokonywania napadów lub przed napadem, dla poznania okolicy. Te przestępstwa charakteryzuje doskonała znajomość terenu, a więc poprzedzone są drobiazgowym wywiadem.

– Macie rację, sierżancie. Takie polecenie trzeba wydać. Wyobrażam sobie jednak, jak wszyscy będą nas klęli za tę dodatkową robotę.

– Niech klną, byleby złapali przestępców. Co do mnie, od tej chwili na każdego przechodnia będę patrzył zupełnie inaczej, przede wszystkim będę przyglądał się, czy na jego czole nie znajduje się jakiś podejrzaný ślad.

Wbrew obawom młodego oficera, komendant nie okazał zdziwienia ani oburzenia i bez sprzeciwu zaakceptował wszystkie wnioski zgłoszone przez prowadzących śledztwo. Lewandowski był lojalnym kolegą i nie ukrywał, że właściwym motorem pomysłów jest nie on sam, lecz sierżant Chrzanowski.

– W takim razie dobrze się stało – powiedział na zakończenie rozmowy szef ciechanowskiej milicji – że sprawą zajął się ktoś, kto stoi nieco z boku naszego urzędu. Ma inne, bardziej obiektywne spojrzenie. Rzeczywiście, trudno wytłumaczyć, w jaki sposób bandyci zdobywają wiadomości, które są nieraz tajemnicą tylko tego gmachu. W tej sytuacji nie można wykluczyć nawet najgorszych przypuszczeń. Ludzie są tylko ludźmi. Byłbym niezmiernie rad, gdyby podejrzenia Chrzanowskiego okazały się pomyłką, ale nie ukrywam, że jeszcze bardziej ucieszę się, jeżeli złapiecie przestępców. Bo to już nie rabusie pieniędzy, ale mordercy.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### *Znowu napad!*

Wiele gospodarstw we wsi Sarnowa Góra pobudowało się „na koloniach”. Po komasacji zwarta zabudowa wsi znacznie się rozluźniła. Byli tacy, którzy uważali, że będzie wygodniej postawić dom mieszkalny i budynki gospodarcze na środku swojej działki. Jedną z takich kolonii zamieszkiwał Józef Mierzejewski wraz z rodziną, składającą się z żony, trzech synów i córki.

Tego dnia ojciec z synami wykopywali ziemniaki. Zagon ziemniaków znajdował się najwyżej trzysta metrów od domu mieszkalnego. Matka z córką wróciły do domu wcześniej, aby w porę obrządzić żywy inwentarz.

Dochodziła trzecia po południu, kiedy drzwi z sieni do kuchni otworzyły się i do izby weszło dwóch mężczyzn. Jeden wysoki, drugi niski. Obydwaj mieli w rękach pistolety. Ten niższy naciągnął na głowę czarną pończochę, aby nie można było rozróżnić rysów twarzy. Wyższy, jasny blondyn, miał odkryte czoło, które nad lewym okiem przecinała jasnoczerwona trójkątna blizna. Resztę twarzy kryła czarna maska. Mały zatrzymał się przy drzwiach, wyższy stanął na środku kuchni.

– Nie bójcie się – uspokoił przerażone kobiety – nic wam nie zrobimy. Możecie dalej zajmować się swoją robotą. Tylko nie wolno wam stąd wychodzić.

Człowiek z blizną usiadł na stołku przy oknie. Stąd widać było dojazd prowadzący od wsi do kolonii. Człowiek w pończosze pozostał przy drzwiach i nie odzywał się.

Tak upłynęło ze 20 minut. Przerażonej gospodyni i jej trzynastoletniej córce, jak to się mówi, wszystko leciało z rąk. Mogły jedynie markować pracę. Zamaskowani bandyci pozornie nie zwracali na nie najmniejszej uwagi. Przede wszystkim pilnie obserwowali, co działo się na podwórzu.

– Już jedzie – powiedział w pewnej chwili ten wysoki.

Na te słowa niższy przesunął się tak, aby ukryły go otwarte drzwi do sionki. Blondyn odszedł od okna i stanął za kuchnią, żeby również być niewidocznym dla kogoś wchodzącego do izby.

– Teraz ani słowa – powiedział do obu kobiet – bo zabiję!

Pod budynek podjechał na rowerze listonosz. Zsiadł z roweru, oparł go o ganek i wszedł do kuchni, nie spostrzegając ukrytych bandytów.

– Dzień dobry – przywitał wesoło kobiety – przywiozłem dla was pieniądze. Niedużo tego, bo tylko sto złotych, ale i to się przyda.

Zdjął z ramienia dobrze wypakowaną skórzaną torbę, położył na stole i zaczął szukać przekazu pocztowego.



W tym momencie niski bandyta, stojący za drzwiami, popchnął je tak, że z hałasem się zatrzasnęły. Na ten odgłos listonosz odruchowo się odwrócił. Wtedy dopiero ujrzał zamaskowaną postać z pistoletem w ręku.

– Nie ruszaj się! Ręce do góry! – drugi z przestępców także wyszedł z ukrycia, z bronią skierowaną w funkcjonariusza poczty.

Kobiety, nie mniej przerażone od listonosza, widziały, jak on bladł. Cała krew odpłynęła mu z twarzy, a na czoło zaczęły występować wielkie krople potu. Wolnym ruchem podniósł ręce do góry.

– Nie zabijajcie go! – histerycznie krzyknęła dziewczyna.

– Jeżeli będzie mądry, włos mu z głowy nie spadnie – uspokoił ją blondyn i polecił swojemu pomocnikowi – obszukaj go, czy ma broń.

Mały bandyta podszedł do listonosza, pamiętając, aby nie znaleźć się między nim a pistoletem w ręku wysokiego. Stanął za plecami pocztowca, szybko i zręcznie zbadał zawartość jego kieszeni. Tym razem też nie wymówił ani słowa i cofnął się na znak, że zrewidowany jest bezbronny.

– Odejdź od torby. Stań twarzą do ściany – polecił człowiek z blizną.

Sterroryzowanemu nie pozostało nic innego, jak spełnić te rozkazy. Niski stanął teraz w ten sposób, żeby mieć na oku zarówno listonosza, jak i obydwie kobiety, matkę i córkę. Drugi bandyta podszedł do leżącej na stole torby.

– Możesz opuścić ręce – zgodził się łaskawie.

Człowiek z blizną wyjął z torby pieniądze i przekazy pocztowe. Inna korespondencja wyraźnie go nie interesowała. Pobieźnie przejrzał przekazy i uważnie przeliczył banknoty.

– Jest 18 tysięcy 290 złotych – powiedział i dodał, zwracając się do gospodyni – niech pani dobrze zapamięta 18 290 złotych. Tak pani zezna milicji, żeby nie myśleli, że pod pozorem napadu listonosz przywłaszczył sobie część pieniędzy.

Mężczyzna spokojnie schował banknoty do kieszeni i przez chwilę badał wzrokiem sytuację za oknem.

– Możemy iść – powiedział do swojego towarzysza, a pozostałym polecił: – Przez piętnaście minut niech nikt nie wychodzi z domu. Zostańcie z Bogiem.

Obaj bandyci wyszli tak nagle, jak nagle się pojawili. Listonosz podskoczył do okna.

– Tu ich nie widać, czy macie okna wychodzące na inną stronę?

– W pokoju – dziewczyna wskazała drzwi prowadzące do sąsiedniego pomieszczenia.

Listonosz wraz z gospodynią przeszli do drugiej izby i ostrożnie wyjrzeli. Obaj bandyci szli, nie spiesząc się, miedzą przez pola w kierunku niewielkiego lasu, który zaczynał się jakieś sto metrów za domem.

– Pojadę na wieś! Trzeba zawiadomić milicję! U sołtysa jest telefon.

– Niech pan jeszcze poczeka – ostrzegła gospodyni – dopóki tamci nie wejdą w las. Wtedy nie będą pana widzieli.

Odczekali jeszcze kilka minut i kiedy bandyci zniknęli wśród drzew listonosz skoczył do swojego roweru.

– Psiakrew, cholera! – zaczął kląć niewybrednie – obie kichy mi te ...syny poprzecinali! Muszę na piechotę.

– Zawołaj ojca – matka wysłała córkę do kopiących ziemniaki.

Porucznik Lewandowski i starszy sierżant Chrzanowski skończyli już urzędowanie, kiedy do komendy nadszedł meldunek o kolejnym wyczynie człowieka z blizną. W parę minut potem milicyjna warszawa gnała już w stronę Sarnowej Góry. Nie upłynęło i pół godziny, kiedy auto zatrzymało się przed domem sołtysa. Starszy sierżant cały czas uważał, czy na szosie nie mijają ich jakieś motocykle i notował ich numery. Spotkali dwie maszyny.

– Gdzie ten listonosz? – zapytał porucznik, wyskakując z samochodu.

– Wrócił do Mierzejewskiego. Do tego domu, gdzie go obrabowali. Kazałem mu tam czekać i niczego nie ruszać.

Młody oficer nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Czy to wpływ czytanych kryminałów, czy też instrukcji rozesłanych przez komendę MO, w każdym razie postęp był widoczny. W przeciwieństwie do poprzednich napadów znalazł się tu ktoś, kto zatroszczył się o zabezpieczenie śladów.

– Wsiadajcie, sołtysie i pokazujcie drogę.

Niedługo potem samochód wjechał w obejście Józefa Mierzejewskiego.

Cała rodzina rolnika i pechowy listonosz czekali przed domem. Rozpoczęły się pierwsze czynności dochodzenia: fotografowanie miejsca, w którym popełniono przestępstwo i szczegółowe przesłuchiwanie świadków napadu.

– Nie mogłem się bronić – tłumaczył biedny listonosz – jednego miałem z przodu, drugiego z tyłu. Obaj z pistoletami w rękach. Krok bym dał i byłoby po mnie. Złapali mnie niespodziewanie. Wchodzę spokojnie do izby, witam się z domownikami, a tu nagle wyskakuje taki z kąta i mówi: „ręce do góry”. Co miałem robić?

– Nikt nie ma do was pretensji – uspokajał listonosza starszy sierżant.

– Może by komenda milicji napisała do urzędu pocztowego, że nie było mojej winy? Żebym nie miał nieprzyjemności i żeby mi nie kazali zwracać tych pieniędzy, które oni zabrali.

– My też, panie poruczniku – włączyła się gospodyni – nie mogłyśmy mu pomóc. Co my dwie biedne kobiety przeciwko mężczyznom i to z bronią? A Irka to przecież jeszcze dziecko...

– Wszystko rozumiem. Jak będzie potrzeba, wyślemy oficjalne pismo do władz poczty z wyjaśnieniem okoliczności. Powiedźcie, dlaczego weszliście do domu Mierzejewskich – wypytywał listonosza porucznik.

- Miałem dla nich przekaz pieniężny. Przyszedłem wypłacić.
- Zawsze nosicie tyle pieniędzy ze sobą?
- Nie. Najczęściej po trzy, najwyżej cztery tysiące złotych. Jesienią jest więcej, bo dużo przekazów. Z cukrowni, z mleczarni albo za odstawę kontraktacji. Teraz dlatego tyle się zebrało, że płacą tytoniarzom.
- Tym, którzy zakontraktowali tytoń? – domyślił się Lewandowski.
- Właśnie – przytaknął listonosz.
- Wy także kontraktujecie uprawę tytoniu?
- Nie – zaprzeczył gospodarz. – Za wiele z tym roboty, a i trzeba mieć specjalne urządzenia. Szopy do suszenia liści i do ich fermentacji. Poza tym u mnie, pod lasem, czarnoziem. Ziemia dobra pod buraki cukrowe i pszenicę. A tytoń woli lekkie, za to dobrze nawożone gleby.
- Panie poruczniku – uzupełnił listonosz – tytoń kontraktują najwięcej w Zochach i okolicznych wioskach, a trochę w Sarnowej Górze. Właśnie delegatura monopolu w Ciechanowie rozlicza się z rolnikami. Codziennie jest kilkanaście przekazów na spore sumy. Całe szczęście, że już w Zochach wszystko wypłaciłem, bo miałem przeszło 60 tysięcy złotych. Zwykle jadę z pocztą z drugiej strony, od Skarżynka, przez Łebki Wielkie do Sarnowej Góry i później do Zoch, ale dzisiaj trafiła mi się ciężarówka z cukrowni do Ojrzenia i zabrali mnie razem z rowerem, więc zacząłem od Zoch, gdzie były największe wypłaty.

– A co to za przekaz do Mierzejewskiego? – zainteresował się porucznik.

– Niewiele, na 100 złotych. Od kogoś w Ciechanowie. Czy odszukać?

– Poszukajcie – zgodził się porucznik. Dobrze wiedział, że na przekazach i innej korespondencji nie znajdzie żadnych odcisków palców człowieka z blizną, bo trójka przesłuchiwanym była zgodna co do tego, że bandyta miał rękawiczki.

– Łatwo znaleźć – wyjaśnił pocztowiec – bo ten przekaz pisany jest na maszynie. Oto on, proszę – podał porucznikowi blankiet pocztowy.

– Ooo! – wykrzyknął oficer milicji, oglądając przekaz – spójrzcie, sierżancie! To już bezczelność! – podał blankiet Chrzanowskiemu.

Sierżant obejrzał dokument i nie umiał ukryć zdziwienia. W rubryce „nadawca” figurowało napisane na maszynie: „Andrzej Lewandowski”, a pod nazwiskiem domowy adres porucznika milicji.

– To już przechodzi wszelkie wyobrażenie! – zdenerwował się oficer – ten ...syn najwyraźniej kpi ze mnie. Niech ja go dostanę w swoje ręce!

Bandyci zatarli jednak za sobą ślady, poszukiwania w lesie nie przyniosły żadnego rezultatu i porucznik musiał na później odłożyć słodką chwilę zemsty.

– Ten las – wyjaśnił sierżant Chrzanowski – ciągnie się aż do szosy Płońsk – Ciechanów. Jest on przecięty kilkoma drogami i wieloma ścieżkami. Można nim niepostrzeżenie dotrzeć do szosy i wyjść

na nią pomiędzy wsiami Kraszowe i Skarżynek. Przypuszczam, że bandyci przyjechali motocyklem, ukryli go na skraju lasu, a po napadzie wsiedli na motor i wrócili do Ciechanowa.

– Ile czasu upłynęło od napadu do momentu podniesienia przez was alarmu? – dopytywał się porucznik.

– On zakazał nam wychodzić z domu przez 15 minut – odpowiedział listonosz – ale ja nie czekałem tyle. Kiedy tylko bandyci zniknęli w lesie, wyskoczyłem z chałupy. Chciałem rowerem podjechać do sołtysa, ale drań pociął mi obydwie opony. Musiałem iść na piechotę.

– Stąd do sołtysa jest chyba z kilometr – zauważył starszy sierżant.

– Będzie przeszło półtora – dodał przedstawiciel wiejskiej władzy. – Mój dom na drugim końcu wsi.

– Byliście w domu?

– Nie. Ogławiałem buraki. Ale niedaleko. Synek mnie zawołał.

– To znaczy pomiędzy napadem a waszym telefonem do milicji musiało upłynąć z pół godziny. Prawda?

– Tego ja nie wiem. Kiedy tylko Adaś zawołał, że listonosza obrabowali, poszedłem do domu i zadzwoniłem na posterunek w Ojrzeniu.

– A wy, kiedy weszliście do domu Mierzejewskiego?

– Jak zsiadałem z roweru – wyjaśnił listonosz – to spojrzałem na zegarek. Było równo dziesięć po trzeciej. Później już nie sprawdziłem godziny.

– Cała akcja trwała nie dłużej niż pięć minut – obliczał porucznik – a więc bandyci wyszli z domu piętnaście po trzeciej. Meldunek do komendy wpłynął za pięć czwarta. Po czterdziestu minutach. Stąd do Ciechanowa jest według licznika naszej warszawy szesnaście kilometrów. Uwzględniając, że w lesie uciekający nie mogli rozwinać zbyt wielkiej szybkości, w momencie, kiedy wyjeżdżaliśmy z Ciechanowa, przestępcy już co najmniej od 10 minut byli w domu. Może nawet obserwowali nasz wyjazd?

– To by się zgadzało, co pan porucznik mówi – przytaknął kapral prowadzący milicyjny samochód.

Ponieważ dochodzenie na miejscu przestępstwa zakończono, bo niewiele tu zresztą było do roboty, Lewandowski ze swoją ekipą wrócił do komendy. Razem z sierżantem zameldowali się u majora. Był wyraźnie zaniepokojony.

– Ten drań wie o wszystkim, co się u nas dzieje, nawet to, że wy prowadzicie dochodzenie. Kawał ze zwabieniem listonosza na miejsce zasadzki jest tak stary, jak sama instytucja poczty. Jedynym urozmaiceniem dowcipu jest wypisanie blankietu na wasze nazwisko, oficera prowadzącego sprawę.

– Trzeba znaleźć, panie majorze, maszynę, na której pisano ten przekaz. W Ciechanowie jest sporo maszyn do pisania, ale w urzędach łatwo je skontrolować. A ta ma wyraźne odkształcenia od normy. Litera „w” jest uszkodzona, zaś „o” wybija się nieco ponad kreskę. Z takimi znakami szczególnymi powinno się ją bez trudu odszukać.



– Ciekawe – major uważnie obejrzał przekaz, potem otworzył teczkę z nagłówkiem „do podpisu” i zaczął uważnie studiować jedno z pism. – Nie tracimy czasu na poszukiwania – major spoważniał – tę maszynę z uszkodzonym „w” doskonale znam. Ile już razy kazałem konserwatorowi, żeby ją naprawił.

Stoi w sąsiednim pokoju. W moim sekretariacie. Sierżancie, poproście sekretarkę!

Panna Ela weszła do gabinetu.

– Elu – zapytał komendant – wypisywałaś ostatnio jakieś przekazy pocztowe?

– Nie, panie majorze.

– A może ktoś inny korzystał w tym celu z twojej maszyny?

– Owszem – wyjaśniła spokojnie sekretarka – pan porucznik Lewandowski.

Gdyby zamiast tych słów w gabinecie wybuchła bomba, jej efekt nie byłby większy. Lewandowski zbladł jak ściana, chciał coś powiedzieć, ale major dał znak, aby milczał. Starszy sierżant ze zdziwieniem spoglądał na młodego oficera.

– Dawno porucznik wypełnił ten przekaz? Jeden czy więcej?

– Przed kilku dniami. Trzy czy cztery dni temu – panna Ela odpowiadała na pytania, nieco nimi zdziwiona, lecz nie zwróciła uwagi na zmieszanie Lewandowskiego. – Porucznik wystukał dwa lub trzy przekazy. Zauważyłam jeden blankiet wkręcony w maszynę, a inne leżące na stoliku.

– Dziękuję. Już nie jesteś nam potrzebna – major ze zdenerwowania zwracał się do dziewczyny per „ty”, chociaż zawsze mówił do niej „panno Elu”.

Sekretarka opuściła gabinet.

– Słucham, poruczniku!

– To potworna prowokacja. Jakiś nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Przecież ja nie jestem bandytą ani jego współnikiem. Proszę, niech major mnie aresztuje i przeprowadzi dochodzenie. To potworne. Co za dranie! – młody oficer był bliski załamania.

– Czy porucznik rzeczywiście pisał przekazy?

– Pisałem – przyznał Lewandowski. Co miesiąc nadaję 300 złotych dla matki i 200 złotych dla młodszego brata. On studiuje na Politechnice Wrocławskiej. Po otrzymaniu pensji wypełniam blankiety, bo ręką bazgrzę jak kura pazurem. Robię to na maszynie Eli. Pensję wypłacili nam pierwszego, a ja drugiego października pisałem przekazy. To było nie cztery, ale pięć dni temu. Dwa przekazy.

Major odetchnął głęboko.

– Uspokójcie się, poruczniku. Wierzę wam, ale dla porządku sprawdzimy. Jestem przekonany, że ktoś usiłował rzucić na was podejrzenie. Za waszą niewinnością przemawia przede wszystkim fakt, że to właśnie wy zwróciliście uwagę, iż w tym gmachu może pracować współnik lub informator bandy. Po drugie nie jesteście taki głupi, aby wypełniać przekaz na własne nazwisko, nawet gdybyście to zrobili na maszynie stojącej w sekretariacie. Do tej maszyny, praktycznie biorąc, ma dostęp każdy pracownik komendy. Ale powtarzam,

choć jestem przekonany o waszej prawości, sprawa wygląda bardzo poważnie. I bardzo smutno. Jeżeli banda może posługiwać się maszyną do pisania komendy powiatowej MO, nie wymaga to chyba komentarzy.

– Panie majorze – ofiarował się starszy sierżant – zaraz pójde na pocztę i wyjaśnię historię tych przekazów.

– Idźcie, sierżancie. Naturalnie wszystko w jak najgłębszej tajemnicy. A wy, poruczniku, żeby nie robić niepotrzebnie sensacji, bo wyglądacie jak angielska śmierć, posiedźcie przez ten czas w moim gabinecie. Weźcie te akta, ulokujcie się przy stoliku pod oknem i udawajcie, że pracujecie.

– Pan major pozwoli, że oddam broń – to mówiąc, porucznik Lewandowski położył na biurku komendanta swój pistolet.

– Dobrze – major schował broń do szuflady biurka.

Sierżant opuścił gabinet, a Lewandowski przeniósł się pod okno. Usiłował czytać podane mu akta, ale ręce tak mu drżały ze zdenerwowania, że nie mógł utrzymać papierów.

Starszy sierżant długo nie wracał z urzędu pocztowego. Tymczasem w gabinecie majora zmieniali się interesanci, przeważnie oficerowie i pracownicy komendy. Każdy z nich obrzucał Lewandowskiego zaciekawionym spojrzeniem, kryjącym w sobie pytanie, dlaczego młody porucznik urzęduje nie w swoim pokoju, tylko u starego.

Wreszcie otworzyły się drzwi i stanął w nich Chrzanowski. Lewandowski spojrzał na niego takim wzrokiem, jak tonący, który wreszcie zobaczył zbawczą brzytwę.

– Sprawdziłem, obywatelu majorze – starszy sierżant jak zawsze był służbistą. – Zgadza się. Porucznik Lewandowski nadał przed pięcioma dniami dwa przekazy do rodziny. Urzędniczka doskonale pamięta, że nadawał pieniądze osobiście.

Młody oficer odetchnął z ulgą.

– Natomiast ten trzeci przekaz nadano przedwczoraj. Nikt z pracowników poczty nie przypomina sobie, czy porucznik był w urzędzie. Nikt też nie pamięta osoby nadawcy pieniędzy do Józefa Mierzejewskiego. Wtedy w urzędzie był duży ruch, okienka zablokowane, bo urzędniczka z delegatury monopolu przyniosła przeszło 100 przekazów adresowanych do plantatorów tytoniu. Jedno okienko zablokowała na całą godzinę, to przed drugim zrobił się solidny ogon. Pocztcowcy pracowali jak w ukropie i nikt nie zwracał uwagi na twarze, a jedynie na dokumenty.

– Przypuszczałem, że wrócić z takimi wiadomościami. Sprytnie pociągnięcie. Bandyta może wprawdzie nie liczył, że jego manewr doprowadzi do aresztowania Lewandowskiego, ale spodziewał się, że w ten sposób zdezorganizuje dochodzenie i posieje nieufność w gmachu komendy. Na szczęście, jeśli chodzi o tę nieufność, już go uprzedziliśmy. Weźcie swoją armatę, poruczniku – major wyjął pistolet z szuflady i oddał ją Lewandowskiemu. – Trzeba teraz polecieć

tym na szosach, aby jak najszybciej wywołali swoje filmy.

– Bardzo przepraszam, obywatelu majorze, ale kiedy na poczcie kazano mi czekać pół godziny, bo musieli odszukać wtórniki kwitów, wsiadłem na motor i już wydałem odpowiednie zarządzenie. Obiecali dostarczyć nam jutro rano cały rejestr numerów.

Major z uznaniem spojrzął na starszego sierżanta. Operatywność i pomysłowość tego starego pracownika aparatu coraz bardziej zadziwiała komendanta powiatowego. Już dawno przestał żałować, że zgodził się na jego prośbę i przydzielił go do prowadzenia sprawy człowieka z bliźną.

– Czy na tych zdjęciach będzie również widać sylwetki jadących? – zapytał.

– Tak, ale tylko plecy – wyjaśnił Chrzanowski. – Fotografują motocykl dopiero wtedy, kiedy minie on obserwatora. Dzięki temu nie budzi się podejrzeń. A poza tym tabliczka z tyłu motoru jest większa i wyraźniejsza od tej na przednim kole.

– Może poznamy go po plecach? – Lewandowski po przeżyciach ostatnich dwóch godzin nareszcie odzyskał głos.

– Bardzo wątpię – major był pesymistą.

Fachowcy z komendy wojewódzkiej dotrzykali słowa. Nazajutrz z samego rana na stole majora leżała zalakowana koperta, opatrzona stemplem „ściśle poufne, do rąk własnych”. Kiedy komendant otworzył ją, znalazł wewnątrz 26 numerów motocykli. Tyle maszyn wjechało do miasta w czasie krytycznym dla napadu. Do wykazu

numerów dołączone były zdjęcia. Kolekcja 26 pleców. Mężczyzn i kobiet. Prawie wszystkie pojazdy miały numery rejestracyjne województwa warszawskiego, z Ciechanowa i sąsiednich powiatów; zaledwie 4 z innych województw.

Major polecił wezwać do swojego gabinetu Lewandowskiego i starszego sierżanta. Pokazał swoim pracownikom wykaz i zdjęcia. Chrzanowski dokładnie oglądał każdą fotografię. Jedną z nich odłożył na bok.

– Ten numer jest fałszywy – powiedział.

– Skąd wiecie? – Lewandowski ze zdziwieniem oglądał zdjęcie, na którym był widoczny tył motocykla z jadącymi na nim dwiema osobami. – Przecież rejestracja jest prawidłowa. Po czym poznajecie, że numer fałszywy?

– Ano po tym – spokojnie wyjaśnił starszy sierżant – że to jest numer mojego motoru. A ja wtedy byłem razem z porucznikiem w gmachu komendy lub też byliśmy już w drodze na miejsce przestępstwa. Mój motor stał na podwórzu komendy i na pewno nikt na nim nie jeździł.

Lewandowski osłupiałym wzrokiem spojrzął na swojego współpracownika, a później wybuchnął śmiechem.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### *Wizyta na plebanii*

Wszyscy domownicy siedzieli przy telewizorze. *Stawka większa niż życie* – to przecież święto narodowe. Ksiądz Lang, w wygodnym fotelu, z żywym zainteresowaniem śledził przygody nieustraszonego kapitana Klossa. Poza nim w pokoju znajdowała się Janina Seremińska, siostra proboszcza z Bogucina, stale opiekująca się bratem na plebanii, jej córka Krystyna, studentka jednej z warszawskich wyższych uczelni, Helena Tamroszowa, gospodyni księdza oraz stary kościelny Franciszek Szczupak.

Przed plebanią zatrzymał się motocykl. Za chwilę motor zgasł.

– Pewnie do księdza dobrodzieja – zauważył kościelny – trzeba będzie jechać z Panem Bogiem.

– Przynajmniej w czwartek wieczorem mogliby wujowi dać spokój – zachnęła się siostrzenica proboszcza.

– Jak trzeba, to trzeba, moje dziecko – proboszcz był przyzwyczajony do takich wezwań – przecież nie mogę odmówić.

– To na pewno znowu ta stara Pociejowa. Już piąty raz cię wzywa w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Stara dewota. Tak jej do śmierci, jak nam wszystkim.

– Niezbadane są wyroki Boże – mruknął ksiądz.

W tej chwili rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych.

– Ja otworzę – ofiarowała się gospodyni i wyszła z pokoju.

– Musi to nie Pocijowa – powiedział Franciszek Szczupak. – Oni zawsze przyjeżdżają furmanką, a nie na motorze.

Ale oto w drzwiach stanął wysoki mężczyzna o jasnych włosach. W jego ręku błyszczał pistolet. Twarz zasłaniała mu czarna maska. Na czole, nad lewym okiem, widać było czerwoną, trójkątną szramę.

– Nie ruszać się, bo strzelam – powiedział spokojnie, lecz zdecydowanym tonem.

Krystyna zerwała się ze swojego krzesła i w tej samej chwili padł strzał. Tynk posypał się ze ściany.

– Nie ruszać się! – człowiek z blizną podniósł głos. Za drugim razem nie będą strzelał w górę. Zabiję!

Domownicy znieruchomieli. Bandyta przeszedł na środek pokoju. Teraz weszła tu również blada jak trup Helena Tamroszowa. Za nią szedł drugi mężczyzna, z pistoletem w ręku. Zatrzymał się w drzwiach, lufę skierował na siedzących przy telewizorze. Głowę i twarz miał zakryte ciemną pończochą i niepodobieństwem było odróżnić kolor włosów i rysy.

– Wszyscy patrzą w telewizor i nie ruszają się – powiedział człowiek z blizną. – Ksiądz wstanie i przejdzie tutaj, pod ścianę, koło biurka.

Proboszcz potulnie spełnił ten rozkaz.

– Gdzie ksiądz ma pieniądze?



– Jakie pieniądze? Nie mam żadnych pieniędzy – po raz pierwszy zaoponował proboszcz.

– Nie kłamać! Ksiądz wziął dzisiaj 23 tysiące za buraki. Dawać te pieniądze! Prędej! Nie ma czasu na żarty. No już! Najpierw zastrzelę tę małą, potem kolejno resztę. Na końcu księdza.

– Józek! – krzyknęła pani Seremińska – na miłosierdzie boskie, niech nie zabija! Daj mu te pieniądze!!

– Są w portfelu w środkowej szufladzie biurka... – wyjąkał ksiądz i podał klucze.

Bandyta otworzył i wysunął szufladę, bez trudu odnalazł portfel i zaczął z niego wyjmować banknoty. Następnie przeszukał dokładnie szufladę i zabrał się do sprawdzania zawartości pozostałych. Z jednej z nich wyciągnął kasetkę w zakopiańskim stylu. Na blat biurka wysypał z niej garść różnych świecidełek. Odsunął je i zaczął liczyć pieniądze.

– 23 tysiące – powiedział, chowając gotówkę do kieszeni.

– To całe moje oszczędności – płaczącym tonem zauważył ksiądz Lang.

– Nie szkodzi. Da sobie ksiądz radę i bez tego. Zawsze ksiądz uczył, że pieniądze szczęścia nie dają, a tylko wiara, cnotliwe życie i dobre uczynki. Właśnie teraz ksiądz spełnia taki jeden dobry uczynek.

– Ale pan spełnia zły uczynek – ośmielił się zauważyć proboszcz.

– Biorę to na swoje sumienie. A zresztą... Żeby było między nami na remis – bandyta sięgnął do kieszeni, wyjął schowany tam

przed chwilą plik banknotów, oddzielił od niego jedną pięćsetkę i położył na stole. – Ksiądz dobry uczynek i ja dobry uczynek – roześmiał się. – Między nami kwita, chociaż jestem pewien, że gdybym lepiej przeszukał plebanię, znalazłby się jeszcze niejeden tysiączek.

– Nie, nie – szybko zaprotestował ksiądz proboszcz.

– A stratą niech się ksiądz nie martwi – szydził napastnik. – Trochę krócej przyszytych swoje owieczki i pieniądze się zwrócą. Idziemy – dodał, zwracając się do swojego towarzysza.

Bandyta w czarnej pończosze na głowie ociągał się z opuszczeniem pokoju. Podszedł do biurka i zaczął oglądać leżące na nim klejnoty. Szczególnie zainteresował go wisiorek: szafir na platynowym łańcuszku.

– No, bierz, co chcesz, i idziemy – przynaglał wysoki.

Człowiek w pończosze schował klejnot do kieszeni.

– Przyjemnej telewizji – rzucił wysoki na pożegnanie.

Warkot odjeżdżającego motoru był sygnałem, że bandyci opuścili plebanię.

– Trzeba dzwonić do milicji! – Krystyna pierwsza odzyskała energię.

– Telefon nieczynny – oznajmiła gospodyni. – Kiedy otworzyłam im drzwi, to ten wysoki przyłożył mi pistolet do piersi i kazał być cicho, a ten mały wyjął nóż i przeciął druty. Potem ten duży

kazał małemu mnie pilnować i dopiero za jakiś czas przyprowadzić do pokoju.

– Gonić ich, aresztować! – ksiądz proboszcz ochłonąwszy ze strachu uprzytomnił sobie, jak wielką poniósł stratę.

– Telefon jest u sołtysa. Tamtego chyba nie zepsuli – podpowiedział Franciszek Szczupak.

– Pobiegnę do sołtysa – ofiarowała się Krystyna – zaalarmuję milicję.

– Nie pójdziesz – zaprotestowała matka.

– To ja pójdę – rzekł kościelny.

– Pójdziemy razem z panem Franciszkiem – uparła się studentka.

Jedyną zdobyczą dochodzenia milicyjnego, prowadzonego na plebanii, była wydłubana z muru kula pistoletowa. Trochę spłaszczony pocisk, ale nie aż tak, żeby ekspertyza miała trudności z ustaleniem, że wyszedł z tej samej broni, którą przed kilku tygodniami pozbawiono życia Antoninę Michalakową, kierowniczkę sklepu w Grabienicach Małych. Zdobyto też łuskę pocisku, co również mogło mieć znaczenie przy ewentualnej późniejszej identyfikacji broni.

Natomiast droga ucieczki nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości. Jeden z mieszkańców Bogucina szedł wieczorem przez wieś i widział wyjeżdżający z plebanii motocykl z dwoma pasażerami. Motor skręcił w prawo, przejechał przez wieś w kierunku oddalonej o trzy kilometry szosy Ciechanów-Pułtusk. Inny rolnik, wracający furmanką z Ciechanowa, również widział o tej samej porze

motocykl, który wyjechał z bocznej drogi i skręcił szosą w stronę miasta powiatowego. Żaden z tych świadków nie potrafił jednak opisać jadących na motorze.

Blokada szos działała nadal, dlatego zdołano stwierdzić, że pomiędzy 21.00 a 22.00 tylko jeden motocykl wjechał do miasta szosą pułuską. Fotografia wykonana techniką promieni podczerwonych nie była zbyt wyraźna, ale pozwalała zauważyć, że motorem jechały dwie osoby. Ta na tylnym siodełku była niższa i ubrana w jasny płaszcz. Wprawdzie w czasie napadu na plebanię obydwaj bandyci nosili jedynie wiatrówki, ale to nie wykluczało faktu, że mogli zostawić płaszcze przy motocyklu i włożyć je dopiero później, właśnie dla zmylenia pogoni. Numer na tabliczce rejestracyjnej był czytelny. Motor pochodził z powiatu Mińsk Mazowiecki.

Ustalono, że właścicielem motocykla o tym numerze jest nauczyciel miejscowego liceum. Miał on niczym niepodważone alibi, bo do godziny 21.00 wykładał w szkole wieczorowej. Swoją motor trzymał w budynku szkolnym, w pomieszczeniu, do którego klucze miał woźny. Woźny zaś zeznał, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni nauczyciel nie korzystał ze swojej maszyny.

Wniosek był prosty: zdjęcie przedstawiało motocykl, używający fałszywych numerów rejestracyjnych.

Major wezwał do siebie obu prowadzących śledztwo.

– No i co? – komendant nie krył swojego złego humoru. – Kompletna kłapa. Przez przeszło dwa tygodnie blokowaliśmy szosy. Zepsuto chyba kilka kilometrów cennych materiałów fotograficznych

po to, aby wrócić do punktu wyjścia. O blokadzie wiedziało tylko nas trzech. A bandyta śmieje się nam w nos. Pisze listy na maszynie komendy milicji, jako nadawcę podaje oficera prowadzącego dochodzenie przeciwko niemu. Na rabunek jeździ motocyklem zaopatrzonym w numer motoru będącego własnością drugiego z dochodzeniowców. Do diabła z taką robotą! Nie potrafiliście nawet ruszyć z miejsca!

Porucznik Andrzej Lewandowski spuścił głowę i milczał, chociaż nie poczuwał się do żadnej winy i uważał, że zrobił wszystko, co można było w tej sytuacji. O czym teraz miał mówić?

– A ja nie zgadzam się z obywatelem majorem – starszy sierżant Stanisław Chrzanowski stał w postawie na baczność i miał przeproszający wyraz twarzy, że ośmiela się sprzeciwić zwierzchnikowi. Ale mimo to powtórzył po raz drugi: – Nie zgadzam się z obywatelem majorem.

– Co?! – w głosie komendanta mieszały się nutki zdziwienia i gniewu. Dotychczas rzadko zdarzało się, żeby w komendzie MO sierżanci mieli inne zdanie niż majorowie.

– Uważam, że dochodzenie odniosło duży sukces.

– Sierżant kpi czy o drogę pyta? – major był wyraźnie niezadowolony.

– Tak jest, obywatelu majorze. Dochodzenie posunęło się naprzód. Nie ujęliśmy wprawdzie bandytów, ale jesteśmy na najlepszej do tego drodze. Wiemy o nich bardzo wiele.

– To proszę, niech i ja się o tym dowiem – zakpił komendant. – Siadajcie, bo to pewnie będzie długa historia...

– Przede wszystkim wiem – starszego sierżanta nie poruszyła ironia zwierzchnika – że bandyci nie mają wspólnika w komendzie. Uważam, że to bardzo ważne.

– Z czego to wynika?

– Z tego, że o blokadzie dróg wiedziało w Ciechanowie jedynie nas trzech, a pomimo to bandyci stale zmieniają fałszywe numery. A więc dowiedzieli się o naszej pułapce z innego źródła.

– Z jakiego?

– W tej chwili tego nie wiem. Źródła mogą być różne. Ktoś z komendy wojewódzkiej mógł się wygadać. Poza tym, ośmielę się zwrócić uwagę obywatelowi majorowi, że poza nami trzema wiedziało o akcji 12 osób. Któż zapewni, że żaden z nich nigdy się nie wygadał?

– Jakich dwunastu?

– Tych funkcjonariuszy komendy wojewódzkiej, którzy codziennie przyjeżdżali na blokadę dróg. Po dwóch na każdą drogę. Przecież nie stali cały czas na szosie jak te dwa kołki w płocie. Jeden tkwił na posterunku, drugi szedł do miasta. Mogli nawet nie wygadać się, co robią w Ciechanowie. Wystarczyło, żeby któryś z naszych przestępców zauważył nowych ludzi kręcących się po mieście, a później stojących na szosie lub siedzących nad rowem. Naszym bandytom nie można odmówić inteligencji i sprytu. Resztę potrafili

sobie dośpiewać.

– No dobrze, przypuścimy, że zgadzam się z wami. A drugi sukces?

– To ten, że już na pewno wiemy, iż żadna pułapka nam się nie uda. Nie potrzeba prowadzić dalszej blokady szos i urządzać kolejnych zasadzek na bandytów.

– Więc jak chcecie ująć przestępców, którzy na swoim koncie mają życie ludzkie i przeszło milion zrabowanych pieniędzy? – major znowu podniósł głos w gniewie.

– My ich sobie, obywatelu majorze, wydedukujemy – spokój starszego sierżanta był niewzruszony. Ten człowiek zdawał się nie dostrzegać niezadowolenia zwierzchnika.

– Co?! – majora zatrzęsło ze złości.

– Wydedukujemy ich, obywatelu majorze, z tych materiałów, które mamy w aktach.

– Nie mówcie bredni, sierżancie.

Porucznik Lewandowski przezornie milczał, żeby i jemu się nie oberwało.

– A jednak – upierał się Chrzanowski – sprawiedliwości stanie się zadość. Tylko w ten sposób, jak mówię, możemy ująć bandytów.

– A coście do tej pory wydedukowali? – major umyślnie sylabizował to długie słowo.

– Przede wszystkim, obywatelu majorze, że w tym roku nie będzie już napadów. Przynajmniej przez dłuższy czas.

– Dlaczego? – major spoglądał na swojego pracownika jak na wariata.

– Bo przyszły mrozy i spadł śnieg. Jazda na motorze staje się trudna. Przy takiej pogodzie nasi bandyci nie dokonywali nigdy żadnych akcji. Napady mogą się powtórzyć w tym roku pod warunkiem, że nastąpi znaczne ocieplenie, śniegi stopnieją, a drogi obeschną. Ale to już jest mało prawdopodobne. A więc do kwietnia mamy spokój. Możemy bez pośpiechu zabrać się za prowadzenie dochodzenia.

– Za to wasze dedukowanie, tak?

– Tak jest, obywatelu majorze – odpowiedział sierżant, nie dostrzegając lub może nie chcąc dostrzec kpiny.

– A co jeszcze wydedukowaliście?

– To – Chrzanowski był coraz pewniejszy siebie – że ten mniejszy bandyta w pończosze na głowie jest kobietą.

– Kobietą?! – major i porucznik zawołali jednocześnie.

– Tak jest, obywatelu majorze, czarny jest kobietą.

– Dlaczego? Jak do tego doszliście?

– Bardzo prosto. Drogą dedukcji. Na podstawie zgromadzonego materiału. W czasie wszystkich napadów czarny nigdy nie odzywał się ani słowem. Dlaczego? Dlatego, że głos od razu by zdradził, że to mówi kobieta. Do akcji zawsze pierwszy idzie człowiek z bliźną. Czarnego zostawia z tyłu, żeby go nie narazić na niebezpieczeństwo. Stąd wniosek, że czarny jest albo żoną, albo kochanką pierwszego



bandyty. Tak czy inaczej kobietą.

Starszy sierżant tak poważnie tłumaczył, że żona lub kochanka musi być kobietą, iż major parsknął śmiechem.

– Poza tym – mówił dalej Chrzanowski – człowiek z blizną nigdy nie zwracał najmniejszej uwagi na biżuterię. W aktach mamy trzy wypadki rabunku klejnotów. Za każdym razem zabrał je czarny. Raz wziął pierścionek z perłą w starej oprawie, innym razem bardzo oryginalną bransoletkę weneckiej roboty, ostatnio u księdza Langa platynowy naszyjnik z szafirem. Nigdy nie brał wszystkiego, a jedynie wybierał najładniejszą biżuterię. Mężczyzna wzięłby przede wszystkim zegarek z ciężką złotą bransoletką albo złotą papierośnicę o dużej wartości. Jak wiemy, tych przedmiotów nie brakowało. A kobieta wybiera świecidełka, w które chciałyby się ustroić. Tak jak to właśnie zrobił trzy razy nasz czarny. Tak się cieszył tym wisior-kiem, że człowiek z blizną musiał go dwukrotnie przynaglać do odwrotu. Czarny, a raczej czarna trzymała klejnot w palcach i bawiła się nim. Tego nigdy nie robi mężczyzna.

Chrzanowski zamilkł, sam zdziwiony swoją odwagą i długim przemówieniem. W pokoju zapanowała cisza. Przerwał ją w końcu komendant.

- Przepraszam was, sierżancie – powiedział.
- Za co, obywatelu majorze?
- Złościłem się na was, powiedziałem, że mówicie głupstwa i wyśmiewałem się z waszej metody dedukcji. Przekonaliście mnie, że

nie jest głupia. Po tym, co powiedzieliście, nie ulega dla mnie wątpliwości, że czarna jest kobieta. To spostrzeżenie może nas naprowadzić na właściwy ślad.

– Sierżant od dawna tego się domyślał – wyjaśnił Lewandowski – coś mi półgębkiem wspominał, ale nie wyjaśnił do końca.

– To nie dlatego – Chrzanowski był bardzo zmieszany – żebym chciał coś ukryć przed porucznikiem Lewandowskim, ale jeszcze nie byłem pewien swojego. Dopiero kiedy przesłuchiwaliśmy księdza proboszcza i jego rodzinę, jak nam opowiedzieli o scenie z wisior-kiem, nabrałem pewności. Porucznik miał takie same podejrzenia. Wspominał o nich w czasie naszych dyskusji.

– Nieprawda – młody oficer był szczery – niczego się nie domyślałem. To wszystko sierżant sam wydedukował.

– Stąd wniosek – humor majora uległ wybitnej poprawie – że musimy uczyć się dedukcji od sierżanta Chrzanowskiego.

– Obywatel major żartuje ze mnie...

– Wcale nie. Widzę, że nie tracie czasu. Dedukujcie dalej. Ale powiedzcie – co chcecie najpierw ustalić?

– Najważniejsze, moim zdaniem, jest znalezienie źródła informowania bandytów. Jaka drogą dowiadują się o tym, co dzieje się w Ciechanowie i w całej okolicy?

– Dotychczas zakładaliśmy – Lewandowski zabrał głos – że obaj przestępcy są mężczyznami. Teraz, kiedy jesteście przekonani,

że jeden z nich jest kobietą, bardziej wytłumaczalna jest wszechwiedza bandytów. Po prostu czarna pracuje na poczcie albo w cukrowni.

– Tak sądzicie? – zaproponował major. – Bo mnie się wydaje, że gdyby pracowała w cukrowni, nie wiedziałaby, że Związek Plantatorów Tytoniu właśnie płaci za odstawiony towar. Gdyby zaś była zatrudniona na poczcie, skąd miałyby wiadomość, że ksiądz Lang zainkasował 23 tysiące złotych z kasy cukrowni? A poza tym, w jaki sposób mogłaby pisać na mojej maszynie, już nie mówiąc o tym, skąd by wiedziała, kto prowadzi dochodzenie w sprawie człowieka z blizną? Tych informacji nie można zdobyć ani na poczcie, ani w cukrowni, a tym bardziej u plantatorów tytoniu.

– A jednak – dorzucił Chrzanowski – bandyci o tym wszystkim mieli bardzo dobre informacje i to z pierwszej ręki. Jeżeli wyjaśnimy tę sprawę, wyjaśnimy resztę. Wtedy ujęcie przestępców będzie kwestią godzin.

– Co jeszcze was gnębi, sierzancie?

– Dlaczego ten wysoki w czasie akcji występuje zawsze z gołą głową? Dlaczego nikt nigdy nie zauważył go w Ciechanowie? Pomimo tak charakterystycznych cech szczególnych?

– Bagatela! Odpowiedź na te dwie wasze wątpliwości to rozwiązanie zagadki.

– My z porucznikiem na pewno ją rozwiążemy. A właściwie nie rozwiążemy, lecz odczytamy z akt. Twierdzą, że w nich są podstawowe elementy, niezbędne dla zdemaskowania bandytów, chociaż na razie uchodzą naszej uwagi.

– Nie będę się z wami spierał, bo dowiedliście przed chwilą, że przynajmniej częściowo macie rację. Chciałbym jednak, aby sprawa była nareszcie zakończona. Przynajmniej do wiosny, zanim banda nie wznowi swojej działalności.

– Będzie, obywatelu majorze – zapewnił starszy sierżant – nawet wcześniej.

– Wydedukujecie? – uśmiechnął się komendant.

– Wydedukujemy – porucznik wpadł w żartobliwy ton zwierzchnika.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### *Spotkanie w „Jagiellonce”*

Mijały dni, a potem tygodnie. Groźny bandyta, człowiek z bliźną, nie dawał znaku życia. Napady ustały, tak jak to zresztą przewidywał starszy sierżant Chrzanowski. Ale i dochodzenie nie zrobiło kroku naprzód. Komendant milicji w Ciechanowie znowu się denerwował.

– Tyle opowiadaliście, sierżancie, o tej waszej dedukcji i co dalej? Nie ma tygodnia, żebym w komendzie wojewódzkiej w Warszawie oczyma za was nie świecił. I kpią z nas, i pytają, ilu nam jeszcze fotografów przysłać.

Major doskonale zdawał obie sprawę, że jego zarzuty jedynie częściowo są słuszne. Obaj dochodzeniowcy zrobili przecież wszystko, co było w ich mocy, żeby wyjaśnić sprawę. Chrzanowski, pomimo prowadzenia posterunku milicji w Dąbrowie Zakościelnej, codziennie dojeżdżał do Ciechanowa. Starszy sierżant z godnym podziwu uporem studiował pękate akta sprawy. Nadal twierdził, że tylko w ten sposób uda się ująć sprawców.

– Przyznaję, obywatelu majorze – odpowiadał na zarzuty – jeszcze na to nie wpadłem, ale tam to wszystko jest. Głowę daję. To tak, jak ze znalezieniem zgubionej rzeczy. Pięćdziesiąt razy przechodzi

się koło niej i nie widzi, a za pięćdziesiątym pierwszym człowiek nachyli się i podniesie. Nie ma obawy. Do wiosny znajdziemy.

Komendant milicji nie był tego taki pewien, ale cóż mu pozostało? Zmienić prowadzących dochodzenie? Major doskonale wiedział, że to nie zmieni sytuacji. Ci dwaj, porucznik Lewandowski i starszy sierżant Chrzanowski, uzyskali i tak lepsze wyniki od innych i wykazali się inicjatywą. Ich poprzednicy myśleli głównie nad tym, w jaki sposób pozbyć się tej cholernej sprawy.

Pewnego dnia starszy sierżant Chrzanowski wszedł do kawiarni „Jagiellonka”. Jak zwykle o tej porze lokal był pełny. Przeważała młodzież. Jednakże pod ścianą znalazł się wolny stolik. Czekać na podanie kawy, sierżant zrobił w duchu uwagę, że jeden tego rodzaju lokal na całe szybko rozbudowujące się miasto jest kroplą w morzu potrzeb. Bo kto nie znajdzie miejsca dla wypicia szklanki kawy, najczęściej trafia do knajpy na ćwiartkę. Restauracji jest znacznie więcej. A później rzuca się gromy na ludzi, że tak piją, i na młodzież, że włóczy się po ulicach i chuligani. Jakże zmniejszyło się pijaństwo i chuligaństwo w Dąbrowie Zakościelnej z chwilą otwarcia kawiarenki i czytelnicy „Ruchu”.

Przecież takie lokale – rozmyślał Chrzanowski – nie muszą być luksusowo urządzone. Wystarczy tani, szybki w budowie pawilonik lub choćby baraczek, co prawda nie taki obskurny, jak ten na stacji kolejowej. A zamek? Wielka budowla tuż przy rynku i nikt nie zatrośczył się, aby ją stopniowo odbudować. Znalazłoby się w niej

miejsce i na dużą salę koncertowo-teatralną, i na kilka pomieszczeń dla kawiarni i młodzieżowego domu kultury, a chyba i na hotel. Tak jak to pomysłowo rozwiązali w pobliskiej Nidzicy, mieście mającym mniejsze możliwości i perspektywy rozwoju niż Ciechanów. Teoria, że życia kulturalnego w miastach województwa warszawskiego nie trzeba rozwijać, bo stolica jest w pobliżu i wypełni te funkcje dla całego regionu, jest nie tylko błędna, ale wręcz szkodliwa.

– Panie Chrzanowski, można się przysiąść?

Sierżant nawet nie zauważył, kiedy do stolika podeszła przystojna i elegancka kobieta. Tę twarz widział już, ale gdzie i kiedy?

– Widzę, że sierżant mnie nie poznaje – kobieta wyraźnie była zadowolona ze zmieszania Chrzanowskiego. – To ładnie zapominać starych znajomych? Potapowiczowa jestem. Małgorzata Potapowiczowa.

Chrzanowski zerwał się z miejsca i ucałował ręce pięknej pani. Teraz, kiedy wymieniła swoje nazwisko, przypomniał ją sobie od razu. Jej mąż, Edward Potapowicz, był pracownikiem Powiatowej Rady Narodowej i nieraz przyjeżdżał służbowo do Dąbrowy Zakoscielnej. Przy jakiejś okazji sierżant poznał również jego żonę, Małgorzatę. Przed kilku laty Potapowicz miał katastrofę samochodową. Z bardzo ciężkimi obrażeniami zabrano go do szpitala, gdzie wiele tygodni walczył ze śmiercią. Jakoś jednak się wylizał. Mówiono, że jego żona wyszła z wypadku właściwie bez szwanku, jedynie z pokaleczoną twarzą. Ale kiedy Chrzanowski spotkał ją później w Ciechanowie, przeraził się tych zeszpeceń. Całą twarz pokrywały sino-czerwone szramy. A oto teraz stała przed nim zgrabna kobieta, bez

śladu uszkodzeń na ślicznej twarzyczce. Nic dziwnego, że jej nie poznał.

– Proszę, pani Małgosiu, bardzo proszę – sierżant przysuwał krzesło. Był naprawdę zadowolony. I nawet nie z tego powodu, że zobaczył dawną znajomą, lecz że odzyskała dawną urodę. – Tak dawno się nie widzieliśmy. Chyba z pięć lat. W pierwszej chwili nie poznałem pani. Tym bardziej że byłem zamyślony.

– Jak pan wie, nie mieszkamy teraz w Ciechanowie. Męża przenieśli do Lublina. Ale nic dziwnego, że pan mnie nie poznał. Kiedy wyjeżdżałam z tego miasta, wyglądałam jak potwór. Cała twarz w dziobach i bliznach. Nieraz miałam ochotę odebrać sobie życie.

– Co też pani opowiada! Wszystko się zagoiło i nie ma ani śladu.

Młoda kobieta zarumieniła się z zadowolenia. Słowa sierżanta wyraźnie sprawiały jej wielką satysfakcję.

– Są ślady, panie Stanisławie. Są. Szczególnie na policzku. Niech pan uważnie się przyjrzy.

To mówiąc, Potapowiczowa zwróciła twarz tak, aby swojemu rozmówcy pokazać profil. Palcem dotknęła policzka.

Dopiero teraz Chrzanowski zauważył mało widoczną, białą kreseczkę, przecinającą twarz od kąta ust aż po skroń.

– To największa blizna. Jest i kilka mniejszych.

– Ale wszystko znakomicie się zasklepiło. Podobno w Polanicy jest taki szpital poświęcony usuwaniu blizn i zeszpeceń. Tam pani była na kuracji?



– Nie. Bardzo trudno się dostać. Miejsc mało. Trzeba długo czekać. To szpital chirurgii plastycznej. Mnie by pewnie nie przyjęli, za drobna sprawa... Z upływem czasu blizny straciły ten straszny sino-czerwony kolor i trochę się wypełniły. A reszta to szminka, krem, puder i odpowiedni makijaż. Tylko nie wolno mi się denerwować.

– Dlaczego?

– Trochę może i śmieszne, ale ile razy czymś się zdenerwuję, blizny stają się bardziej wyraziste. To podobno powszechny objaw, że pod wpływem jakichś gwałtownych wzruszeń blizny na twarzy natychmiast czerwienieją, a po pewnym czasie znikają.

– Mówi pani nadzwyczajne rzeczy. Niesłychanie ciekawe.

– Widzę, że pan interesuje się nie tylko fryzurami.

– Nie rozumiem..

Pani Małgorzata roześmiała się.

– W małym mieście nic się nie ukryje. Przyjechałam do Ciechanowa w odwiedziny do siostry, a już pierwszego dnia poinformowano mnie, że sierżant Chrzanowski nauczył tutejszych fryzjerów nowego uczesania w trapez. Nie wytrzymałam i sama prosiłam, żeby tak mnie uczesali. Do twarzy mi z tym?

– Pani zawsze jest zachwycająca.

Chrzanowski stwierdził, że Potapowiczowa jest tak uczesana, jak obecnie czeszą się wszystkie pracowniczki komendy powiatowej MO oraz większość mieszkanek Ciechanowa, ale po raz pierwszy

ktoś mu powiedział, że tak wygląda wynaleziona przez niego fryzura.

– Bardzo ładna fryzura. A jaka oryginalna! – szczebiotała pani Małgorzata. – Nigdy nie podejrzewałam, że w panu drzemią ukryte talenty artystyczne.

Starszy sierżant wiedział, że nie ma sensu zaprzeczać czy wyjaśniać. Zresztą cała śmieszna przygoda z tym trapezem wyszła mu przecież na dobre. Strzygł i golił się teraz za darmo. Wszystkie kobiety spoglądały na niego z podziwem i uznaniem. Już przyzwyczał się, że w powiatowym mieście był kimś, a nie zwykłym komendantem posterunku milicji „na wiosze”.

– Ee, głupstwo... – machnął ręką. – Kiedyś pan Karol prosił mnie, abym coś wymyślił, bo już nie wie, jak czesać swoje klientki, więc poddałem mu pewną myśl. Aby się podobało, powiedzieliśmy, że to paryska fryzura, której opis dostała moja żona od znajomej z Francji.

– Ale ja nie czesałam się u pana Karola, bo nie chciał mnie przyjąć. U niego teraz tylko żony miejscowych dygnitarzy. Pani komendantowa, pani prezesowa, pani dyrektorowa! A cóż ja, zwykła śmiertelniczka, przyjeżdżająca w odwiedziny do rodzinki? Musiałam się zadowolić uczesaniem w spółdzielni, ale i tam mi powiedzieli, że to pański pomysł. A co pan nowego szykuje dla nas?

– Może kiedyś coś znowu wymyślę. Na razie mam inne kłopoty.

– Wiem, wiem. Kończy pan liceum dla dorosłych. Podziwiam, że panu się chciało.

– Nieraz człowiek może by i nie chciał, ale musi.

– To prawda – przyznała pani Małgosia. – Edek także już od dwóch lat studiuje zaocznie ekonomię. Bez tego miałby zamkniętą drogę do awansu. A jak tam żona, dzieci? Najstarsza chyba dorosła panna?

– Wyższa od matki. W dziesiątej klasie. Za trzy lata będzie kłopot. Koniecznie chce na politechnikę, na chemię...

Starszy sierżant pogawędził jeszcze z pół godziny z sympatyczną panią Potapowiczową, a później wrócił do Dąbrowy Zakościelnej. Nazajutrz zwierzał się porucznikowi Lewandowskiemu.

– Dowiedziałem się ciekawej rzeczy. Spotkałem znajomą, która po wypadku samochodowym miała na całej twarzy takie same blizny, jak nasz bandzior. Po pięciu latach wszystko zbladło, zasklepiło się, tak że pod pudrem i szminką niewiele widać. Kto by nie wiedział o tym wypadku, nie domyśliłby się nawet, że ta kobieta była tak strasznie oszpecona. Ale kiedy się denerwuje, to podobno wszystkie blizny nabiegają krwią i robią się znaczne.

– Ciekawe – przyznał porucznik.

– To by tłumaczyło, dlaczego nasze listy gończe nie odniosły żadnego skutku. Ten człowiek może spokojnie chodzić po Ciechanowie. Ostatecznie przyzwyczajeni jesteśmy, że kobiety się malują i pudrują. Mężczyźni nie używają tych kosmetyków. Poza tym nikt nie przygląda się tak dokładnie męskiej twarzy, jak ładnej kobiecej buzi. Jeżeli więc nasz bandyta posługuje się szminką, to może zupełnie spokojnie spacerować nawet przed gmachem komendy i nikt nie

zwróci uwagi, że na jego czole znajduje się blizna, przykryta warstewką pudru...

– Ale w czasie napadów ta blizna była bardzo wyraźna.

– Nasz przestępca jest na pewno człowiekiem o żelaznych nerwach, ale i on denerwuje się w czasie napadu. To ludzkie, zupełnie zrozumiałe. Wtedy blizna nabiega krwią. Poza tym szybka jazda na motorze z pewnością usuwa częściowo krem i puder, co jeszcze bardziej podkreśla szczególny znak na czole. Przypuszczam, że właśnie dlatego prawie wszystkie napady dokonywane są wieczorem. Wtedy twarz jadącego motocyklisty jest prawie niewidoczna. Po powrocie z akcji bandyta nie opuszcza swojego mieszkania dopóty, dopóki blizna nie zbieleje, względnie nie stonuje jej nowa warstwa szminki.

– Jak się jedzie na motorze, blizny nie widać. Zasłania ją kask. A co do reszty, to nie całkiem zgadzam się z wami, sierżancie. Rzeczywiście wierzę wam i waszej znajomej, że odpowiednimi kosmetykami bliznę można zrobić niewidoczną. Ale przecież nie uda się jej ukryć przed najbliższymi: żoną, dziećmi, rodziną...

– Żona o tym naturalnie wie, bo jest wtajemniczona. Przecież uczestniczy w napadach. A dzieci mogą nie mieć...

– Załóżmy, że tak jest. Pozostaje jeszcze bliższa lub dalsza rodzina, przyjaciele, znajomi... Zapewniam was, że w tak plotkarskim środowisku, jakim jest każde mniejsze miasto, sprawa nie mogłaby pozostać w ukryciu. Ludzie zaraz by zaczęli opowiadać. Tym bardziej

o człowieku z bliźną, sprawcy tylu napadów rabunkowych. Ile to razy społeczeństwo pomogło nam zupełnie bezinteresownie wytropić różnych przestępców? A tu, przy tak groźnym bandycie – całkowite milczenie? Przecież po każdym wyczynie naszych rabusiów otrzymujemy dużo różnych imiennych i anonimowych wiadomości. Niestety, żadne z przypuszczeń i spostrzeżeń naszych informatorów nie okazało się prawdziwe. Raczej skłonny jestem przypuszczać, że człowiek z bliźną mieszka w Warszawie i dojeżdża do Ciechanowa. Wtedy o wiele łatwiej byłoby mu zachować swoją tajemnicę.

- On w Warszawie, a żona w Ciechanowie?
- Żona albo kochanka, a może tylko niezainteresowana uczuciowo współniczka? Nie można wykluczyć żadnej z tych ewentualności. Ona przygotowuje rozpoznanie terenu. Nawet motocykl może być zarejestrowany na jej nazwisko. Mało w Ciechanowie kobiet i dziewcząt jeżdżących na motorach?
- Ale skąd ta kobieta tak dokładnie wie, co dzieje się w całym powiecie?
- Może wie, a może ma tylko możliwości uzyskiwania informacji? Może jedno trochę, a drugie resztę? Taką metodą od ziarnka do ziarnka. U nas ludzie mają długie języki.

Sierżant od pewnego czasu nie słuchał wyводу porucznika Lewandowskiego. Rozmyślał nad czymś intensywnie, a wreszcie powiedział:

- Obawiam się, że znowu powiem coś, co przypomina strzał kulą w płot. Ale wiele faktów pasowałoby do tego, co porucznik mówi.

– Odwagi, sierżancie. Przecież i tak to, o czym tu rozmawiamy, nie wychodzi z tego pokoju.

– Zna porucznik pana kapitana Krzysztofa Wienieckiego?

– Tego z Komendy Głównej MO?

– Tego samego.

– Kiedyś poznałem go przypadkowo u nas, w tym gmachu. Ale nie wiem, czy zamieniłem z nim dziesięć słów. On podobno pracował w komendzie powiatowej?

– Tak. Bodaj przed siedmiu laty. Pochodzi spod Płońska. W Ciechanowie pracował już jako porucznik. Trzy albo cztery lata. Później, jako kapitan, był zastępcą komendanta powiatowego MO w Siedlcach. Następnie przeniesiono go do Komendy Głównej. Bardzo zdolny oficer.

– Dlaczego o nim wspominać?

– Bo przypominam sobie, że przed kilku laty kapitan miał wypadek. Poharatał się na motorze. Głowa też ucierpiała. Miał ślady na twarzy.

– Nie zauważyłem.

– A porucznik dobrze mu się przyglądał?

– No... Nie. Przywitałem się z nim, bo wszedłem do pokoju, gdzie rozmawiał z kapitanem Żwirskim.

– Żwirski i Wieniecki przyjaźnią się ze sobą. Są kolegami jeszcze ze szkoły. Razem dostali promocję. Jednocześnie też trzecią i czwartą gwiazdkę. Ale Wieniecki poszedł wyżej. Zawsze co KG MO, to nie Ciechanów...

– Do czego zmierzacie, sierżancie?

– Do tego, poruczniku, że kapitan Wieniecki bardzo często przyjeżdża do Ciechanowa. Ma tu narzeczoną. Wszyscy się dziwią, że to ciągnie się tak długo, a jeszcze się nie pobrałi. Wiele plotek krążyło na ich temat, w końcu ludzie się przyzwyczaili. Dziewczyna ma motor. Przynajmniej raz na tydzień ona jeździ do kapitana, do Warszawy albo on odwiedza ją tutaj. Nikt nie zwraca zresztą uwagi, że kapitan przyjeżdża po pracy do Ciechanowa, a rankiem wraca do stolicy. Tym bardziej milicja z kolejowego komisariatu, bo przecież wie, że to oficer KG MO. Poza tym kapitan często zagląda tutaj służbowo. W Warszawie wiedzą, że w Ciechanowie Wieniecki zna wszystkich i wszystko, więc jak mają jakąś sprawę w naszym powiecie, zawsze jego delegują.

Porucznik słuchał, starając się domyślić, o co chodzi sierżantowi. Ten zmierzał prosto do celu:

– Zresztą służbowo czy prywatnie, kapitan często odwiedza naszą powiatówkę, bo ma znajomych i przyjaciół. Kilka razy widziałem go wychodzącego wieczorem z tego budynku, kiedy urządowanie jest już zakończone i w gmachu znajdują się jedynie dyżurni. Myślę, że gdyby kapitan chciał kiedyś coś napisać na maszynie stojącej w sekretariacie, nie miałby najmniejszych trudności zrobienia tego w momencie, kiedy w pokoju nikogo nie było. Tym bardziej że wypełnienie takiego blankietu pocztowego to przecież tylko kilka wyrazów.

– Zdaje się, sierżancie, że wysnuwacie zbyt daleko idące wnioski.

– Po prostu dyskutuję z panem, poruczniku. Wnioski będziemy wysnuwali wspólnie. Ja przedstawiam fakty znane i te, które uszły naszej uwagi.

– Słusznie. Mówcie dalej. Znacznie dłużej służycie w ciechanowskiej milicji niż ja, więc znacie tutaj ludzi i orientujecie się w miejscowych stosunkach. Kiedy mnie przeniesiono do powiatu, Wieniecki był chyba wtedy już w Siedlcach.

– Chyba już w Komendzie Głównej. Przypuszczam, że na 22 lipca zostanie majorem.

– Albo...

– Muszę jeszcze dodać – starszy sierżant podjął przerwane opowiadanie – że najdroższa kapitana pracuje w cukrowni. Jej starsza siostra jest żoną naczelnika urzędu pocztowego, a sama urzędniczką w PKO. Oczywiście to może być tylko zbieg okoliczności. Niemniej takie myśli nasunęły mi się, kiedy wysłuchałem opowiadania mojej znajomej o jej bliźnie i sposobach ukrywania tego zniekształcenia twarzy.

– Ale czy kapitan Wieniecki ma bliźnę?

– Nie wiem. Wypadek zdarzył mu się w Siedlcach. Później długo do nas nie przyjeżdżał. Przynajmniej ja go nie widziałem. Przecież normalnie pracuję poza komendą, w Dąbrowie Zakościelnej. Mogłem go nie spotkać. Teraz widuję go stosunkowo często, bo codziennie jestem w mieście.

– Co z tym zrobimy? Chcecie, żebyśmy o wszystkim powiedzieli staremu?

– Myślę, że nie.

– Ale podejrzewacie kapitana Wienieckiego?



– Podejrzewam. Wolę jednak, żebyśmy na razie wiedzieli o tym tylko my dwaj. Po co rzucać podejrzenia na człowieka, który może być niewinny? Takie sprawy, chociaż się i wyjaśnią, zawsze pozostawiają za sobą smugę cienia. Panu majorowi moglibyśmy powiedzieć dopiero po nabraniu przynajmniej 50 procent pewności, że nasze podejrzenia są słuszne.

– Można będzie jakoś dyskretnie wywiedzieć się w Komendzie Głównej, czy w dniach, kiedy bandyci napadli, kapitan był w pracy.

– To nam nic nie da – zaproponował sierżant. – Napady robiono zazwyczaj wieczorem. Aż nadto wiele czasu, żeby przyjechać do Ciechanowa po zakończeniu urzędowania.

– Ale kilka napadów zdarzyło się w biały dzień. Choćby ten na listonosza w Sarnowej Górze. Albo na punkt skupu.

– Oficer Komendy Głównej zawsze może podpisać listę obecności, a później pod jakimkolwiek pozorem wyjść do miasta na kilka godzin. A wszelkie pytania o podpisy na liście obecności natychmiast wzbudzą zrozumiałe i niepotrzebne zainteresowanie. Nie mówiąc już o tym, że takie informacje uzyskamy wtedy, kiedy komenda powiatowa zwróci się o nie oficjalnie.

– Może by udało się ominąć tę drogę? Mam przyjaciela w KG MO. Gdybym go poprosił...

– Nie. W ten sposób nie dotrzemy do celu. Przyjaciel może nam się przydać, kiedy nasze podejrzenia staną się bardziej konkretne.

– Macie rację, sierżancie. To co robimy?

– Sądzę, że najpierw musimy przekonać się, czy kapitan Wieniecki ma na twarzy jakieś blizny, a przede wszystkim czy ma je na czole, nad lewym okiem.

– Ale w jaki sposób?

– Może zdenerwować kapitana? – zastanawiał się sierżant. – Wtedy podobno blizny stają się widoczne. Niech pan porucznik czymś go zdenerwuje.

– Dziękuję – roześmiał się Lewandowski – mam zadzierać z kapitanem z Komendy Głównej? Doskonała metoda na poprawienie sobie opinii służbowej. Tego mi tylko brakowało, żeby obok uznania, jakie spotyka mnie od majora za tę sprawę, mieć jeszcze krechę na Ksawerowie.

– No to co?

– Najpierw trzeba dobrze mu się przyjrzeć. Przyznaję, że nawet słabo pamiętam, jak ten człowiek wygląda.

– Jest wysokim blondynem.

– Nawet to się zgadza!

– Gdyby się nie zgadzało, nie mówiłbym o tym.

– Może tę dziewczynę pociągnąć za język? Znam kilka dziewcząt z cukrowni. Mógłbym bez trudu nawiązać znajomość z narzeczoną Wienieckiego.

– Tego nie możemy zrobić.

– Dlaczego?

– Jeżeli Wieniecki jest człowiekiem z blizną, ta dziewczyna jest jego współniczką. Na pewno wie, że pan, poruczniku, prowadzi dochodzenie w sprawie napadów. Ni z tego, ni z owego podjęcie próby

zbliżenia się do niej będzie dla nich obojga sygnałem i ostrzeżeniem, że coś podejrzewamy. Dodam tylko, że dziewczyna jest dość przyzwoitą szatynką. Dużo niższą od kapitana. Wzrostu mniej więcej odpowiadającego postaci bandyty z czarną pończochą na głowie.

- Najlepiej byłoby oblać kapitana wodą.
- Oblać wodą? Teraz? W styczniu? Jak to zrobić?
- Nie wiem, ale pomysł wydaje mi się niezły.
- Na ten mróz?

– No to co? Najwyżej dostanie kataru. Dla przekonania się o jego niewinności czy winie wcale nie taka wysoka cena. Już wiem! Wy, sierżancie, będziecie udawali chuligana, a ja pospieszę na ratunek i przy okazji przejadę ręcznikiem po twarzy kapitana – porucznik głośno roześmiał się ze swojego konceptu.

– Ja go mam oblewać jako chuligana? – starszy sierżant nie był zachwycony, biorąc tę propozycję na serio.

– No tak – porucznik wyraźnie żartował – chluśnicie na niego wiadrzem wody i w nogi. A ja będę udawał, że chcę was złapać. Wy uciekniecie, a ja pospieszę na ratunek kapitanowi. Ręcznik będę miał przygotowany w kieszeni i, nie mówiąc ani słowa, przejadę płótnem po twarzy oblanego. Potem przyjrzę się i powiem: „Wspaniała bliźna, taka sama, jak u tego bandziora, którego szukamy od trzech lat. Kapitan pewno o nim słyszał?”.

– Już to widzę! – starszy sierżant też miał poczucie humoru i wpadł w ton Lewandowskiego. – Ale co będzie, jeżeli kapitana nie przestraszy zimna woda i sam pobiegnie za mną? Przecież jest ode

mnie młodszy i może mnie złapać. To chyba pan porucznik jako najmłodszy z całej trójki będzie tym od polewania i ucieczki. A ja stanę z boku z ręcznikiem... Szybko wytrę mu twarz i wyjaśnię: „To głupstwo, panie kapitanie, to po prostu tego chuligana porucznika Lewandowskiego trzymają się takie dziwne żarty”.

– A może jednak powiedzieć o wszystkim majorowi – spoważniał porucznik.

– Nie. Musimy sami ten problem rozwiązać.

– Poszlaki, które sierżant przedstawił, są bardzo poważne. Wszystko się zgadza – wyliczał Lewandowski. – Wzrost, kolor włosów, wypadek na motorze i rozbicie głowy, narzeczona w Ciechanowie, i to z motocyklem, możliwość uzyskiwania informacji o przekazach i o wypłatach zarówno w cukrowni, jak i na poczcie. A nawet wiele okazji do wypełnienia blankietu nadawczego na maszynie komendy powiatowej. Czyżby to były same zbiegi okoliczności?

– Przede wszystkim wiemy, że kapitan miał wypadek motocyklowy i rozbił sobie głowę, ale czy ma blizny? O ile sobie przypominam, na podbródku pozostał mu jakiś ślad. Może właśnie pamiętka z tamtego wydarzenia? Ale czoło? Nie wiem.

– Ja też. Musimy go zatem obserwować – stwierdził porucznik.  
– Od jutra będę wychodził na wszystkie pociągi warszawskie przyjeżdżające po południu. A poza tym chciałbym, żeby sierżant pokazał mi tę dziewczynę.

– To nic trudnego. Biuro cukrowni czynne jest do czwartej. Ona mieszka w pobliżu, przy Pułtuskiej. Znam ten dom. Wystarczy, jeżeli

poczekamy na nią na rynku. Wraca albo na piechotę, albo autobusem. Tak czy inaczej musi przejść przez rynek. Dzisiaj po czwartej staniemy przed „Jagiellonką” i sprawa załatwiona. Naturalnie nie podejść do niej i nie przedstawię pana, to by wyglądało zbyt podejrzanie, ale nasza obecność na ulicy nie powinna jej zaniepokoić, nawet jeżeli ta dziewczyna to nasz poszukiwany czarny.

– Doskonale. A co z kapitanem?

– Nie mamy się co nim przejmować. Przy okazji przyjrzymy mu się obaj. Jeżeli ma bliźny, pomyślimy, w jakim sposób sprawdzić jego alibi. Nie ucieknie nam.

Obydwaj funkcjonariusze milicji zajęli się swoją robotą. Porucznik pisał sprawozdanie, sierżant rozpoczął studiowanie zawartości kolejnej teczki sprawy człowieka z bliźną. Ale młodemu oficerowi słowa jego współpracownika nie dawały widać spokoju, bo przerwał pracę i zwrócił się do Chrzanowskiego.

– Już wiem, sierżancie, jak to zrobić.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

### **„*Wsypa*” porucznika Lewandowskiego**

Znowu upłynęło dziesięć dni. Przez ten czas starszy sierżant Chrzanowski zdążył ponownie przewertować zawartość wielkiej szafy porucznika Lewandowskiego. Młody oficer godzinami tkwił na dworcu lub przed dworcem, regularnie witając przybywające z Warszawy pociągi. Dwukrotnie zauważył Wienieckiego, ale za każdym razem oczekiwała go na dworcu jego dziewczyna. Ta sama, którą Chrzanowski pokazał porucznikowi, wyjaśniając, że to właśnie jest narzeczona oficera KG MO. W tej sytuacji Lewandowskiemu niezręcznie było zbliżyć się do kapitana, nawiązać rozmowę i przyjrzeć się dokładnie jego twarzy.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że sylwetka śledzonego doskonale pasowała do opisów bandyty, sporządzonych na podstawie zeznań świadków napadu. Poza tym Wieniecki miał bardzo ciemną cerę. Lewandowski podejrzewał, że korzysta z kwarcówki, bo inaczej skąd w środku zimy taka opalenizna? A wiadomo, że opalenizna doskonale maskuje wszelkie usterki skóry.

Sierżant również polował na człowieka, którego podejrzewał o popełnienie zbrodni. Poszczyściło mu się nawet bardziej niż porucznikowi, bo spotkał kapitana w gmachu komendy powiatowej,

przywitał się z nim i rozmawiał. Miał okazję zapytać o wypadek na motorze. Kapitan nie chciał powracać wspomnieniami do szczegółów, nie zaprzeczył jednak, że w tej katastrofie odniósł obrażenia głowy. Chrzanowski spostrzegł, że jego rozmówca ma na pewno dwie blizny. Jedną, najbardziej widoczną, na podbródku i drugą, mniejszą, koło prawego ucha; poza tym wydało mu się, że opaleniźna kapitana jest wzmocniona ciemnym pudrem. Czy zakrywa on również trójkątną bliznę na czole? Chrzanowskiego nie opuściły podejrzenia, ale i nie nabrał pewności.

Obydwaj dochodzeniowcy dyskutowali na ten temat. Lewandowski niecierpliwił się, sierżant doradzał rozwagę.

– Nie ma co czekać dłużej – postanowił młody oficer – ostatecznie niczego nie ryzykuję. Głowy mi za to nie urwie. A nareszcie będziemy mieli pewność.

– Jak porucznik uważa... – Chrzanowski bez entuzjazmu przyjął decyzję partnera – ja bym raczej obstawił kapitana Żwirskiego. Wiadomo, Wieniecki jest jego przyjacielem. Ile razy przyjedzie do Ciechanowa, zawsze znajdzie chwilę, żeby odwiedzić Żwirskiego w komendzie albo spotkać się z nim na mieście. Ja natknąłem się na Wienieckiego właśnie dzięki temu, że kręciłem się w pobliżu pokoju Żwirskiego. Może zresztą należałoby pociągnąć go za język, aby opowiedział coś o swoim druhu?

– Ja nie mogę. Jestem na stopie wojennej z kapitanem Żwirskim. Kiedy wkleił mi tę sprawę, przemówiliśmy się dość ostro. Nie wytrzymałem i coś tam palnąłem o wyższych szarżach, które dla

uniknięcia odpowiedzialności całą najtrudniejszą robotę spychają na młodych oficerów. Żwirski odgrażał się, że złoży na mnie raport do starego, ale widocznie się rozmyślił albo bał się, że major przyzna mi rację i zostawi mu dochodzenie. Gdybym ni stąd, ni zowąd zaczął rozmawiać z kapitanem o Wienieckim, Żwirski od razu by się domyślił, że podejrzewam jego przyjaciela. Nie wiem, czy potrafiłby zdobyć się na obiektywną ocenę. Wolę postąpić tak, jak wam mówiłem.

– Może i racja? – sierżant nie był jednak całkowicie przekonany.

W ciągu następnych dni porucznik Lewandowski zmienił godziny swoich dyżurów na dworcu w Ciechanowie. Teraz przychodził tu o szóstej rano i tkwił w poczekalni do dziewiątej. Do komendy udawał się dopiero wtedy, kiedy falę podróżnych do Warszawy, jadących tam do pracy, unosił ostatni poranny pociąg.

– A jeżeli on jeździ autobusem? – zrobił uwagę sierżant.

– To z kolei będę dyżurował na dworcu autobusowym, chociaż wątpię, czy do tego dojdzie. Połączenie autobusowe nie jest szybsze, a jazda pociągiem ma tę zaletę, że na Dworcu Gdańskim kapitan może złapać pospieszny „A”, który go dowozi na Puławską, pod samą Komendę Główną. Tak to sobie „wydedukowałem”, biorąc przykład z waszych sukcesów.

Obydwaj mężczyźni roześmieli się.

– Niestety, niczego więcej nie mogę wydedukować – przyznał Chrzanowski. – Ile razy major mnie zobaczy, tyle razy pyta, jak tam z tą dedukcją, a ja stoję w miejscu.



Okazało się, że tym razem porucznik dobrze dedukował, bo piętego dnia już z daleka zauważył kapitana Wienieckiego, podążającego w stronę dworca. Kapitan był sam. Dziewczyna go nie odprowadzała.

– Co za miłe spotkanie... – porucznik udawał zdziwionego. – Pan kapitan również do Warszawy?

– Do pracy.

– Bardzo się cieszę. Pojedziemy razem. Nie będzie się nam czas dłużył. Tak się radowałem zelektryfikowaniem linii, a tymczasem nawet do Nasielska nie zostanie doprowadzona. Po starym będziemy się dwie godziny tłukli do stolicy.

– Może parowozy zastąpią lokomotywami spalinowymi – Wieniecki bez zapału przyjął towarzystwo młodszego kolegi, ale grzecznie podtrzymywał rozmowę.

– Niewiele zyskamy. Najwyżej dziesięć minut. Elektryfikacja skróciłaby podróż przynajmniej o pół godziny. A to już coś znaczy. Wsiadamy „dla palących” czy „dla niepalących”?

– Jeżeli panu nie robi różnicy, wolę dla niepalących.

– Doskonale – zgodził się porucznik, chociaż perspektywa dwóch godzin bez papierosa wcale mu się nie uśmiechała.

W przedziale Lewandowski tak manewrował, że posadził kapitana przy oknie twarzą do biegu pociągu, a sam usiadł naprzeciwko. W Nasielsku młody oficer pod pozorem, że szuka znajomego, który

miał jechać o tej samej godzinie, otworzył okno i zamknął je dopiero wtedy, kiedy pociąg nabrał rozpędu.

– Oo! – zauważył, siadając na swoim miejscu – pobrudził pan sobie twarz, kapitanie.

– Gdzie? – kapitan odruchowo przetarł dłonią okolice nosa.

– Nie, nie, wyżej.

Wieniecki przetarł czoło.

– Nie, nie tutaj. Kapitan pozwoli? – i nie czekając na zgodę swojego towarzysza, Lewandowski wyjął z kieszeni czystą chusteczkę i energicznym ruchem przejechał nią po czole kapitana, tuż nad lewym okiem. – Już w porządku – powiedział.

Kapitan Wieniecki spokojnie wyjął swoją chusteczkę i buteleczkę z popularną męską kolońską wodą „Przemysławka”. Zwiłżył koniec chusteczki i przetarł nią dokładnie całe czoło.

– Jak pan widzi, poruczniku, pocieram znacznie mocniej niż pan to zrobił przed chwilą, a pomimo to trójkątna blizna jakoś nie występuje. Niech pan zresztą sam spróbuje jeszcze raz. Proszę bardzo. No, proszę...

Andrzej Lewandowski nie przyjął podawanej mu chusteczki, zaczerwienił się jak burak, zbladł, a potem przybrał kolor prawie fioletowy. Ze zmieszania nie mógł wymówić ani słowa. Gdyby teraz pociąg wyskoczył z szyn i nastąpiła katastrofa kolejowa, porucznik na pewno powitałby ją z uczuciem prawdziwej ulgi. Ale nic się nie stało, tylko parowóz zaczęła zwalniać, bo właśnie zbliżali się do Pomiechówka.

– Zachowałem się jak idiota – porucznik spuścił głowę. Cóż tu było mówić w tej sytuacji? Każde słowo mogło jeszcze bardziej powiększyć wyspę.

– Przeciwnie, poruczniku, jeżeli ktoś z nas dwóch zachował się jak idiota, to przede wszystkim ja. Mam też, na co zasłużyłem.

– Pan kapitan? – wyjąkał speszony Lewandowski.

– Nie mogło ujść mojej uwagi, że ostatnio jakoś dziwnie często spotykam porucznika na swojej drodze. Także i sierżant Chrzanowski, kiedy rozmawiał ze mną, wpatrywał się w moją twarz, żałując, że zamiast oczu nie ma dwóch aparatów rentgenowskich. Ostatecznie to, że prowadzicie dochodzenie w sprawie człowieka z blizną, nie jest aż tak ścisłą tajemnicą służbową, żebym o niej nie wiedział. Orientuje się pan, że w komendzie powiatowej nie jestem przecież zupełnie obcą osobą. Toteż musiałem skojarzyć te wasze manewry z moim wyglądem. Nie musiałem być wyjątkowo domyślny. Już przed rokiem mój przyjaciel, kapitan Żwirski, otwarcie przyznał, że gdyby nie znał mojej tajemnicy i nie widział mojej twarzy po umyciu, bez szminki, byłby mnie podejrzewał, iż to ja jestem człowiekiem z blizną. Bo wszystkie inne cechy pasują do mojej osoby, łącznie z narzeczoną z motocyklem w Ciechanowie i możliwością uzyskiwania od niej i jej rodziny informacji, które bandytom pozwalają na organizowanie akcji rabunkowych.

– Myśmy właśnie to zauważyli...

– Niech się pan nie tłumaczy, poruczniku. Kapitan Żwirski popełnił błąd, że nie poinformował was o skutkach mojego wypadku, abyście nie tracili niepotrzebnie czasu na tropienie fałszywych

śladów. Jeszcze większe głupstwo zrobiłem ja sam. Kiedy spostrzegłem, że mnie obserwujecie, powinienem od razu zgłosić się do was i wszystko szczerze wyjaśnić. Przyznaję, przed zrobieniem tego kroku powstrzymywał mnie niepotrzebny wstyd. To był doprawdy idiotyzm z mojej strony! Przecież gdybyście nie robili tego tak dyskretnie, a po prostu złożyli oficjalny raport, dzieląc się swoimi podejrzeniami czy wątpliwościami, miałbym masę kłopotów, zanim bym dowiódł swojej niewinności. Przyznaję, że nawet byłem przygotowany na taką ewentualność. Między innymi usiłowałem sobie przypomnieć, co robiłem podczas ostatnich napadów i kto mógłby to zaświadczyć. Ale takie alibi w mojej sytuacji to jednak bardzo trudna sprawa, kiedy są różne godziny zajęć, i to nie zawsze przy biurku.

– Dlaczego kapitan mówił o fałszywym wstydzie? – ośmielił się zapytać porucznik, nieco już uspokojony słowami swojego towarzysza.

– Mężczyźnie nie przychodzi łatwo przyznanie się do używania szminki i pudru. Poza sceną w Polsce nie ma takich zwyczajów. Byłem przekonany, że potrafię robić to tak zręcznie, że nikt tego nie dostrzeże.

– Właśnie ta szminka – przyznał szczerze Lewandowski – nasunęła nam podejrzenia.

– Widzi pan – ciągnął dalej kapitan – muszę być z wami zupełnie szczerzy. W katastrofie motocyklowej rozbiłem solidnie łeb. Pęknięcie czaszki, wstrząs mózgu i kilka powierzchownych ran twarzy. Trochę je widać. Ich pozostałością są dwie blizny. Jedna na podbródku, druga koło ucha. Nie zwracałbym na to uwagi albo

wymyślił bajeczkę, że rany odniosłem w walce z groźnymi przestępcami. To by nawet dodawało mojej osobie pewnego uroku. Może nie tak wielkiego, jaki wywiera pański współpracownik, starszy sierżant Chrzanowski, wynalazca nowej fryzury trapez, ale zawsze... Jak pan widzi, jestem naprawdę dobrze poinformowany o wszystkim, co dzieje się w Ciechanowie.

Porucznik uśmiechnął się. Sława trapezu dotarła już bowiem i do fryzjerów w sąsiednim Płońsku, a nawet do Działdowa i Pułtuska. Nie dalej jak wczoraj słyszał właśnie rozmowę sekretarki Eli z jej koleżanką w sąsiedniej komendzie. Najdłużej trwała dyskusja właśnie na temat trapezu i sposobów uczesania się bez pomocy fryzjera.

– Nie o blizny mi chodzi – zastrzegł się kapitan. – O co innego. Wskutek tego wypadku dostałem bielicy skóry. Na prawym policzku mam pląt wielkości przynajmniej dziesięciozłotówki, i to w tym większym formacie. To miejsce pozbawione jest całkowicie pigmentu. Ma kolor popielato-biały. Nie opala się. Początkowo uważałem, że to najbardziej szpeci. Obawiałem się, że ten widok odstraszy moją dziewczynę, że poszuka sobie innego. Dzisiaj nie mam już takich obaw. Ona o tym wie. Ja jestem pewny jej uczucia. Ale wtedy nękały mnie wątpliwości. Ot, próżność męska... Uciekłem się do pomocy szminki i pudru. A skoro już zacząłem, trudno mi było nagle przestać i ukazać się ludziom z inną twarzą. Biorę kwarcówki, stosuję różne środki. Wydaje mi się, że obszar jasnej skóry zmniejsza się... Może za jakiś czas dam spokój tym wszystkim zabiegom? Zresztą teraz

już nie robię z tego wielkiej tajemnicy. Raczej zależy mi bardziej na estetycznym wyglądzie i niestraszaniu nim bliźnich, niż na urodzie.

– To jest przekonywujące.

– Gdybym szczerze opowiedział panu tę historię przed kilku lub kilkunastu dniami, w pańskim pokoju w komendzie – zakończył kapitan – obaj nie byłibyśmy obecnie w takiej głupiej sytuacji. Dlatego właśnie uważam, że zachowałem się jak idiota. Niech pan nie gniewa się na mnie, poruczniku.

– Ale cóż znowu! Raczej kapitan wybaczy mi...

– Nie ma o czym mówić. A wracając do sprawy człowieka z bliźną, muszę panu przyznać, poruczniku, że doskonale prowadzicie dochodzenie. Chociaż Żwirski jest moim przyjacielem, to stwierdzam, żeście go zakasowali. Sam fakt, że dotarliście do mojej osoby, świadczy o tym, że nie pomijacie żadnej poszlaki. A to zdemaskowanie czarnego jako kobiety wprost znakomite! Nie bójcie się. Nikt się z tym w komendzie nie wygada. W ogóle obecnie tajemnica śledztwa jest w Ciechanowie doskonale zachowana. Wiem o tym po prostu dlatego, że na zlecenie KG MO kontrolowałem waszą pracę. Mogę się do tego teraz przyznać, jak również zdradzić wam, że na Ksawerowie mają dobrą opinię o waszych poczynaniach.

– Obawiałem się, że nie darują mi tej wielodniowej blokady szos.

– Przeciwnie. Stawiali to za przykład innym. Zrobiliśmy nawet dochodzenie, żeby dowiedzieć się, dlaczego to się nie udało.

- Właśnie, zachodzimy w głowę!
- Trochę pokpiła sprawę komenda wojewódzka. Ludzi nie uprzedzono o trzymaniu się z dala od miasta. Toteż kiedy jeden siedział na szosie z aparatem, jego zmiennik spacerował po Ciechanowie. Zaglądał do kawiarni, restauracji, odwiedzał sklepy, słowem – zabijał czas. Do tej akcji użyto zupełnie niepotrzebnie także i tych techników, którzy nieraz byli służbowo w Ciechanowie. Oni znają niektórych pracowników waszej komendy, a jednocześnie wiele osób zna ich rodzaj pracy. W tej sytuacji waszemu bandycie nietrudno było spostrzec, że po Ciechanowie kręci się sporo tajniaków z Warszawy. Wystarczyło śledzić choćby jednego, aby się przekonać, co robią pozostali. Na szosie maskowali swoją działalność przed jadącymi pojazdami. Ale kto by stanął z boku, szybko zorientowałby się, co robią naprawdę. Przestępca jest zbyt mądry, aby się nie domyślić, że to na niego zastawiano sidła.
- Stała się wielka szkoda. Ten pomysł mógł naprawdę doprowadzić do ujęcia zbrodniarzy. A tak – mamy tylko fotografie ich pleców. W ten sposób nie można nikogo zidentyfikować.
- Tak – zgotził się kapitan – pomysł mieliście doskonały.
- Przyznaję otwarcie, że nie mój.
- A czyj? Czyżby tego sierżanta, którego porucznikowi przydzielono do pomocy?
- Właśnie jego. Rzecz jednak w tym, że starszy sierżant Chrzanowski nie jest moim pomocnikiem, ale wspólnie prowadzimy dochodzenie. W pierwszej chwili, kiedy komendant przydzielił go do

mojej sprawy, myślałem, że taki wiejski milicjant będzie mi zawadą. Ale teraz nie dam na niego złego słowa powiedzieć.

– W ciągu dwudziestu paru lat pracy w milicji musiał się czegoś nauczyć. Rutyna robi swoje.

– Tu nie chodzi wyłącznie o rutynę. Ten człowiek jest pełen pomysłów i inicjatywy. Twierdzi, że materiał dochodzeniowy rozporządza już pełnym kompletem danych potrzebnych dla ujęcia przestępców. Ale my nie potrafimy jeszcze dobrać odpowiedniego klucza do tych danych. Dlatego też sierżant nieustannie studiuje akta dotyczące wszystkich napadów. Kiedy skończy całość, zaczyna od początku.

– Ależ to strata czasu!

– I ja tak uważałem. A jednak Chrzanowski dzięki temu wglębieniu się w dokumenty potrafił bezbłędnie wyprorokować, że od połowy listopada nie będzie napadów aż do wiosny. Także odkrycie, że niższy bandyta jest kobietą, to również owoc rozumowania sierżanta na podstawie materiału zawartego w śledztwie. Te akta miało w ręku wielu naszych oficerów. I mnie wydawało się, że znam je na pamięć. Przede mną przestudiował je dokładnie kapitan Żwirski, przed nim inni. Żaden z nas nie dostrzegł tego tak oczywistego faktu. Dlatego też twierdzenie sierżanta, że odnajdzie przestępcę na podstawie już zebranych dokumentów, uważam nie za czczą przechwałkę.

– Oby tak było – uśmiechnął się kapitan. – Życzę temu sierżantowi wszystkiego najlepszego, łącznie z awansem na chorążego.



- On chyba wyżej kroi. Marzy mu się trzyletni kurs oficerski.
- Jeżeli dokona tej sztuki, o której porucznik wspomniał, słuszenie mu się to będzie należało.

Pociąg dojechał do Warszawy. Oficerowie wysiedli. Porucznik jeszcze raz przeprosił kapitana. W stolicy nie miał nic do załatwienia, postanowił więc wracać do Ciechanowa. Pozostało mu dwadzieścia minut. Poszedł do bufetu, aby zjeść spóźnione śniadanie.

Kiedy opuścił salę restauracyjną, przed kasą biletową zauważył piękną fryzjerkę, pannę Halinkę. Tym razem nie musiał udawać radości ze spotkania. Dawniej należał do grona adoratorów przystojnej rozwódki, która jednak wtedy bardzo była zainteresowana pewnym przystojnym badylarzem.

Pani Halinka również wydawała się uradowana.

– Myślałam, że dzisiaj nie spotkam nikogo znajomego. Szef wysłał mnie wczoraj do hurtowni po kosmetyki – to mówiąc, fryzjerka wskazała na dwie pokaźnych rozmiarów paczki. – Skorzystałam z okazji i zatrzymałam się u rodziny na noc. Nie chciało mi się wracać wczesnym rankiem. Trzeba będzie zbijać pana Karola, że nie mogłam od razu wszystkiego kupić, i że kazali przyjść na drugi dzień. Pan mnie nie zdradzi, prawda?

- Będę milczał jak grób. Zresztą nieczęsto zachodzę do waszego zakładu. Golę się maszynką elektryczną.
- Szkoda... – westchnęła Halinka.
- Czyżby? – porucznik uśmiechnął się.

– Pewnie, że szkoda. Przecież to ja gołę. Tracę takiego miłego i przystojnego klienta.

– Ma pani lepszych na pęczki. Kto tylko ma trochę sił, biegnie do zakładu pana Karola, żeby ogoliła go piękna Halinka.

– Czasem by się chciało, żeby nie tamci wszyscy, a ten jeden – fryzjerka tak spojrziała na oficera, że zrobiło mu się najpierw zimno, a potem gorąco.

– Ten jeden, to na pewno nie ja. A chciałbym wiedzieć kto to taki...

– Mężczyźni są niedomyślni – drugie, jeszcze bardziej płomiennie spojrzenie. – Porucznik nigdy mnie nie zaprosił ani na kawę, ani na potańcówkę. Już nie mówiąc o tym, żeby mi zaproponował wycieczkę motorem w niedzielę... Ja wiem, to ta czarna Irenka pana omotała. Co pan w niej widzi?

Lewandowski dziwił się w duchu. Piękna fryzjerka teraz daje mu wyraźnie do zrozumienia, że ma u niej szansę. Czyżby badylarz poszedł w odstawkę?

– Obecnie na motocykl nieco za zimno – roześmiał się w odpowiedzi. – Nawet człowiek z blizną nie jeździ, a cóż dopiero ja?

Halinka drgnęła.

– Niech pan nie wspomina tego okropnego bandyty. Odkąd są te napady, kupiłam drugą zasuwę do drzwi. Tak się go boję.

– Dlaczego? Przecież on napada wyłącznie na bogatych. Czyżby pani do nich się zaliczała? Nigdy nie przypuszczałem.

– Taka biedna nie jestem – przyznała rozwódka. – Przecież dobrze zarabiam. Nie ma co ukrywać, że nasz interes prosperuje najlepiej w całym Ciechanowie.

– Wiem, wiem. Mam dobre informacje od sierżanta Chrzanowskiego.

Halinka uśmiechnęła się.

– Gdyby był sprytniejszy, to za to nowe uczesanie w trapez mógłby w samym tylko Ciechanowie dobrze zarobić od fryzjerów. Pan Karol chętnie by zapłacił, a tak rewanzuje mu się, goląc i strzygąc za darmo. Niech pan namówi sierżanta, żeby jeszcze coś wymyślił. Z takim talentem ten człowiek marnuje się w milicji. Mógłby zdobyć taką sławę jak nasz rodak w Paryżu, Antoine.

– Sierżantowi nie w głowie fryzury. Zawziął się, że złapie człowieka z blizną. Tylko o tym myśli.

Śliczna pani złożyła ręce jak do modlitwy.

– Błagam pana: złapcie go jak najprędzej – tym słowom towarzyszyło nowe zalotne spojrzenie. – Tak się boję tych bandytów.

Ona wyraźnie na mnie leci, nie ma mowy o pomyłce – pomyślał z dumą porucznik i szybko przygładził włosy oraz wyprostował się.

– Zrobi się – zauważył lekceważącym tonem. – Chrzanowski uważa, że już jest na tropie. Wprawdzie jeszcze nie chce powiedzieć, kogo podejrzewa, ale mu wierzę, bo już odkrył pewną bardzo ważną rzecz.

– Jaką?

– Nie mogę powiedzieć. Tajemnica służbowa.

– Nawet na ucho? – Halinka tak przysunęła się do oficera, że ten nie tylko poczuł zapach jej włosów, ale nawet kątem oka zdołał sprawdzić, co kryje się za wycięciem sweterka. A to, co się kryło, było naprawdę w pierwszorzędnym gatunku.

– Nawet na ucho! – roześmiał się porucznik. – Mogę zdradzić jedynie to, że starszy sierżant doszedł do pewnych bardzo ciekawych, wprost rewelacyjnych wniosków.

– Dotyczących bandyty z blizną nad okiem? – fryzjerka była coraz bardziej zaintrygowana. Chłoneła każde słowo porucznika.

– Nie, nie jego. Tego drugiego, czarnego.

– Eee... – całe zainteresowanie fryzjerki nagle zmaleło. – Intryguje mnie ten wysoki. To podobno bardzo przystojny mężczyzna. Prawie taki jak pan. Słyszałam o tym od tej siostry księdza proboszcza Langa. Była u nas, czesała się i szczegółowo opowiedziała o całym napadzie. Podobno chciał zastrzelić jej córkę. Ona jest studentką na Uniwersytecie Warszawskim. Czy minęliśmy już Nasielsk? Tak się zagadałam z porucznikiem, że nie wiem, gdzie jesteśmy. Dobrze, że ten pociąg idzie tylko do Ciechanowa. Bo mógłby mnie pan wywieźć za daleko.

– Nie wierzę.

– Bo porucznik jest inny niż wszyscy. Nie mówi pan komplementów, nie robi słodkich oczu. Zimny jak lód. To najbardziej pociąga kobiety. Pan ma chyba fantastyczne powodzenie u babek, zgadłam?

Lewandowski coś zamruczał. Ni to zaprzeczył, ni to przytaknął. Znajdował, że Halinka jest wyjątkowo interesującą kobietą.

– Skoro już zawarliśmy przyjaźń – fryzjerka znowu spojrzała na Andrzeja omdlewającym wzrokiem – mam nadzieję, że częściej zobaczę pana w naszym zakładzie. Niech pan nie pozwala się strzyc Zygmuntowi albo tej małej Magdzie, ale proszę zawsze do mnie. Gdybym była zajęta, pan zaczeka. Ja bardzo proszę. A na potańcówkę albo na dancing zabierze mnie pan? Może byśmy kiedy razem wybrali się do Warszawy? Tam nikt nie widzi i nie robi plotek. Gdyby zobaczyli mnie z panem w Ciechanowie, zaraz by się zatrzęsło od gadania. Stare dewoty mówiłyby, że pan mnie uwiódł i że zostałam pańską kochanką.

Lewandowski sprostował w myślach tę uwagę: jeżeli chodzi o uwodzenie, to w tej chwili nie on był uwodzicielem... Ale kto wie? Gdyby nie Irenka, może nie byłby taki zimny, jak to twierdziła śliczna fryzjerka. Ale głośno wyraził przypuszczenie, że w najbliższym czasie odwiedzi najbardziej renomowany zakład fryzjerski w Ciechanowie, a co do wspólnego wypadu do Warszawy, to nawet nie śmie marzyć o takim szczęściu.

– Nie trzeba wahać się przy sięganiu po szczęście, panie Andrzeju. Niech pan zapamięta moje słowa – powiedziała Halinka, kiedy rozstawali się przed gmachem komendy. – Bardzo dziękuję za dźwiganie moich paczek. Słaba kobieta zginęłaby, gdyby nie tacy rycerscy oficerowie naszej kochanej milicji. Do widzenia. Byle

szybkiego – dodała ciszej i przeszła na drugą stronę ulicy, wprost do zakładu pana Karola.

– Miałem minę zbitego psa – porucznik relacjonował sierżantowi Chrzanowskiemu niesławne zakończenie tak zdawałoby się pomysłowego podstępu. – Wolałbym, żeby mnie jasny grom w tamtej chwili raził.

– Przypuszczam, że kapitan Wieniecki nie będzie miał do pana porucznika najmniejszych pretensji. Przecież spełniał pan swój obowiązek.

– To samo powiedział mi kapitan. Ale czy mówił szczerze? Nie wiem. Nie wypadło mu powiedzieć niczego innego, ale zadra w sercu mogła pozostać.

– Na pewno nikomu o tym słówkiem nie piśnie.

– Ach, o to jestem spokojny. Ale ludzie są mściwi. Niektórzy potrafią czekać kilka lat, żeby odplacić za rzeczywiste czy urojone krzywdy. Nie znam Wienieckiego, nie wiem, jaki on jest, pamiętliwy czy łatwo przebaczący? Czego się po nim spodziewać? Czy przy nadarzającej się w przyszłości okazji nie podłoży mi świni? Tym łatwiej mu to przyjdzie, że właśnie w Komendzie Głównej często powierzają mu zadania związane z naszym powiatem.

– Nie będzie takim prosiakiem – sierżant uspokajał oficera. – Powinien docenić to, że o naszych podejrzeniach nikt nie wiedział, działaliśmy dyskretnie, nawet komendant powiatowy nie był wtajemniczony.

– Sam przyznał w rozmowie, że gdyby nie brak blizny nad czołem, miałby duże trudności z dowiedzeniem swojej niewinności, bo wszelkie pozory przemawiają przeciwko niemu. Dodał, że i z alibi byłoby nie najłatwiej. Zresztą nie tylko nam kapitan wydał się podejrzany. Jego najlepszy przyjaciel, Żwirski, pierwszy by go oskarżył, gdyby nie wiedział, że Wieniecki ma blizny jedynie na brodzie i za uchem.

– Ale kamień spadł mi z serca – powiedział starszy sierżant – kiedy wiem, że czoło kapitana Wienieckiego jest zupełnie gładkie.

– Mnie też – przyznał porucznik – to byłoby straszne: kapitan Komendy Głównej MO bandytą i mordercą! Wolałbym nie odnaleźć człowieka z blizną, gdyby miał nim być mój starszy kolega.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### *Zwierzyna i myśliwy*

Szosa czysta była od śniegu i droga zupełnie dobra. O ten główny trakt powiatu najbardziej dbano w czasie zimy, wysyłając tam codziennie pługi odśnieżające. Ale kiedy sierżant Chrzanowski skręcił w boczną drogę do Dąbrowy Zakościelnej, od razu musiał zwolnić. Koleiny jadących tam pojazdów wskazywały bardziej twardy ślad, którym można było przejechać.

Sierżant jechał bardzo uważnie. Najwyżej dwudziestką, bo w dodatku było ciemno. Jedynie leżący na drodze śnieg wskazywał kierunek. Tutaj, w lesie, panowała cisza. Nie czuło się przenikliwego wiatru, tak smagającego motocyklistę w twarz w czasie jazdy szosą.

W pewnej chwili Chrzanowski zauważył w świetle reflektorów jakąś ciemną smugę, przecinającą białą płaszczyznę. Ostro zahamował. Maszyna zatańczyła na śliskiej powierzchni i kierowca z trudem zachował równowagę, podpierając się nogami. Podoficer zdumiony patrzył na przeszkodę.

W poprzek drogi, od jednego drzewa do drugiego, przeciągnięty był gruby drut. Gdyby ktoś jechał z większą szybkością, mogłoby się to skończyć tragicznie.



– Co za chuligańska zabawa! – mruknął Chrzanowski i wolno podjechał do drutu.

Kiedy zsiadał z maszyny, z prawej strony błysnął ogień i rozległ się jednocześnie strzał. Za nim bezpośrednio drugi i trzeci.

Starszy sierżant krzyknął przejmującym głosem i bezwładnie stoczył się do rowu. Motocykl, wypuszczony z rąk, przewrócił się na drogę. Uderzenie wyłączyło czy też zepsuło oświetlenie, bo reflektor zgasł. Z rowu dobiegł jeszcze jęk umierającego człowieka i zapanaowała kompletna cisza.

Gdyby jednak ktoś mógł widzieć, co dzieje się w rowie, zauważyłby, że „nieboszczyk” pełnie rowem, szybko oddalając się od miejsca, gdzie na skraju drogi leżał jego motocykl. Jednocześnie ręka sierżanta rozpięła krótki kożuszek, aby sięgnąć po kolbę pistoletu. Po przebyciu około siedmiu metrów Chrzanowski znieruchomiał z bronią gotową do strzału. Czekał na napastnika. Powinien on podejść na skraj drogi i sprawdzić skuteczność swoich strzałów, aby ewentualnie dokonać niezbędnej poprawki. Zwierzyna stała się teraz i przynętą, i myśliwym czekającym na... polującego.

Napastnik nie nadchodził. Mijały sekundy pełne napięcia. Robiły się z nich minuty. Wreszcie ciszę przerwał warkot motoru zapuszczonego gdzieś niedaleko. Pomimo to starszy sierżant tkwił nieruchomo w swojej zasadzce. Podniósł się z rowu dopiero wówczas, kiedy odgłos motoru zaczął się wyraźnie oddalać i cichnąć.

Podoficer otrzepał się ze śniegu, schował broń do kieszeni kożuszka, tak aby w razie potrzeby była pod ręką, podszedł do motoru i poddał go starannym oględzinom. Spróbował uruchomić. Za trzecim kopnięciem silnik zaskoczył. Pracował normalnie. Sierżant skręcił gaz i wyłączył motor.

Teraz Chrzanowski podszedł do drzewa, do którego przywiązany był drut. Odplątał stalową linkę i, zwijając ją, przeszedł w ten sposób w poprzek drogi do przeciwległej sosny. Tutaj również odplątał drut i schował go do kieszeni kożuszka. Bardzo pilnie przyglądał się śladom na śniegu. Ale im dalej w las, tym mniej były one wyraźne w zwiększającej się pośród drzew ciemności.

Chrzanowski znowu wrócił na drogę. Uważnie rozglądał się, starając się dokładnie zapamiętać to miejsce. Ułamał nawet gałąź i załknął ją w rowie tam, gdzie udawał nieboszczyka.

– A jednak – mruknął do siebie – sprytny drań. Nie dał się wziąć na kawał tym moim krzykiem i upadkiem. Nie podszedł. A szkoda. Już by było po sprawie. Zna te sztuczki.

Po powrocie do domu sierżant ze zdziwieniem spostrzegł, że na lewym rękawie munduru widnieje ciemna plama. Kiedy zdjął marynarkę, zobaczył zakrwawioną koszulę. Z emocji nawet nie poczuł, że jedna z kul bandyty przeszła przez kożuszek i sukno munduru oraz przecięła mięsień nad łokciem. Ranka była niewielka, jakby kto żyłką pociągnął. Wystarczyło ją przemyć, zajodynować i zabandażować.

O swojej przygodzie sierżant w domu przezornie przemilczał. Opowiedział bajeczkę, że skaleczył sobie rękę na jakimś gwoździu na płocie, przy wprowadzaniu motoru na podwórze. Dzięki temu żona nie podniosła alarmu na całą wieś, a jedynie zrobiła uwagę na temat niezdarności męża. Chrzanowski przebrał się i poszedł do sklepu. Wprawdzie godziny handlu już dawno minęły, ale z komendantem posterunku każdy na wsi musi się liczyć. Sprzedawca bez słowa zdjął antabę i otworzył dwie potężne kłódki.

Sierżant kupił trochę drobiazgów dla upozorowania swojej wizyty o tak późnej porze, a żegnając się, zauważył od niechcenia.

- Macie może gips?
- Jest jeszcze trochę.
- To świetnie. Muszę wylepić piec.
- Ile wam dać?
- A dużo jest?
- Będzie ze trzy kilo.
- To wezmę wszystko.
- Po co? Do pieca za dużo. Przecież i tak musicie rozrabiać z gliną.
- Zawsze się w domu trochę gipsu przyda. A jak wezmę mniej, a później będę chciał dokupić, okaże się, że akurat zabrakło. Niech leży w chałupie. Jeść nie woła. Drogi nie jest.
- To racja – sprzedawca położył worek z resztkami białego proszku na wadze – jest jednak przeszło pięć i pół kilograma.
- Niech będzie. Biorę.

Nazajutrz sierżant zerwał się przed świtem i zaczął pakować duży plecak. Władował do niego cały zakupiony poprzedniego dnia gips, kilka butelek z wodą oraz sporą emaliowaną miskę.

– Cóż to? Wybierasz się na wycieczkę? – Chrzanowską zaintrygowały przygotowania męża. – Weź lepiej herbaty albo kawy. Do czego ci ten gips i miska?

– Muszę zrobić pewne doświadczenie – uciął sierżant.

Kiedy wjeżdżał motorem w las, rozwidniło się zupełnie.

Chociaż nie padało, dzień był pochmurny. Zaczynała się odwilż. Termometr na pewno wskazywał ze dwa stopnie powyżej zera. Wiał południowy ciepły wiatr.

Chrzanowski bez trudu odnalazł miejsce, gdzie ubiegłego wieczoru służył za tarczę strzelniczą. Zatrzymał motor, przeprowadził go przez rów i uważnie szukał śladów. Napastnik krył się za grubą sosną, tą samą, do której przywiązał drut. Musiał czekać dość długo, bo śnieg wokół był solidnie wydeptany.

Podoficer szukał łusek po wystrzelonych pociskach; rękoma, jak grabiami, przeorywał warstwy mięknącego śniegu. Niestety, bez rezultatu. Nie znalazł ani jednej. Ostatecznie nie było to wielką tragedią. I tak, oczywiście, wiedział, że tylko jedna osoba mogła być organizatorem i wykonawcą tego napadu.

Łatwo też było iść po śladach uciekającego człowieka. Biegł on przez las prawie w prostej linii. Sierżant zmierzył rozpiętość kroków. Nie ulegało wątpliwości, że to człowiek wysoki. Z pozostawionych

w śniegu odbić stóp widać było wyraźnie, że po przebiegnięciu około stu metrów zwolnił i dalej szedł już bez pośpiechu. Widocznie uważał, że znalazł się poza zasięgiem niebezpieczeństwa. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i na białej płaszczyźnie pojawił się inny odcisk. W tym miejscu stał motocykl. Sierżant dostrzegł dwa wgłębienia zrobione przez nóżki służące do stawiania pojazdu. Chrzanowski zmierzył rozstęp pomiędzy tymi podpórkami. Może w ten sposób uda się ustalić markę motoru?

Prowadzący dochodzenie postanowił zrobić odlew opony motocykla. To nie było takie proste, bo odciski przedniego koła zostały rozjechane przez tylne, idące tym samym śladem. Dlatego właśnie w urzędowej nomenklaturze motocykle nazywa się „pojazdami jednośladowymi”.

– Na samym początku jazdy – rozumował starszy sierżant – przed i za odciskiem podpórek są ślady tylnego koła. Wobec tego trzeba zrobić odlew tych opon.

Odcisk był nieco rozmazany w miękkim śniegu. Motor dość długo stał bez ruchu, później zaś w momencie startu obciążony został ciężarem siadającego na siodelku kierowcy, co spowodowało dodatkowy nacisk na śnieg i częściowe zatarcie linii bieżników.

Starszy sierżant natknął się na poważną przeszkodę.

W 1947 roku, kiedy Chrzanowski wstąpił do milicji i został skierowany do szkoły podoficerskiej w Szczytnie, cała nauka trwała zaledwie sześć miesięcy. W tamtych warunkach nie zwracano głowy byłym wojskowym, a z nich i z dawnych partyzantów rekrutowały

się przede wszystkim kadry ówczesnej milicji, takimi głupstwami, jak robienie odlewów opon samochodowych czy motocyklowych. Nawiasem mówiąc, polska kryminalistyka stawiała wtedy pierwsze kroki i nawet niełatwo było znaleźć wykładowców na odpowiednim poziomie. To wcale nie dowcip, że ówczesny komendant szkoły psów milicyjnych, który, jak pokazała praktyka, nie miał o tym zielonego pojęcia, przeniesiony został na „równorzędne stanowisko” – kierownika wyszkolenia sportowego w GKKF; nie dał sobie rady z psami, ale, zdaniem osób decydujących o tym przeniesieniu, nie znaczyło to, że nie pokieruje odpowiednio sportowcami. Był to okres, który historycy naszej administracji nazywają Wielką Improvizacją... Trzeba było lat, żeby stworzyć kadrę specjalistów.

Teraz Chrzanowski także improwizował. Rozpakował swój plecak i mieszał w misce gips z wodą. Uzyskaną masę wylewał na ślady opony motocyklowej. Masa wychodziła raz za gęsta i nie chciała przylegać do śniegu, innym razem okazywała się za rzadka. Po prostu rozpuszczała śnieg. Po kilku próbach jedno doskonale udało się sierżantowi, powalać na biało zarówno mundur, jak i kożuszek.

Jednakże nie święci garnki lepią, jak mówi ludowe przysłowie. Jeszcze kilka prób i odlewy zaczęły wychodzić. Wprawdzie każdy technik dochodzeniowy na ich widok rwałby sobie włosy z głowy, niemniej ślady bieżników były na nich widoczne.

Na wszelki wypadek Chrzanowski zrobił tych odlewów tyle, na ile mu pozwoliła ilość wziętego ze sklepu gipsu. Przeczekał jeszcze

pół godziny, żeby odlewy całkowicie zastygły, potem każdy z nich owinął w szmaty, troskliwie umieścił w plecaku i ruszył w dalszą drogę. Powoli jechał tropami zostawionymi przez przestępcę. Ślady motoru przecięły jakąś łąkę czy też pole, prowadząc ostrym skrzyżowaniem na szosę wiodącą do Ciechanowa. Tutaj zaczynał się suchy asfalt.

Kiedy Chrzanowski dojeżdżał do gmachu komendy powiatowej, pierwsze płatki mokrego śniegu zaczęły spadać na ziemię.

Chrzanowski i Lewandowski udali się do gabinetu komendanta. Starszy sierżant zreferował przebieg napadu. Major nie taił poruszenia i nie szczędził słów pochwały:

– Ale żeście nie stracili głowy! Znakomity pomysł z tym zwaleniem się do rowu i jękami. Jak w kowbojskim filmie.

– To nie z filmu, to z wojny. Nauczyci mnie tego żołnierze frontowi, kiedy rozbijaliśmy bandy UPA. Ten trik często stosowali na froncie zwiadowcy. Ale nasz człowiek z blizną chyba także był w wojsku, bo nie dał się nabrać. Wywalił do mnie trzy razy i w nogi.

– Może nie miał więcej amunicji? Takiemu niełatwo przecież o naboje. W sklepie ich nie kupi.

– Na pewno ma. Gdyby z pestkami było u niego krucho, nie strzelałby bez potrzeby w czasie różnych akcji. Do mnie więcej nie strzelał, bo po prostu nie zdążył. Leżałem już w rowie i czekałem na niego. Ale macnął mnie w lewą rękę. Trzydzieści centymetrów bardziej w prawo i mógłbym osobiście przesłuchiwać nieboszczkę Antoninę Michalakową i dowiedzieć się, kto ją zamordował. No, ale

obeszło się bez spotkania po tamtej stronie.

– Byliście u lekarza?

– Z takim głupstwem nie warto zabierać mu czasu. Zwłaszcza przy epidemii grypy.

– Macie natychmiast udać się do lekarza. To rozkaz. Nie chodzi mi o was – major udawał, iż wierzy w drobne draśnięcie – ale świadectwo lekarskie potrzebne jest przecież do akt. Kiedy ujmiecie zbrodniarza, będzie odpowiadał i za usiłowanie zabójstwa funkcjonariusza milicji. A na miejsce wypadku wysłać zaraz ekipę dochodzeniową. Niech zabezpieczą ślady, na śniegu zostały na pewno odciski stóp.

– Sierżant już to zrobił – wyjaśnił z zadowoleniem porucznik. – Wykonał serię odlewów opon motocykla. Człowiek z blizną zrobił wyjątek w swoich zwyczajach i pomimo stycznia użył motoru. A co do odcisku stóp, to Chrzanowski twierdzi, że na mokrym śniegu ślady były rozmazane. Przestępca nosi normalne buty ze skórzaną podeszwą. Rozmiar prawdopodobnie 42 lub 43. Żadnych cech charakterystycznych. Dlatego też nie sporządził odlewu tych stóp. Ekipy śledczej nie ma co wysłać. Niech pan major spojrzy w okno, jaki gęsty śnieg pada w tej chwili. Zanim ekipa dotrze na miejsce, ślady znajdują się pod jego warstwą. To nawet i lepiej, pozwoli nam na utrzymanie w tajemnicy tego incydentu. W tej sprawie im mniej ludzi zna szczegóły, tym lepiej.

– Te szczegóły są przecież znane przestępcy – zauważył komendant.



– Nie wszystkie. On tylko wie, że strzelał. Wie zapewne i o tym, że spudłował i sierżant żyje. Ale nic nie wie o postrzeleniu Chrzanowskiego w rękę. To ostatecznie nieważny szczegół dla bandyty. Natomiast istotne jest, aby nie dowiedział się o zrobieniu odlewów opon jego motocykla. Żeby nie zmienił opon czy nawet całych kół. Ten pan ma dobre informacje i nawet duże możliwości w tym gmachu. Proszę więc o zachowanie ścisłej tajemnicy, panie majorze.

– Pan porucznik ma rację – przytaknął starszy sierżant.

– Zgadzam się z wami. Ale żeby tajemnica była pełna, Chrzanowski zaraz pojedzie do Warszawy, tam go zbadają w poliklinice i wystawią odpowiednie świadectwo. Wtedy nikt, poza nami trzema, w całym Ciechanowie nie będzie nic wiedział na ten temat.

– Tak jest, obywatelu majorze.

– Teraz, kiedy mamy odlew opon, możemy sprawdzić, który to motocykl służy zbrodniarzowi – zauważył Lewandowski.

– Obawiam się, że nie tak łatwo do tego dojdziemy – zauważył starszy sierżant.

– Dlaczego? Wystarczy przecież porównać odlew z oponami motocykli ciechanowskich.

– W Ciechanowie jest z półtora tysiąca motocykli. Dokładnej liczby nie znam, ale gdybym nawet się omylił o pięćset maszyn, to i tak do sprawdzenia pozostałoby tysiąc motorów. Na jeden motocykl trzeba poświęcić najmniej pół godziny. A więc jeden z techników może dziennie sprawdzić 16 maszyn. Nie orientuję się, ilu ludzi w

naszej komendzie zna się na tego rodzaju robocie... Gdybyśmy nawet dostali posiłki z Warszawy, kilku lub kilkunastu fachowców, to i tak akcja udałaby się tylko przy szczęśliwym zbiegu okoliczności. Takim, że motor używany przez bandytę znajdzie się wśród pierwszych kontrolowanych maszyn.

– Dlaczego?

– Nie wolno nam nie doceniać rozumu i sprytu człowieka z bliźną. Gdy się dowie, że milicja odwiedza właścicieli motocykli i sprawdza bieżniki na oponach, natychmiast domyśli się celu tej roboty. Wtedy zdejmie opony i albo je wyrzuci, albo zamieni na inne.

– Żeby zamienić, trzeba mieć drugie.

– Może ma zapasowe, a może po prostu kupi. Jeżeli nie w Ciechanowie, to żadna sztuka pojechać do Płońska lub do Pułtuska i za dwie godziny powrócić z nowymi gumami. A zresztą po co z nowymi? Wystarczy z używanymi, które bez trudu nabędzie bądź u znajomego, bądź w jakimś warsztacie wulkanizacyjnym.

– Sierżant ma słuszność – major poparł Chrzanowskiego. – Tylko w totku można liczyć na szczęście. Milicja musi działać na pewniaka. Człowiek z bliźną nareszcie się potknął i zdobyliśmy niewątpliwie bardzo cenny atut w tej grze. Zapytamy fachowców, czy z danych uzyskanych przez Chrzanowskiego uda się określić markę motocykla przestępcy. Taka gigantyczna akcja zbierania odcisków opon wszystkich motorów w Ciechanowie jest nie do przeprowadzenia. To nie znaczy jednak, że nie należy robić tego w tajemnicy, tak żeby właściciele maszyn niczego się nie domyślali. W sytuacji, kiedy działamy właściwie na ślepo, metoda eliminacji może być bardzo

pożyteczna. Przede wszystkim trzeba będzie bardzo dyskretnie sprawdzić ogumienie motocykli naszych pracowników i ich rodzin. Następnie funkcjonariuszy poczty, urzędników PKO i banków. Przed cukrownią zawsze stoi kilkadziesiąt maszyn. Sądzę, że przejrzenie opon tych maszyn nie nasunie większych trudności.

- Ale kto to będzie robił?!
- Kandydatów nie zabraknie – uśmiechnął się major.
- Ale chodzi przecież o to, żeby sprawę utrzymać w najgłębszej tajemnicy.

- Pomyślałem i o tym. Poza nami trzema nikt nic nie będzie wiedział.

- No i jeszcze ci, którzy zajmą się sprawdzaniem. Żeby się nie zdekonspirowali tak, jak fotografowie z komendy wojewódzkiej.

- Nie ma obawy – major wyraźnie droczył się z młodym oficerem. – Całą pracę zrobią dwaj ludzie: porucznik Lewandowski i starszy sierżant Chrzanowski.

- My?! – w głosie sierżanta słycać było zarówno zdziwienie, jak i akcenty prawdziwego przerażenia. – Przecież ja nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Te odlewy, które zrobiłem, są niewiele warte, a zabrały mi kilka godzin, już nie mówiąc o zużyciu ogromnej ilości gipsu. A mój mundur długo będzie nosił ślady tej roboty.

- Ja otwarcie przyznaję – dodał porucznik – że z techniką dochodzeniową, poza przykładowymi ćwiczeniami w Szczytnie, nigdy

nie miałem do czynienia. Obawiam się, że nie podołam.

– O tym, jakich mam współpracowników, to ja doskonale wiem – nie bez ironii powiedział major – ale to nic nie szkodzi. Nauczycie się. Jutro wyjeżdżacie do Warszawy, do Zakładu Kryminalistyki. Zaraz tę sprawę załatwię. A jeżeli będzie potrzeba, to pojedziecie również do Iwicznej, do Centrum Wyszkożenia Służby Ruchu MO. Posiedzicie tam tyle dni, ile potrzeba na naukę. Po powrocie macie się doskonale znać na identyfikacji opon na podstawie ich odcisków na śniegu.

– Jak rozkaz, to rozkaz – porucznika wcale nie martwiła perspektywa spędzenia kilku dni w Warszawie.

– A wy, sierżancie – dodał major – ani mi się wazcie przyjeżdżać codziennie z Warszawy do Ciechanowa i z powrotem po ciemku do Dąbrowy Zakościelnej. Jeżeli człowiek z blizną chybił, nie znaczy, że i następnym razem spudłuje. A ja ani nie mogę, ani nie myślę dawać wam obstawy. Na cały czas trwania delegacji zamieszkać w Warszawie.

– Tak jest, obywatelu majorze.

– A poza tym macie do domu wracać za widna. Nie przez las. Przecież do Dąbrowy jest także inna droga.

– Można dojechać, ale znacznie dłużej. Nadrabia się ze siedem kilometrów.

– To będziecie nadrabiali. Macie też szczególnie uważać na siebie.

– Sądzę – wtrącił porucznik – że sierżant Chrzanowski nie musi codziennie przyjeżdżać do komendy powiatowej. Akta może zabierać partiami i przeglądać je u siebie. Na razie nic innego nie robimy, tylko czytamy te papierzyska i staramy się z nich coś wydedukować.

– Kiedy wróciacie, będziecie zajmowali się oglądaniem opon naszych motocykli. Ale naturalnie wtedy, kiedy trzeba czytać akta, Chrzanowski może to z równym powodzeniem robić i w Dąbrowie Zakościelnej.

– Ale jedno mnie zastanawia – zauważył porucznik. – Dlaczego zamachu na sierżanta dokonano właśnie teraz?

– A kiedy miał do mnie strzelać? – zdziwił się najbardziej zainteresowany.

– O to mi właśnie chodzi, kiedy – ciągnął Lewandowski. – Teraz mamy styczeń. Starszy sierżant zetknął się ze sprawą człowieka z blizną na swoim terenie jeszcze we wrześniu ubiegłego roku. Oficjalnie przydzielono go do prowadzenia dochodzenia w październiku. Jeżeli osoba Chrzanowskiego tak przeszkadza naszemu bandycie, dlaczego, u licha, zdecydował się na zamach dopiero po czterech miesiącach? Przecież warunki techniczne miał znacznie lepsze w październiku i listopadzie. Ciemniej, brak śniegu, lepiej jechać na motorze.

– Niby racja – zgodził się sierżant. – Gdyby nie było śniegu, w ogóle nie zauważyłbym drutu i wpakowałbym się na niego. Jechałbym też o wiele szybciej, bo droga nie byłaby tak śliska. A gdybym

się wyrócił, a nawet przy upadku nic by mi się nie stało, spokojnie mógł wtedy do mnie podejść i rąbnąć bez pudła.

– A jednak człowiek z blizną czekał aż do wczoraj... Dlaczego? Przecież dowiódł nam, że jest doskonale poinformowany, kto z ramienia komendy prowadzi dochodzenie.

– Ten człowiek nie robi niczego bez namysłu – przyznał major.  
– Jeżeli dopiero teraz zdecydował się na strzały do sierżanta, na pewno uważał, że ma bardzo ważne do tego powody.

– Ale jakie? Od połowy listopada, to znaczy od ostatniego napadu, a było nim obrabowanie księdza Langa, nic się nie zmieniło. Nie uzyskaliśmy żadnego nowego dowodu, najmniejszej choćby poszlaki.

– Moim zdaniem – powiedział major – bandyta czuje się osaczony, jest w strachu, że dochodzenie prowadzone przeciwko niemu może przynieść konkretne rezultaty. A z was obu – to nie jest, Lewandowski, wymówka pod waszym adresem – bardziej obawia się sierżanta. Dlatego też postanowił wyeliminować go ze sprawy.

– Ale dlaczego właśnie teraz? – upierał się porucznik.

– Czy to takie ważne? – roześmiał się Chrzanowski, któremu słowa majora zrobiły wyraźną przyjemność.

– Uważam, że bardzo ważne. Zagadka mająca bodaj kluczowe znaczenie. Jeżeli potrafimy ją rozwiązać, posuniemy się o duży krok naprzód.

– Nie jestem tego taki pewien – zauważył major. – Po prostu człowiek z blizną niedawno dowiedział się czegoś, co go bardzo przstraszyło. Może, na przykład, dowiedział się o naszych małych sukcesach? Albo o tym, że blokada szos była pomysłem sierżanta? Ten bandyta ma szatańską intuicję i doskonały wywiad. Może któryś z was coś do kogoś chlapnął? A ten drugi powtórzył to żonie, żona komuś innemu, ten inny następnemu, a dalej poszło już jak lawina i dotarło do człowieka z blizną? Być może, że i ja sam nie jestem bez winy. Naturalnie – zastrzegł się major – nie mówiłem o żadnych szczegółach śledztwa, ale kilka razy w prywatnej rozmowie pochwaliłem Chrzanowskiego i zauważyłem, że jeżeli wykryjemy bandytów, będzie w tym przede wszystkim jego zasługa. Taka uwaga, to wprawdzie zupełny drobiazg, ale nie zapominajmy, że bandyci żyją w stanie ogromnego napięcia. Zdają sobie sprawę, że praca nad ich zdemaskowaniem nie ustaje ani na chwilę. Wiedzą, że nawet najmniejszy błąd może się przyczynić do ich aresztowania. A jednocześnie nie wiedzą, co może być tym błędem. W takiej sytuacji zawodzą często nerwy i robi się głupstwa, jakim z ich strony był niewątpliwie zamach na sierżanta.

Gdyby komendant powiatowy patrzył w tej chwili na twarz Lewandowskiego, zauważyłby zmieszanie malujące się na twarzy oficera.

– Ale przecież on nie ma... – porucznik urwał w obawie, że powiedział i tak zbyt wiele.

– Co chcecie powiedzieć? – zapytał major.

– Nic szczególnego. Po prostu wydaje mi się, że on, to znaczy człowiek z blizną, nie ma i nie może mieć aż tak dobrego wywiadu, aby znać treść rozmów oficerów milicji.

– Przyznaję – major nadal uważał się po trochu za winnego, że doszło do próby zabójstwa jego pracownika – nie mówiłem tych słów do któregoś z naszych oficerów, lecz powiedziałem je w „Jagiellonce” do dyrektora banku, który pytał mnie, kiedy nareszcie ujmemy nieuchwytnego przestępcę. Czy wiemy, komu dyrektor powtórzył moją odpowiedź, nieujawniającą zresztą nic z tego, czego się domyślamy, czego jesteśmy prawie pewni i w jakim stadium znajduje się śledztwo?



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### *Dwie blizny*

Starszy sierżant Chrzanowski zbyt wielkim był służbistą, aby mu przez myśl przeszło, że mógłby nie posłuchać rozkazu majora i chyłkiem odwiedzić rodzinę w Dąbrowie Zakościelnej. Ponieważ komendant powiatowy polecił mu nie opuszczać Warszawy, Chrzanowski nawet niedzielę spędził w stolicy.

Zajęcia, które zresztą sierżanta bardzo zajmowały, odbywały się jedynie w godzinach porannych. Całe popołudnia i wieczory podoficer miał wolne; mieszkał wygodnie, w hotelu milicyjnym przy ulicy Słonecznej, wyspał się za wszystkie czasy i w ogóle nauka w porównaniu z pracą na posterunku na wsi i dojazdami do Ciechanowa była prawdziwym wypoczynkiem. Ale jak długo człowiek nawet najbardziej zmęczony może się wysypiać?

Chrzanowski nie miał w Warszawie ani rodziny, ani bliższych znajomych. Porucznik Lewandowski albo przyjeżdżał z Ciechanowa, albo nocował u starszego brata i sierżant widywał go jedynie na zajęciach. Pozostawały więc wieczorami kino i książki albo pobyt w kasynie MO przy ul. Rakowieckiej. No i naturalnie spacerować po stolicy, urozmaicane od czasu do czasu wizytą w którejsz cukierni.

Starszy sierżant nieraz łapał się na tym, że zbyt nachalnym wzrokiem obrzuca wszystkich wysokich blondynów. U każdego szukał blizny nad lewym okiem. Jeżeli człowiek z blizną nie mieszka w Ciechanowie, to na bandyckie wyczyny może dojeżdżać tylko z Warszawy. Chrzanowski podświadomie liczył na swoje szczęście. Jakby to było pięknie, gdyby spotkał i zatrzymał tego zbrodniarza!

Dostają obsesji – podoficer karciał sam siebie – na temat blizn. Nie mogą patrzeć na ludzi w inny sposób, jak tylko lustrując ich twarze w poszukiwaniu znaków szczególnych.

Kiedyś na Marszałkowskiej wzrok sierżanta padł na barwne afisze, którymi oklejane są płoty odgradzające budowę Ściany Wschodniej od chodnika. Wśród wielu reklam rzucał się w oczy duży plakat z nadrukiem Teatru Narodowego i czerwonym napisem:

### *DWIE BLIZNY*

Komedia Aleksandra Fredry

Pod tym podano obsadę aktorską, nazwiska reżysera i dyrektora teatru, nic zresztą Chrzanowskiemu niemówiące, oraz informacje dotyczące początku spektaklu i cen biletów.

Sierżant przeczytał wszystko od deski do deski i to kilka razy. Zawrócił w Aleje Jerozolimskie. Miał szczęście, w kasie SPATIF-u sprzedano mu bilet. Ktoś zarezerwował miejsce na ten dzień, lecz później już się nie zgłosił. Miejsce było dobre, w drugim rzędzie. Podoficer nie mógł się doczekać początku przedstawienia. Przed

teatr przybył dobrą godzinę wcześniej, sam podkpiwając ze swojego zniecierpliwienia. Jako młody człowiek nigdy na żadną randkę nie biegł tak podniecony.

Przed rozpoczęciem przedstawienia Chrzanowski kupił program i dokładnie przestudiował. Zawierał on wiele ciekawych wiadomości dotyczących samej komedii, autora, którego sierżant znał choćby z nauki w liceum, oraz różne informacje dotyczące sposobu reżyserii tego spektaklu na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Ale ani słowa o bliznach.

Kurtyna poszła w górę. Chrzanowski początkowo miał jak najlepsze intencje śledzenia wątku sztuki, ale natychmiast zajęło go co innego. Oto na scenie pojawił się kapitan Barski. Dzielny oficer miał bliznę nad lewym okiem. I to bliznę czerwoną, trójkątną, wypisz, wymaluj taką samą, jak poszukiwany bandyta. Sierżant gorączkowo sięgnął do programu. Oficera grał znany aktor Henryk Letyński. Podobny był do człowieka z blizną, bo i blondyn, co prawda łysawy, tylko że niższy, jak to opisywali świadkowie napadów.

Sierżant przeżył jeszcze jedną sensację. Za chwilę na scenie ukazał się drugi bohater sztuki. Ten miał identyczną bliznę, lecz dla odmiany nad prawym okiem. Też trójkątną i też czerwoną.

Odtąd sztuka przestała dla sierżanta istnieć. Patrzył jak urzeczony na tych dwóch aktorów. Ten drugi był bardziej podobny do poszukiwanego bandyty, bo też blondyn i równie wysoki. Gdyby nie to, że wszystkie zeznania świadków stwierdzały zgodnie, iż przestępca ma bliznę właśnie nad lewym okiem, kto wie, czy sierżant dosiedziałby

do końca, a nie pobiegł za kulisy, aby aresztować lub przynajmniej przesłuchać aktora. Na szczęście nie doszło do zerwania w taki sposób przedstawienia.

Chrzanowski bardzo rzadko chodził do teatru. Bo i gdzie? W Dąbrowie Zakościelnej? Nawet jeżeli Teatr Ziemi Mazowieckiej lub jakiś inny zespół odwiedzał Ciechanów, wyprawa na taki spektakl ze wsi oddalonej od miasta o przeszło piętnaście kilometrów była skomplikowana. Podobnie miało się i z kinem. Nieraz wprawdzie podoficer milicji widział filmy kostiumowe i historyczne, ale nigdy nie zetknął się ze sztuką, gdzie charakteryzacja grała tak wielką rolę.

Starszy sierżant szybko zrozumiał, że wprost niepodobieństwem byłoby znaleźć dwóch aktorów, którzy mieliby identyczne blizny, jeden nad lewym, drugi nad prawym okiem, toteż był niezmiernie ciekawy, w jaki sposób zniekształca się twarz i jak wygląda ona u artysty przed charakteryzacją.

W czasie pierwszej przerwy Chrzanowski nawiązał rozmowę z bileterem.

– Chciałbym koniecznie zobaczyć się z panem Letyńskim – powiedział.

– Służbowo? – uśmiechnął się bileter na widok munduru.

– Skądże znowu! Prywatnie. Poznałem go kiedyś i nie widziałem sporo lat – błagował starszy sierżant. – To bardzo porządny chłop, a jaki wesoly.

– To prawda – zgodził się pracownik teatru – ale teraz Letyńskiego pan nie zobaczy. W czasie przedstawienia nikomu nie wolno

wchodzić za kulisy. A po skończeniu spektaklu aktorzy są zmęczeni i spieszą się do domów. Jeżeli pan sierżant chce koniecznie zobaczyć naszego pana Henryka, to najlepiej jutro rano. Jutro jest próba i wszyscy aktorzy będą w teatrze.

– O ósmej?

– Nie. O dziesiątej. Niech pan przyjdzie, ale proszę wejść od ulicy Wierzbowej. Przed dwunastą nie ma się pan co pokazywać, bo próba potrwa co najmniej do południa. Ja pana zaprowadzę do garderoby pana Letyńskiego albo go wywołam.

Starszy sierżant pod jakimś pozorem zwolnił się z zajęć w Zakładzie Kryminalistyki i już przed wpół do dwunastej był w teatrze. Poznany wczoraj bileter powitał go z dość rzadką miną.

– Ma pan pecha, sierżancie.

– Co się stało?

– Bo pana Letyńskiego nie ma w teatrze.

– Przecież pan sam wczoraj mówił, że przyjdzie przed dziesiątą, bo ma próbę.

– Pan Letyński przyszedł, ale próby nie było. Została odwołana, bo dwie panie zachorowały i nie mogły grać.

– Grypa? – domyślił się Chrzanowski.

– Właśnie. Kto jeszcze nie zachorował, to czeka swojej kolejki. Nasz dyrektor zarządził nawet, żeby wszyscy aktorzy, którzy mają występ wieczorem, dzwoniли z samego rana, czy są zdrowi. Już pan Gawlikowski telefonował, że czuje się źle, ale jeżeli mu się nie pogorszy, to przyjdzie wieczorem do teatru.

- Co teraz robić? – martwił się starszy sierżant.
- Ja wspominałem panu Letyńskiemu o zapowiadanych pańskich odwiedzinach, ale on nie chciał tak długo czekać.
- Szkoda. Bardzo mi zależy na tym spotkaniu.
- Niech pan spróbuje – bileterowi zrobiło się żal milicjanta, który miał zawiedzioną minę – poszukać go w kawiarni „Teatralna”. Letyński często tam zachodzi. Kiedy wyszli z teatru, chyba przed pół godziną, to widziałem, że wszyscy poszli w tamtym kierunku.
- Gdzie jest ta „Teatralna”?
- Parę kroków stąd. Przejdzie pan przez plac, a potem w ulicę Bielańską. Na lewo jest oszklony pawilon. Widać z daleka.

Sierżant podziękował i pomaszerował prosto do kawiarni. Przy jednym ze stolików w głębi kawiarni od razu zauważył aktora w towarzystwie wybitnie przystojnej, młodej dziewczyny. Na szczęście stolik w pobliżu był wolny, więc Chrzanowski tak się usadowił, żeby nie tracić Letyńskiego z oczu. Zamówił kawę i czekał, uważnie studiując twarz popularnego aktora.

W kawiarni, bez kostiumu, i szminki, Letyński wyglądał starzej niż na scenie. Miał włosy siwawe, a nie jasnoblonde, jak w czasie przedstawienia. Do jego stolika przysiadł się jeszcze jeden przystojny kociak. Obie dziewczyny wpatrywały się w aktora jak w tęczę.

Jak on to robi, że te dziewczyny tak na niego lecą – pomyślał z odrobiną zazdrości starszy sierżant. – Przecież jestem od niego młodszy chyba o dziesięć lat, a żadna tu na mnie nie zwraca najmniejszej uwagi.

Aktor opowiadał widocznie coś wesołego, bo jego obydwie towarzyski śmiały się w głos. Potem ta pierwsza pożegnała się i wyszła, druga coś długo szeptała, pochylając się do twarzy Letyńskiego. Wreszcie piękny kociak wstał i popłynął ku wyjściu, hojnie rozdając po drodze uśmiechy i pozdrowienia.

W tej kawiarni wszyscy się znali.

Artysta został przy stoliku sam. Wolno dopijał swoją kawę.

– Teraz albo nigdy – postanowił Chrzanowski.

Podniósł się i podszedł do stolika.

– Pan Henryk Letyński? – powiedział, kłaniając się.

– Tak, to ja – aktor był nieco zdziwiony. – Czy to pan miał przyjść dzisiaj do mnie? Wspominał mi o tym...

– Tak. I bardzo przepraszam, że ośmielam się przeszkadzać. Jestem Chrzanowski. Starszy sierżant z Dąbrowy Zakościelnej.

– Bardzo mi miło – aktor powstał, wyciągając rękę. – Proszę, niech pan siada. Wspominał mi pan Marian, że odwiedzi mnie znajomy. Przepraszam, ale nie przypominam sobie...

– Przyznaję, że to było takie kłamstewko. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli przedstawię się jako człowiek zupełnie obcy, bileter nie zechce ułatwić mi dostępu do pana. A mam naprawdę ważną sprawę.

– Słucham, czym mogę panu służyć?

– Widziałem pana wczoraj na przedstawieniu.

– Oo! – wyraźnie ożywił się Letyński. – Podobała się panu moja koncepcja roli? Uważałem, że tego nie można grać jako groteskę, tylko tak, jak tę sztukę czuł Fredro. Komedie ściśle opartą o swoją epokę.

– Całkowicie zgadzam się z panem – starszemu sierżantowi trudno było dyskutować na temat subtelnych odcieni interpretacji roli aktorskiej, ale jako dobry strateg postanowił we wszystkim zgadzać się z popularnym artystą. – Grał pan wspaniale. Wprost oczu nie mogłem oderwać. Dla nas, ludzi z prowincji, wizyta w teatrze i obejrzenie takiego występu jest naprawdę wielkim przeżyciem. Mówi się i wspomina o tym przez długie miesiące.

– To bardzo miłe z pana strony – Letyński uznał, że ten wiejski milicjant jest sympatyczny i inteligentny. Skąd on tak się zna na sztuce?

– A swoją drogą zaciekała mnie niezmiernie pańska charakteryzacja. Ta blizna nad lewym okiem. Muszę się przyznać, że w naszym powiecie grasuje od przeszło dwóch lat nieuchwytny bandyta. Jego ofiary w swoich zeznaniach podają, że ma właśnie identyczną bliznę, jak ta z roli kapitana Barskiego.

– Mam nadzieję – roześmiał się aktor – że nie jestem podobny do tego przestępcy.

– Ależ nie, nie! – zapewnił starszy sierżant. – Tamten jest wyższy i prawdopodobnie młodszy. Trudno zresztą powiedzieć coś na temat jego wieku, bo ten człowiek resztę twarzy zasłania maską. Widać jedynie czoło z czerwoną, trójkątną blizną i jasne włosy.



– A pomimo poszukiwań nigdy nie mogliście odnaleźć mężczyzny z taką właśnie blizną? Zobaczył pan ją dopiero na scenie, na moim czole? Tak?

– Jakby pan zgadł. Rozpisałiśmy nawet listy gończe.

– Widzi pan, sierżancie – Letyński przestał się uśmiechać i mówił teraz poważnie – istnieją dwa sposoby ukrycia swojej prawdziwej twarzy. Jeden, bardzo trudny, to uczynienie z niej czegoś możliwie najbardziej pospolitego, co by zupełnie nie rzucało się w oczy i było nie do zapamiętania dla patrzącego. Na przykład zwykły nos, nie za duży i nie za mały, czoło pospolite, brwi normalne, kolor włosów szarawy, wzrost przeciętny, cera nie za blada i niezbyt opalona. Patrzy się na takiego człowieka, aby za chwilę o nim zapomnieć. Odwrotna metoda, to sztuczne nadanie swojej twarzy jakiejś cechy od razu rzucającej się w oczy. Jeżeli, dajmy na to, założę sobie sztuczny nos, duży, czerwony, jakim może pochwalić się tylko wytrawny pijak, wszyscy będą widzieli jedynie ten mój nos, a nie zwrócą uwagi na inne rysy twarzy. Kiedy nos zdejmę, nikt mnie nie pozna, wszyscy będą mnie mijali jak człowieka widzianego pierwszy raz w życiu.

Sierżant z ogromną uwagą słuchał aktora.

– Pan wspominał, że wasz bandyta ma bardzo jasne włosy i bliznę nad lewym okiem. Wszyscy to spostrzegli. Resztę twarzy zakrywa maska, ale pozostały przecież oczy. Czy ktoś próbował wam powiedzieć, jakie ten człowiek ma oczy i jakie brwi lub rzęsy?

– Nie. Rzeczywiście nie. Nie ma tego w zeznaniach świadków. Nikt nawet nie wspominał o oczach, już nie mówiąc o brwiach.

– Oczywiście, bo wszyscy gapili się na tę bliznę. Ona przede wszystkim przyciągała ich uwagę. A także nienaturalnie jasne, rzadko kiedy spotykane włosy. Wystarczy, żeby przestępca kilkoma ruchami ściereczki usunął z czoła ślady blizny i schował perukę do kieszeni, a mógłby spokojnie usiąść nawet koło swojej ofiary.

– Peruka?!

– Oczywiście, że peruka. Ten człowiek musi być dobrym psychologiem. Dlatego też kładzie rzucającą się w oczy perukę. Obok blizny nad okiem ta peruka jest jeszcze jednym jego atutem. Człowieka z blizną – Letyński zupełnie przypadkowo użył kryptonimu sprawy – możecie szukać do sądnego dnia i nigdy go nie znajdziecie. A jeśli nawet dziwnym trafem uda wam się odnaleźć kogoś podobnego, na pewno będzie niewinny.

– Pan ma rację. Milicja zatrzymała kilku mężczyzn mających blizny. Może nie identyczne, ale zawsze blizny po lewej stronie czoła. Po sprawdzeniu musieliśmy te osoby zwolnić i jeszcze przeprosić.

– A co do tej blizny, to zupełne głupstwo. Wystarczy trochę „wiśniówki” – dodał aktor.

– „Wiśniówki” – powtórzył sierżant. – Monopolowej?

Letyński parsknął śmiechem.

– Przepraszam pana – usprawiedliwił się – zapomniałem, że pan nie z naszej branży aktorskiej i użyłem fachowego języka. W gwarze aktorskiej różne kolory szminek mają swoje własne nazwy. Między innymi „wiśniówką” nazywamy szminkę ciemnoczerwonego, prawie burakowego koloru. Ona to właśnie służy mi do malowania tej trójkątnej blizny. A wie pan, że ciekawe, dlaczego ten bandyta wybrał sobie właśnie taki kształt blizny i umieścił ją nad lewym okiem? Czyżby czytał Fredrę? A może widział tę komedię?

– Czy na scenie pan ma także perukę?

– Tak – wyjaśnił aktor – muszę się przecież odmłodzić. Takie blond włosy, lekko łysiejące, to akurat odpowiednie dla wojaka w wieku fredrowskiego bohatera – w głosie Letyńskiego dało się wy-czuć odrobinę zniecierpliwienia.

Sierżant podniósł głowę. W drzwiach stał inny kociak i dawał z daleka sygnały aktorowi.

– Jestem wykładowcą w Wyższej Szkole Dramatycznej – powiedział Letyński tonem usprawiedliwiającym – i to są właśnie moje uczennice.

– Od razu tego się domyśliłem, panie profesorze – powiedział Chrzanowski z taką intonacją, która nie pozostawiała cienia wątpliwości, iż nie wierzy ani jednemu słowu aktora. – Już uciekam i serdecznie dziękuję za ogromnie cenne dla mnie informacje. Ale mam jeszcze jedną wielką prośbę.

– Słucham?

- Czy mógłbym zobaczyć, jak się pan charakteryzuje?
- To chyba niemożliwe.

Tymczasem czekająca w drzwiach przystojna dziewczyna zniecierpliwiła się i wymijając stoliki i krzesła, zbyt gęsto stłoczone w niezbyt wielkiej salce, sterowała w stronę Letyńskiego. Ten, chcąc jak najprędzej pozbyć się sierżanta, szybko dodał:

– Dobrze, niech pan przyjdzie o wpół do szóstej do Teatru Narodowego, do mojej garderoby. Uprzedzę, żeby nie robili panu przeszkód.

– Nie przeszkadzam? – dziewczyna stała nad ich stolikiem.

– Ale skądże znowu! – aktor zerwał się z miejsca i ucałował zgrabną rączkę. – Państwo się znają? Mój przyjaciel, moja uczennica.

– Jestem Chrzanowski – sierżant poszedł za przykładem Letyńskiego i również podniósł do ust rękę dziewczyny. Mógłby przysiąc, że na słowo „uczenica” kociak mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Usiłuję zatrzymać pana sierżanta, ale niestety, tłumaczy się, że nie ma czasu i już musi iść.

– Trudno, służba nie drużba – westchnął podoficer. Może by i chętnie został w miłym towarzystwie przystojnego kociaka, ale wołał nie narażać się aktorowi. Dodał jedynie: – Będę punktualnie, jak się umówiliśmy.

W niewielkiej garderobie, do której starszego sierżanta zaprowadził pomocnik portiera, Letyński był już obecny, chociaż Chrzanowski zjawił się dziesięć minut wcześniej, niż był umówiony. Aktor powtarzał jakąś kwestię swojej roli. Na krześle leżał wyczyszczony i wyprasowany strój sceniczny: mundur kapitański dawnego wojska polskiego z epoki napoleońskiej, aż kapiący od srebra i złota.

Na ścianie wisiało duże lustro, nad nim lampa, pod nim półka z najrozmaitszymi przyborami do charakteryzacji, a na stoliku jeszcze jedno owalne stojące lusterko.

– Dobrze, że pan tak wcześniej przyszedł – ucieszył się Letyński – pokażę panu, jak robi się te cudeńka.

Aktor usadowił się przy stoliku przed lustrami, okrył szyję i ramiona białym ręcznikiem i sięgnął po przygotowaną perukę. Włożył ją na głowę.

– Widzi pan, jakie to proste? Jeden ruch i już peruki nie ma. Wasz przestępca mógł się pozbyć tej maskarady w ciągu paru sekund po dokonaniu napadu. A co do blizny, to trwa wprawdzie trochę dłużej, ale też nic trudnego i ze zrobieniem jej, i ze zdjęciem makijażu.

Letyński wyjął z szufladki małą flaszeczkę, taką, w jakiej apteki przygotowują zwykle różne lekarstwa.

- To jest główny składnik mojej blizny – powiedział.
- Co to jest?

– Zwykły lek. Dawniej, przed wojną, sprzedawano go bez żadnych ograniczeń w każdej aptece, na równi z jodyną. Obecnie czy wyszedł z mody, bo i w farmacji są również szybko zmieniające się mody, czy też do jego produkcji potrzeba jakichś zagranicznych składników, które musimy importować za dewizy, dość, że dzisiaj collodium w aptekach nie sprzedaje się bez recepty. Farmaceuci znają ten środek i mają go na składzie. Przypuszczam, że obecnie collodium używa się jako składnika innych specyfików. Jest to bezbarwny, dość gęsty płyn, który bardzo szybko zastyga w formie przezroczystej masy, podobnej do żelatyny.

– A do czego służy to collodium przy charakteryzacji?

– Niech pan patrzy. Miejsce, gdzie powinna być blizna, pociągam warstewką collodium. Robię to kilka razy, żeby szybko schnący płyn utworzył dość gruby pokład galaretki na skórze. Teraz trzeba poczekać ze dwie, trzy minuty, aby ujrzeć skutek tej małej operacji.

– To jest zupełnie przezroczyste – stwierdził sierżant.

– Chwilę cierpliwości. Musi dobrze zaschnąć – odpowiedział aktor. – W okresie międzywojennym i przed pierwszą wojną światową do charakteryzacji przywiązywano w teatrze ogromną rolę. Każdy zespół miał przynajmniej jednego charakteryzatora, który „robił” twarze aktorów. W tamtych czasach po prostu nie wypadało, żeby artysta, nawet w sztukach niehistorycznych, występował niecharakteryzowany. A cóż dopiero, jeśli grał rolę jakiejś sławnej

postaci, na przykład Napoleona. Wtedy wierność charakteryzacji musiała być doprowadzona do perfekcji. Można powiedzieć, że ten sceniczny Napoleon wyglądał bardziej po napoleońsku niż oryginał za życia. Takiej roli nigdy nie powierzono by wysokiemu aktorowi.

– Niedawno widziałem film, gdzie w postać cesarza wcielił się wysoki aktor i tylko z lekka przypominał tego Bonapartego, jakiego znamy z licznych portretów.

– Wszystko się zgadza. Po prostu konwencja gry aktorskiej bardzo się w ostatnich czasach zmieniła. Charakteryzacja jest obecnie jedynie drugorzędnym środkiem. Dlatego nie ma już w teatrach specjalnych charakteryzatorów, a każdy artysta sam sobie robi twarz, jak umie. Jeden lepiej, drugi gorzej. Ale proszę, niech pan teraz spojrzysz na moje czoło.

– Rzeczywiście! Skóra się pomarszczyła. Zrobiła się jakaś... – sierżant szukał odpowiedniego określenia – stara.

– O to chodziło. Collodium, zasychając, ściągnęło skórę, tak jak to się dzieje przy bliźnie. Na krawędziach szramy skóra jest zawsze grubsza, chropowata i, jak pan to określił, „stara”. Dlatego też przed wyrysowaniem blizny trzeba użyć collodium dla przygotowania odpowiedniego podkładu.

Letyński wyszukał wśród leżących na półeczce pod lustrem szminek jedną i wybrał cieniutki pędzelek.

– Proszę spojrzeć. To jest właśnie ta „wiśniówka”, której nazwa tak pana zadziwiła. Czy jej kolor rzeczywiście nie odpowiada barwie „Cherry Cordial”?

- Wolę jednak tę oryginalną.
- Ja też.

Aktor nabrał na pędzelek warstwę ciemnoczerwonej szminki i delikatnymi ruchami rysował wąską, czerwoną kreskę na warstwie collodium.

– Gdybym chciał – wyjaśnił – zrobić bliznę innego kształtu, powiedzmy, rzekome szerokie cięcie szablą w poprzek całego czoła, to naturalnie musiałbym inaczej rozprowadzić collodium na twarzy. Szramę rysujemy zawsze mniej więcej na środku warstewki collodium. To bardzo proste, prawda?

– Na pewno, jeżeli ma się taką wprawę, jak pan profesor.

– Nie święci garnki lepią. Niech pan sam spróbuje, a przekona się pan, że to żadna sztuka. Powiedziałbym: abc charakteryzacji. Dam panu trochę tego płynu, mam tu także resztę szminki – wiśniówki, której już nie używam, ale do pańskich doświadczeń w zupełności wystarczy.

– Bardzo dziękuję – ucieszył się sierżant – nie śmiałem o to prosić pana profesora. Wystarczy sama szminka. Co do collodium, nie będę chyba miał kłopotu z nabyciem go w jakiejś aptece naszego powiatu.

– Oczywiście – uśmiechnął się aktor – któryż to prowizor odmówiłby takiego głupstwa „władzy”?

– Pan wie, jak to jest w małym mieście lub na wsi. Milicja musi dobrze żyć z zaopatrzeniowcami, ale kierownicy sklepów wolą także nie zadzierać z miejscowym posterunkiem. Gdyby jeden drugiemu



robił na złość i tylko trzymał się przepisów, daleko byśmy nie ujechali.

– Teraz – Letyński znowu powrócił do wykładu na temat charakteryzacji – całą twarz pokrywam zwykłą szminką sceniczną. Ma ona kolor nieco ciemniejszy od skóry i jest matowa.

– Dlaczego pan to robi?

– Na scenie, w ostrym świetle reflektorów, skóra ludzka zbyt by błyszczała. Aktor nie wyglądałby naturalnie. Poza tym w czasie gry człowiek zawsze się trochę poci. Szminka jest matowa, nie odbija światła, nie znać na niej kropелеk potu. Dlatego też żaden artysta nie wyjdzie na scenę z naturalną twarzą. Zawsze jest uszminowany.

– A jak to się zmywa? – zainteresował się Chrzanowski.

– Żadna sztuka. Zwykłą szminkę można zmyć ciepłą wodą z mydłem, chociaż lepiej usuwa się watką umaczaną w spirytusie. Warstewkę collodium można oderwać paznokciem. Resztki jej schodzą po posmarowaniu acetonem lub spirytusem. W ostateczności wystarczy zwykła woda kolońska. Nie będę się teraz rozcharakteryzowywał, bo nie mam już czasu, ale zapewniam pana, że to nic trudnego. Parę ruchów watką zwilżoną odpowiednim płynem i z blizny nie ma ani śladu.

– Nie wiem, jak dziękować panu profesorowi za ten ciekawy wykład, jak i za pokazanie mi charakteryzacji. Pan to wspaniale zrobił. Ta blizna, nawet z bliska, wygląda zupełnie jak naturalna.

– To głupstwo – aktor zadowolony był z pochwały. – Przed wojną, w latach dwudziestych, mieliśmy właśnie w tym gmachu, w Teatrze Narodowym – charakteryzatora. To był artysta w swoim fachu! Ten człowiek dosłownie robił cuda. Wystarczyło pokazać mu jakąś fotografię i tak robił twarz aktora na jej podobieństwo, że stawał się po prostu modelem tego zdjęcia. Pamiętam, raz dla kawału jeden z kolegów dał się ucharakteryzować na popularną wówczas postać pewnego pułkownika, znanego zarówno z zamiłowania do koni, jak i do mocniejszych trunków. Potem ten kolega poszedł do mieszczącej się także przy tym placu knajpy „Oaza”, gdzie pułkownik bywał codziennym gościem. Nie tylko kelnerzy, ale również przyjaciele i znajomi pułkownika byli przekonani, że mają do czynienia z oryginałem. Nasz charakteryzator zdobył sobie taką popularność w Warszawie, że później rzucił teatr i założył elegancki zakład. Wszystkie główne aktorki i wszystkie panie z towarzystwa chesały się u niego. Dorobił się chłop ciężkiej forsy. Ale to naprawdę był geniusz w swoim zawodzie. Drugiego takiego dzisiaj już nie znajdzie. Umarł w czasie okupacji. Byłem na jego pogrzebie.

Letyński był tak uprzejmy, że nie tylko podarował starszemu sierżantowi trochę „wiśniówki”, ale także pożyczył mu niepotrzebną chwilowo perukę o zupełnie jasnych włosach.

Chrzanowski nie miał najmniejszego zamiaru ukrycia wiadomości uzyskanych od Henryka Letyńskiego przed porucznikiem Lewandowskim. Przeciwnie, miał nawet ochotę przedyskutować tę

sprawę z oficerem nazajutrz rano. Ale kiedy starszy sierżant stawił się na zajęcia w Alejach Ujazdowskich, w gmachu Zakładu Kryminalistyki, czekał tam już na niego i na porucznika telefonogram z Ciechanowa.

**WRACAĆ NATYCHMIAST, STOP, BANDYCI UJĘCI, STOP, PRZERWAĆ DOTYCHCZASOWE ZAJĘCIA.**

Wobec takiego rozkazu obaj funkcjonariusze ciechanowskiej milicji odmeldowali się u dyrektora Zakładu i, zaintrygowani, najbliższym pociągiem wrócili do Ciechanowa.

W czasie jazdy sierżant nie miał okazji powtórzyć porucznikowi wykładu charakteryzacji profesora Letyńskiego. Cały czas rozmowa obracała się wokół niespodziewanego ujęcia nieuchwytnych dotychczas bandytów.

– Już to widzę, jak komendant zmywa nam głowy – martwił się porucznik. – Przez cztery miesiące nie potrafiliśmy złapać człowieka z blizną, a wystarczyło, żeśmy wyjechali na tydzień z Ciechanowa, aby przestępcy znaleźli się pod kluczem. Ale jak oni ich dopadli?

– Jeszcze trochę cierpliwości, poruczniku, a wszystkiego się dowiemy – sierżant wydawał się uosobieniem spokoju, chociaż nie mniej od swojego towarzysza był ciekawy, w jakich okolicznościach udało się pochwycić człowieka z blizną.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### *W potrzasku*

Porucznik Lewandowski niewiele się mylił w swoich przewidywaniach. Kiedy obaj milicjanci wchodzili do gmachu komendy, już w dyżurce ich uprzedzono:

– Macie natychmiast zameldować się u majora. Ze trzy razy pytał, czy jesteście.

Porucznik i sierżant obciągnęli mundury, przyglądzieli czupryny i z niezbyt tęgimi minami wkroczyli do gabinetu komendanta. Szef, wbrew złym przeczuciom porucznika, nie rzucał gromów, jedynie zauważył z przekąsem:

– Nareszcie mamy u siebie tych słynnych „deduktorów”. Wszystko znali, wszystko przewidzieli. A tymczasem milicja w Ojrzaniu ujęła jednego z bandytów. Tego mniejszego. Nazywa się Zygmunt Kaczorowski i od ogółu kobiet różni się pewnymi drobiazgami fizjologicznymi.

– Zygmunt Kaczorowski? – zdumiał się porucznik.

– Ten sam. A wyście kogo szukali?

Nazwisko zatrzymanego było porucznikowi doskonale znane. Zygmunt Kaczorowski, młody człowiek w wieku 24 lat, nigdzie niepracujący, miał opinię notorycznego pijaka i chuligana. Wielokrotnie zatrzymywany i stawiany przed sądem lub kolegium

orzekającym, Kaczorowski zawsze wykręcał się bądź niewielką grzywną, której oczywiście nigdy nie płacił, bądź też zgół ojcowskim wyrokiem. Dopiero teraz zarobi więcej. Ciechanów nareszcie odetchnie: jednego rozrabiaki będzie w nim mniej.

– Nie ma co, popisaliście się! Kaczorowskiego zatrzymano na gorącym uczynku, w czasie napadu na sklep w Kicinie. W Ojrzeniu zrobiono pierwszy protokół, i dzisiaj rano przywieziono bandytę do nas. Przejmiecie dochodzenie. Trzeba jak najszybciej ująć tego drugiego. Mam nadzieję, że tym razem nie pokpicie sprawy.

– Tak jest! – Lewandowski wyprężył się na bacność, zadowolony, że zwierzchnik obszedł się z nim łagodnie.

Major był jednak w dobrym humorze, bo nareszcie chociaż za jednym z bandytów zamknęły się drzwi aresztu. Poza tym nie potrafił zbyt długo gniewać się na swoich podkomendnych, którzy, komendant sam to w duchu przyznawał, zrobili, co w ich mocy i co do nich należało, lecz po prostu więcej szczęścia mieli milicjanci z posterunku w Ojrzeniu.

– Akta sprawy znajdziecie – dodał na zakończenie rozmowy major – u panny Eli. Jak dotychczas Kaczorowski do niczego się nie przyznaje i odmawia zeznań. Liczę na to, że będziecie umieli rozwiązać mu język i wydusić z niego nazwisko tego drugiego, z bliźną. Tylko pamiętajcie, żeby wszystko było zgodne z praworządnością.

– Co też obywatel major opowiada! – oburzył się porucznik.

– Bo ten Kaczorowski, ledwie go tu przywieźli, już złożył skargę, że go w Ojrzeniu bili. Jak się okazało, jeden z milicjantów przeciągnął go gumą po plecach, bo przy wprowadzaniu do aresztu szamotał się, chcąc się wyrwać konwojującemu go kapralowi. Nie chciałbym, żeby znowu wygłupiał się przed prokuratorem.

– Pan major może być spokojny. Włos mu z głowy nie spadnie. A co wie, to nam wyśpiewa. Już ja sobie z Tomciem Paluchem poradzę. Znamy się zresztą dobrze. Ile razy go przymknięto, zawsze trafił do mnie. Wie, że ze mną żartów nie ma.

– Tomcio Paluch? – zdziwił się starszy sierżant, który niezbyt dobrze znał ciechanowską chuliganerię.

– Ze względu na mały wzrost tak go koledzy przewali. Tomcio Paluch albo po prostu Paluch.

Po powrocie do swojego pokoju porucznik zabrał się do studiowania szczegółowego protokołu, opisującego przebieg wydarzeń we wsi Kicin. Komendant posterunku w Ojrzeniu, dumny z ujęcia jednego z groźnych bandytów, nie omieszkał przedstawić całej sprawy możliwie jak najbardziej dokładnie, aby na tym tle uwypuklić zarówno zasługi swoich podwładnych, jak i współpracę miejscowej ludności, nie zapominając oczywiście o własnym w tym udziale.

Lewandowski czytał kartkę po kartce i podawał je kolejno starszemu sierżantowi. W ten sposób razem zapoznawali się z całą sprawą, z tym, że porucznik nieco wyprzedzał podoficera. A oto relacja historii napadu:

Wieczorem, było już po godzinie ósmej, ktoś zapukał do drzwi mieszkania kierownika sklepu. Stefan Curuś, przypuszczając, że to jeden z mieszkańców Kicina, otworzył. Do mieszkania weszło dwóch zamaskowanych bandytów. Jeden wysoki, drugi niższy. Któryś z nich powiedział:

– Bierz klucze i otwieraj sklep. A nie próbuj uciekać, bo zabiję.

Sterroryzowany sprzedawca spełnił to żądanie. Kiedy opuszczali mieszkanie, drugi z bandytów zwrócił się do żony Curusia:

– Jeżeli pani chce jeszcze zobaczyć męża żywego, to siedzieć cicho, nie wychodzić z domu i pilnować dzieci. Inaczej... – napastnik zrobił ruch ręką, imitujący pociągnięcie nożem po gardle.

Kierownik mieszkał w pobliżu sklepu. Wystarczyło przejść przez ulicę i już byli na miejscu.

– Otwieraj! – padła komenda.

Curuś drżącymi rękoma dobierał klucze i zdejmował kłódki. Weszli do środka.

– Nie zapalaj światła – jeden z bandytów wyjął z kieszeni latarkę elektryczną i oświetlił wnętrze sklepu.

Obaj bandyci musieli dokładnie orientować się w jego zawartości, bo ten niższy wszedł za kontuar i z dolnej półki wyciągnął masywną szkatułkę, zamkniętą na kłódkę.

– Dawaj klucz – przestępca zwrócił się do sprzedawcy.

– Nie mam. Zostawiłem w domu, w marynarce.

- Dawaj, bo cię... – w ręku bandyty błysnął nóż sprężynowy.
- Mogę przynieść z domu. Naprawdę nie mam – na dowód swoich słów sprzedawca wywrócił kieszenie spodni.
- Iść z nim? – zapytał mały.
- Nie potrzeba. Damy sobie radę i bez klucza – wyższy z bandytów podniósł leżący koło piecyka stalowy pręt, służący za pogrzebacz. Włożył pręt w kółko kłódki i mocno nacisnął. Zamknięcie puściło. Kasetka była otwarta.

Bandyta spakował banknoty i bilon do kieszeni krótkiej, watawanej kurtki. Kiedy skończył, przyjrzał się półkom sklepowym. Na najwyższej stała piękna kolekcja butelek. Przestępca wziął jedną z nich, fachowym ruchem odbił korek i wręczył flaszkę swojemu koledze.

- Pij. Na rozgrzewkę. Tylko nie za dużo.

Potem wysoki bandyta otworzył drugą flaszkę, upił kilka łyków wódki i, wręczając ją kierownikowi sklepu, rozkazał:

- Ciągnij! Ale już!
- Panowie, ja nie mogę – tłumaczył się przerażony sprzedawca – moja wątroba! Serce...
- Prędej! – poganiał napastnik.

Kierownik przyłożył szyjkę butelki do ust. Zęby zadzwoniły o szkło.

- Pij – mały niedwuznacznym ruchem pokazał swój sprężynowiec.



Kierownik sklepu krztusił się, łykając mocny alkohol. Bandyci pilnowali, aby nie było żadnego oszustwa. Dopiero kiedy na dnie flaszki zostało kilka łyków, wysoki łaskawie zezwolił:

– Starczy! Chyba ma dosyć? – dodał, zwracając się do swojego towarzysza. – Teraz trzeba go zamknąć w sklepie.

Po zaryglowaniu drzwi obaj napastnicy okrążyli budynek sklepowy, wychodząc w ten sposób na tyły zabudowań chłopskich, rozciągniętych wzdłuż drogi. Jak to zwykle bywa, za zabudowaniami biegła ścieżka, którą można było obejść całą wieś. Tutaj bandyci ściągnęli: jeden maskę, drugi czarną pończochę i, przyspieszając kroku, skierowali się w stronę niewielkiego lasu, rosnącego pomiędzy Kicinem a sąsiednią Wojtkową Wsią. Byli pewni bezpieczeństwa i bezkarności. Zwolnili nawet kroku. A tymczasem...

...A tymczasem mieli pecha. Kiedy wychodzili z mieszkania Curusia, w drzwiach sąsiedniego domu, niewidoczny dla bandytów, stał Marian, siedemnastoletni syn miejscowego gospodarza Józefa Łabędzkiego. Chłopak, widząc dwie zamaskowane postacie i kroczącego pomiędzy nimi kierownika sklepu, zorientował się natychmiast w sytuacji. Cofnął się w głąb sieni, wyszedł nią na podwórze i stamtąd przez wrota na ścieżkę biegnącą opłotkami. Ile sił w nogach pognął do sołtysa.

Sołtys także nie tracił czasu. Jeszcze antaba nie była w sklepie zdjęta, kiedy posterunek milicji w pobliskim Ojrzeniu dostał wiadomość o napadzie.

– Nie róbcie alarmu – sierżant Mitecki, komendant posterunku wydawał rozkazy – żeby nie spłoszyć bandytów. Obserwujcie ich z daleka, żeby wiedzieć, dokąd pójda.

Sierżant Mitecki orientował się bez sprawdzania na mapie, że bandyci mają tylko dwie możliwości ucieczki. Kicin leży przy drodze łączącej szosę: Ciechanów – Płońsk z Wojtkowa Wsią. A znowu Wojtkowa Wieś ma połączenie z Ojrzeniem inną drogą. Od szosy do Kicina było około dwóch kilometrów, a z niej do Ojrzenia, właśnie tą inną drogą około sześciu kilometrów. Strategiczny plan sierżanta Miteckiego polegał na tym, aby zablokować drogę, przy której leży Kicin, z dwóch stron, przy szosie i przy Wojtkowej Wsi. Jest tam wprawdzie mały lasek, ale bandyci mogą uciekać jedynie tędy, ponieważ po obu stronach ciągną się bagniste łąki i niezamarnięte rzeczki; różne dopływy Łodyni. Jeżeli więc zdąży się ubiec przestępców, znajdują się oni w potrzasku.

Mitecki miał dużo szczęścia. Tak się złożyło, że akurat na posterunku było aż trzech funkcjonariuszy milicji. Wszyscy gotowi do akcji. Sierżant z lizakiem w ręku wyskoczył na szosę i zatrzymał dwa ciężarowe samochody. Jeden z nich posłał w stronę Płońska, żeby zablokował skrzyżowanie szosy z drogą do Wojtkowej Wsi. Milicjant, uzbrojony zarówno w karabin, jak i pistolet, otrzymał rozkaz bezwzględnego użycia broni, gdyby bandyci nie zatrzymali się na pierwszy rozkaz.

– A celujcie dobrze – uprzedzał sierżant – nie wolno spudłować. Tym razem musimy ich dostać.

Inny samochód z drugim milicjantem podążył prosto do Wojtkowej Wsi, aby zamknąć ten wylot drogi do Kicina.

Sam Mitecki zostawił sobie najbardziej niebezpieczne zadanie. Na motocyklu, w towarzystwie podwładnego, pognął prosto do Kicina, wyprzedzając ciężarówkę, która zgodnie z poleceniem zatrzymała się na skrzyżowaniu szosy płońskiej z drogą do wsi. Kiedy wjechał do Kicina, tam czekali już na niego sołtys i Marian Łabędzki.

– Poszli, panie sierżancie, opłotkami w stronę Wojtkowej Wsi – poinformował młody Łabędzki. – Obeszli cały Kicin i wyszli na drogę. Przed paru minutami.

– Dobra! – ucieszył się Mitecki. – Już ich mamy. Już nam się nie wywiną.

Dodał gazu i osiemdziesiątką przeleciał przez całą wieś. Z daleka zauważył światła jakiegoś motocykla wyjeżdżającego z małego lasu.

– To oni! – krzyknął kapral Urbaniak, siedzący na tylnym siodełku. – Widzicie?!

– Widzę! – Mitecki jeszcze zwiększył szybkość. Jego motor niebezpiecznie tańczył na oblodzonej wiejskiej drodze. Ale za to szybko zbliżali się do jadącej przed nimi maszyny. – W razie czego – strzelaj!

Kapral wyjął z kabury pistolet. Drugą ręką trzymał się Miteckiego za pas. W tym podnieceniu i żeby nie tracić cennych sekund, mieli na sobie jedynie mundury, bo nie zabrali płaszczy, chociaż było przeszło cztery stopnie mrozu.

Motocykliści widocznie zauważyli pościg, bo też przyspieszyli. Obie maszyny pędziły w stronę Wojtkowej Wsi.

– Tamten z ciężarówką już powinien być na miejscu! – denerwował się Mitecki. – Ale nawet gdyby się spóźnił, i tak będziemy siedzieli im na ogonie.

Tak przelecieli trzy kilometry. Nagle na drodze rozjarzyły się dwa reflektory. To kierowca ciężarówki dawał znać, że zamknął trasę ucieczki.

Bandyta prowadzący motocykl nagle zahamował. Maszyna bokiem ślizgała się na oblodzonej drodze, ale kierowca jakoś utrzymał równowagę. Jeszcze motocykl dobrze nie stanął, kiedy obaj przestępcy rzucili się do ucieczki w las. Kapral Urbaniak akrobatycznym susem zeskoczył z motoru Miteckiego. Pośliznął się, podparł rękoma i, nie wypuszczając pistoletu, rzucił się w pościg za bandytami.

– Stój, bo strzelałem! – krzyknął w biegu. – Stój!

Mitecki starał się zahamować maszynę. Z drugiej strony, od ciężarówki oddalonej o 50 metrów, biegł następny milicjant. Wtedy sierżant, zdając na los szczęścia jeszcze tańczący po szosie motocykl, wypuścił kierownicę z rąk i także skoczył za uciekającymi.

Wysoki bandyta przez ten czas odsądził się ładny kawałek i zniknął w gęstwinie drzew. Mały był znacznie bliżej. Sierżant wyszarpanął z kabury pistolet, zatrzymał się i pierwszy strzał oddał w górę, ale przy następnym uważnie celował w uciekającego. Po dwóch strzałach mniejszy bandyta przystanął. Zrozumiał, że dalsza ucieczka nie ma żadnych szans powodzenia. Podniósł ręce do góry. Urbaniak

dopadł go i mocno uchwycił za kołnierz. Sierżant, widząc, że jeden z bandytów już się nie wymknie, pognął za drugim.

Ale las, choć niewielki, był jednak bardzo gęsty. Na dobytek nie było tu prawie śniegu. Uciekający zaszył się gdzieś w gąszcz. Sierżant i milicjant z ciężarówki na próżno przeczesywali zarośla. Po pół godzinie Mitecki zrezygnował.

– Prędzej byśmy igłę znaleźli w sianie – zauważył, zwracając się do swojego podwładnego. – Ten łobuz albo wlaźł na drzewo, albo leży gdzieś w krzakach i śmieje się z nas. No, ale mamy jednego, ten resztę nam dośpiewa.

Wrócili na drogę. Tymczasem Urbaniak trzymał tu pod pistoletem schwytanego. Miał on jesionkę przestrzeloną aż w dwóch miejscach. Dlatego dał się złapać. Trzecia kula sierżanta już by na pewno dosięgnęła celu.

- Ja bym i tak go dogonił – chwalił się Urbaniak.
- Zrewidujcie go – polecił Mitecki.

Milicjant obszukał zatrzymanego. W jednej z kieszeni znalazł damską czarną pończochę. W drugiej nóż sprężynowy. Poza tym trochę pieniędzy, chusteczkę do nosa, jakieś stare zdjęcia i dowód osobisty na nazwisko Zygmunta Kaczorowskiego, zamieszkałego w Ciechanowie przy ulicy Wyzwolenia.

- Gdzie masz pistolet?
- Nie mam. Czego ode mnie chcecie? Gonicie, strzelacie. Co ja wam zrobiłem?
- Patrzcie go – zdenerwował się Urbaniak – jakie to niewiniątko. Aż mnie ręka śwędzi.

– Tylko mnie dotknij – odgrażał się bandyta, świadomy swoich praw obywatelskich.

– Dajcie spokój, kapralu. Załadować go do ciężarówki i pojedziecie do Kicina. A my za wami na moim motorze i tym drugim porzuconym na drodze.

Przed sklepem w Kicinie stała już z każdą chwilą zwiększająca się gromadka ludzi. Na spotkanie milicji wyszedł sołtys.

– Macie ich, panie komendancie?

– Jednego mamy, drugi uciekł.

– A mój mąż? Gdzie Stefan? – pani Curusiowa podbiegła do milicjantów. – Zabili go, zabili! – zanosła się płaczem.

– Niech pani się uspokoi. Mąż się znajdzie – pocieszał kobietę Mitecki. Dopiero teraz zaczął się zastanawiać, co mogło stać się ze sprzedawcą.

– Panie komendancie – Marian Łabędzki przepchnął się przez tłum otaczający milicję – śledziłem bandytów. Tak, jak pan sierżant rozkazał. Oni wyszli ze sklepu i zamknęli go na antabę. Pana kierownika nie było między nimi.

– Ludzie, ratujcie! On tam, nieszczęsny, leży zabity! Albo umiera! – histeryzowała Curusiowa.

Mitecki podszedł do sklepu. Był zamknięty zarówno na antabę, jak i na dwie kłódki. Sierżant obejrzał zamki.

– A buchwel ma tam który? – zapytał.

– Ja mam – odpowiedział jakiś głos z tłumu. – Ale w domu.

– No to skoczcie do chałupy i przynieście – polecił komendant posterunku. – A wy, Urbaniak – dodał, podchodząc do ciężarówki, w której kapral ciągle z pistoletem w rękę pilnował swojej zdobyczy – jedźcie prosto do szosy. Ze skrzyżowania zabierzcie kaprala Latocha, tamtą ciężarówkę zwolnicie, a tą zawieziecie naszego ptaszka na posterunek w Ojrzeniu. Zamknąć w areszcie i niech jeden pilnuje pod drzwiami. To dobry numer i nie ma nic do stracenia. Uważajcie na niego. Jakby wam uciekł, strach pomyśleć, co by z nami było.

– Spokojna głowa, komendancie – roześmiał się Urbaniak – niechby spróbował!

Przyniesiono buchwel i jego właściciel wziął się do przecinania kłódek. Mitecki wraz ze swoim pomocnikiem stanęli pod drzwiami.

– Niech nikt nie wchodzi – uprzedzał sierżant – ani mi się ważcie.

– Ale patrzeć wolno – dowcipkował któryś z gospodarzy.

– Tylko patrzeć i to z daleka.

Wreszcie kłódki ustąpiły. Sierżant ostrożnie otworzył drzwi, zmacał po ich lewej stronie kontakt i zapalił światło. Na środku podłogi leżał Stefan Curuś.

– O Jezu! Nie żyje! – krzyknęła rozpaczliwie Curusiowa i jak lwica skoczyła do drzwi.

Sierżant zaskoczony tym nagłym atakiem nie potrafił zatrzymać kobiety, która z płaczem upadła na kolana przy ciele męża.

– Nie wchodzić, nie wchodzić! – kapral siłą odpychał gapiów.

Mitecki ostrożnie zbliżył się do leżącego i szlochającej nad nim kobiety. Nachylił się, szukając ran i sprawdzając, czy kierownik sklepu jeszcze żyje. Poczłł dobrze mu znany zapach. Rozejrzał się, tuż koło „zamordowanego” leżała pusta flaszka. Szarpnął Curusia za ramię. Kierownik sklepu usiadł, pokiwał głową i wymamrotał:

– Dosyć! Nie piję więcej. Moja wątroba! Serce! Litości, panowie bandyci – to mówiąc, opadł na podłogę, przewrócił się na drugi bok i smacznie zachrapał.

Curusiowa natychmiast przestała lamentować.

– Ach, ty pijaku! Urznął się jak świnia. I to z kim? Z bandytami. A ja tu rozpaczam, że mąż nie żyje. Tymczasem on pijany leży w sklepie.

Ze złością, ale zupełnie bezskutecznie, szarpała męża, chcąc doprowadzić go do przytomności.

– Wyciągnijcie go, kapralu, ze sklepu – polecił Mitecki – w tym stanie i tak niczego się od niego nie dowiemy. Niech go zanoszą do domu, żeby wytrzeźwiał.

Jacyś dwaj młodzieńcy złapali Curusia, jeden pod ramię, drugi za nogi, żona, ciągle złorzeczając, przytrzymała mu głowę, i mały pochód ku ogromnej uciezce wszystkich zgromadzonych skierował się do mieszkania kierownika sklepu.

Sierzant uważnie rozejrzał się po sklepie. Jedna, częściowo opróżniona, butelka wódki stała na kontuarze, druga, pusta, leżała na podłodze. Poza tym na kontuarze stała otwarta kasetka z ukręconym



zamkiem. Była całkowicie opróżniona. Wszystko, prócz tego, wydawało się w porządku.

Mitecki niczego nie ruszał, sięgnął jedynie do półki, na której leżały kłódki. Wybrał dwie najsolidniejsze, zgasił światło w sklepie i starannie zamknął drzwi.

– Jutro przyjedzie ekipa śledcza – powiedział ciekawskim – my tu nie mamy nic do szukania.

Sierżant zanotował imię, nazwisko i adres głównego świadka, Mariana Łabędzkiego, i wyjaśnił młodemu człowiekowi, że będzie musiał składać zeznania w Ciechanowie. Dodał też, że na pewno nie minie go nagroda za aktywny udział w złapaniu bandyty. Podziękował też sołtysowi.

– My sami byśmy złapali tych drani – tłumaczył przedstawiciel władzy wiejskiej – ale jak pan sierżant kazał, żeby nie płoszyć, to tylko baczylśmy z Marianem, co robią i dokąd uciekają. Ale że ten Curuś tak sobie z nimi podpił? Coś w tym jest...

– Coś w tym jest – powtórzył sierżant Mitecki.

Dobrze znał kierownika sklepu. Ten człowiek nie gardził jednym czy dwoma kieliszkami, ale żeby opróżnić całą butelkę naraz?

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

### ***Tomcio Paluch zaczyna śpiewać***

Porucznik Lewandowski przerwał czytanie akt sprawy.

– Ten pomysł z upiciem kierownika nie jest zły. Zanim by żona odważyła się wyjść z domu, zanim by wyłamali drzwi do sklepu, upłynęłyby ze dwie godziny. W całym rozgardiaszu wszystkie ślady zostałyby dokumentnie zatarte. Kto wie, czy zaalarmowaliby milicję przed wytrzeźwieniem Curusia.

– Hm – mruknął sierżant Chrzanowski. Poznać było łatwo po jego minie, że nie jest zachwycony treścią protokołu. – Przyznaję, że Mitecki spisał się chwacko, ale ten mały nie pasuje mi do naszej sprawy.

– Macie do niego, sierżancie, pretensję, że nie jest dziewczyną – Lewandowski pogodził się z myślą, że ktoś inny ujął groźnego bandytę. Przecież i tak na porucznika spłynę trochę zasługi za ujęcie drugiego, co niewątpliwie wkrótce powinno nastąpić.

Chrzanowski nie odpowiedział na drobną złośliwość młodego oficera. Obaj powrócili do studiowania protokołu.

Sierżant Mitecki po powrocie do Ojrzenia otrzymał meldunek od Urbaniaka, że wprowadzany do aresztu Zygmunt Kaczorowski usiłował mu się wyrwać, ale ucieczce zapobiegł drugi z milicjantów.

Awanturującego się i atakującego funkcjonariuszy MO Kaczorowskiego uspokoiła dopiero pałka gumowa, przyłożona do jego pleców.

– Dawajcie go na górę – polecił sierżant – trzeba wstępnie go przesłuchać, a jutro odesłać do Ciechanowa.

Zygmunt Kaczorowski opowiedział sierżantowi skleconą naprędce bajeczkę. Był w Kicinie, chciał wrócić do Ciechanowa. Zatrzymał jakiś jadący motor. Motocyklista oświadczył, że także wraca do miasta i zgodził się podwieźć Kaczorowskiego. Na drodze zobaczyli ścigający ich inny motocykl. Dlatego też Kaczorowski wyskoczył i biegł do lasu. Zatrzymał się dopiero na komendę „stój, bo strzelam” i wtedy spostrzegł, że goniący go są w milicyjnych mundurach. Zatrzymał się i podniósł ręce do góry. Potem, już w areszcie, jeden z milicjantów go pobił, chociaż on, Kaczorowski, zachowywał się zupełnie spokojnie i nawet nie myślał o ucieczce. Właściciela motocykla nie zna i nigdy go wcześniej na oczy nie widział. Poza tym odmawia dalszych zeznań. Żąda, żeby go natychmiast zaprowadzono do prokuratora, któremu chce złożyć skargę na milicję o pobicie spokojnego obywatela.

– No to co? – zaproponował Lewandowski. – Pogadamy z tym Tomciem Paluchem?

– Niech pan porucznik go przesłuchuje – zgodził się starszy sierżant – ja będę tylko słuchał. Pan go zna dobrze. A gdybym miał jakieś pytania, dam porucznikowi znak.

– Zgoda. Zaraz przyprowadzą z aresztu tego gagatka.

Ale przesłuchanie bandyty trzeba było odłożyć, bo do pokoju weszła panna Ela, aby zawiadomić Lewandowskiego, że w sekretariacie czekają Stefan Curuś i Marian Łabędzki. Do komendy kazał im się zgłosić sierżant Mitecki z Ojrzenia.

– Świetnie! – ucieszył się porucznik. – Niech tu przyjdzie najpierw Curuś. Widzę, że ten Mitecki nie zasypia gruszek w popiele.

– Pewnie – przytaknął Chrzanowski – nadstawiał chłop karku, złapali bandytę, to stara się, żeby nie zapomniano o zasłudze. Nagroda nie powinna ich minąć. Całą akcję przeprowadzili na medal.

– Ale ten drugi im uciekł.

– Jak jest jeden, znajdzie się i drugi.

Stefan Curuś wszedł do pokoju bardzo speszony. Zdawał sobie doskonale sprawę, że obaj milicjanci prowadzący dochodzenie wiedzą, w jakim stanie znaleziono go wczoraj w sklepie.

– Siadajcie, obywatelu Curuś – porucznik wskazał krzesło naprzeciwko siebie. – Opowiedzcie, jak to było wczoraj.

– Ja, obywatelu poruczniku, nie piję. I słowo daję, nie piłem z nimi. Przyłożyli mi nóż do piersi i powiedzieli, że jak nie będę pił, to mnie dźgną tym sprężynowcem. Pilnowali, żebym wypił do dna. A sami, dranie, tylko łyknęli.

– Powoli, powoli, dojdziemy i do picia wódki. Opowiedzcie od początku. Która to była godzina?

– Po ósmej wieczorem, panie poruczniku. Właśnie w radiu mówili wiadomości. Słyszę pukanie. Myślałem, że to ktoś z sąsiadów. Otwieram drzwi... – Curuś dokładnie opisywał przebieg napa-  
du.

- Czy mieli broń?
- Mieli. Widziałem pistolety. Grozili, że zabiją.
- Jak wyglądali ci bandyci?
- Jeden wysoki w watowanej kurtce. Niższy był w ciemnej je-sionce.
- A twarze?
- Ten wysoki miał ją czymś omotaną i nie widać było ani nosa, ani ust. A ten niski włożył na głowę czarną pończochę i twarzy cał-kiem nie można było rozpoznać.
- A włosy?
- U tego czarnego nie widziałem, bo miał pończochę.
- A ten wysoki?
- Chyba jasne.
- Jasne czy chyba jasne?
- Bo ja wiem? Zdawało mi się, że jasne. Ale ze strachu nie przyglądałem mu się. Przecież już zastrzelili kierowniczkę sklepu w Grabienicach Małych.
- A czoło? Pamiętacie?
- Powinien mieć bliznę – stwierdził Curuś. – Gazety pisały i ludzie mówili, że ten wysoki ma bliznę na czole.
- Co ludzie mówili, to my sami wiemy. Mówcie, co wyście wi-dzieli.
- Ja tam się nie przyglądałem. Wiadomo, człowiek z blizną. Tak go nazywają.

– Panie Curuś – Lewandowski nie tracił spokoju – niech pan nam mówi o tym, co pan widział na własne oczy.

– Tak się bałem, że mi się ciemno przed oczyma robiło. A ręce tak mi się trzęsły, że kluczy nie mogłem utrzymać. Mało trupem nie padłem z samego strachu.

– Czy w sklepie było dużo pieniędzy.

– Nie – wyjaśnił Curuś – tylko utarg z całego dnia. Nie pamiętam raportu kasowego, ale ruch w sklepie nie był zbyt wielki. Mogło być ze cztery, najwyżej pięć tysięcy. Jak normalnie. Ja codziennie odstawiam pieniądze do banku. Jeden z mieszkańców Kicina pracuje w Ciechanowie i co dzień zabiera utarg, żeby wpłacić do PKO. Tak to zostało uzgodnione z zarządem powiatowym geesów.

– Od dawna?

– Już od przeszło dwóch lat. Zaraz jak się zaczęły te napady na sklepy.

– Czy bandyci byli w rękawiczkach?

– Tak. Ten mniejszy miał wełniane, a ten wysoki skórkowe. Zupełnie nowe. Dobrze pamiętam. Bo zdjął je przed tym, żeby ich nie poplamić, zanim wziął do ręki pogrzebacz. Ale kiedy ukręcił kłódkę i schował pieniądze do kieszeni, to znowu je włożył.

– Wódkę pili w rękawiczkach?

– Na pewno. Temu małemu butelka mało nie wysliznęła się z rąk.

Ku wielkiemu zdumieniu Curusia porucznik Lewandowski nie zadał mu żadnego pytania na temat picia wódki razem z bandytami;

poinformował jedynie kierownika, że sklep musi być zamknięty, dopóki milicja nie przeprowadzi w nim szczegółowych oględzin, co prawdopodobnie nastąpi jutro.

– I tak bez remanentu sklepu nie otworzę – Curuś znał przepisy.

Marian Łabędzki potwierdził fakty podane w pierwszym protokole, sporządzonym przez komendanta posterunku w Ojrzeniu. W sieni swojego domu Łabędzki stał przez pewien czas; chciał sprawdzić, czy jego sympatia, mieszkająca o parę domów dalej, nie okłamuje go i rzeczywiście umówiła się z koleżanką, a nie z pewnym chłopcem; wypatrywał, czy będzie szła sama, czy też ktoś ją odprowadzi. Wtedy zauważył, że dwóch mężczyzn weszło do mieszkania kierownika sklepu, ale jeszcze niczego nie podejrzewał. Mężczyźni nadeszli od strony Wojtkowej Wsi. Nie byli zamaskowani, bo to od razu zwróciłoby jego uwagę. Dopiero kiedy ponownie pokazali się na drodze, tym razem już z Curusiem, chłopak zauważył maski na twarzach. Domyślił się, że to człowiek z bliźną i jego kompan, i że chcą obrażać sklep.

– Duża ta bliźna?

– Ja jej nie widziałem. Tyle tylko że mieli czarne twarze. Temu mniejszemu to nawet coś jakby ogon zwisało z tyłu głowy.

– Czy wysoki był z gołą głową?

– Tak. Pamiętam, że to mnie trochę zdziwiło – bez czapki w mróz. On już tak szedł do Curusia.

Kiedy świadek opuścił pokój, sierżant zauważył:

– Na pogrzebaczu mogą być odciski palców tego wysokiego. W niczym nie umniejszając zasługi Miteckiego, wydaje mi się jednak, że nasza radość jest trochę przedwczesna. Ci dwaj, którzy obrabowali sklep w Kicinie, to nie poszukiwany przez nas człowiek z blizną i jego kompan.

– Dlaczego tak sądzicie, sierżancie?

– Wiele nie zgadza mi się w tej sprawie. We wszystkich poprzednich napadach ten mały nigdy nie otwierał ust. Nie zdarzyło się też, żeby bandyci kiedykolwiek pili wódkę lub żeby kogoś zmuszali do jej picia.

– No cóż – uśmiechnął się porucznik – postęp techniczny dotarł nawet do przestępców. Stosują nowe metody oszłamiania swoich ofiar.

– Poza tym nasi bandyci nigdy nie posługiwali się nożami. A Curuś kategorycznie twierdzi, że mały ciągle groził mu sprężynowcem. Przy Kaczorowskim nie znaleziono pistoletu, chociaż według opisów poprzednich napadów obaj przestępcy mieli broń palną.

– Tomcio Paluch mógł wyrzucić pistolet w czasie ucieczki w lesie.

– Poszukamy – zgodził się Chrzanowski – nie rozumiem jednak, dlaczego wyrzucił pistolet, a zostawił czarną pończochę i nóż sprężynowy.

– Widocznie nie zdążył pozbyć się reszty kompromitujących dowodów. Broń była najgroźniejsza, więc wyrzucił ją najpierw. Później został złapany.



– To mogło być tak, jak to pan porucznik przedstawia, ale mam jeszcze jeden zasadniczy argument przemawiający za moją tezę.

– Jaki?

– Te cztery czy też pięć tysięcy w kasie i codzienne odwożenie utargu sklepu do PKO w Ciechanowie. Człowiek z blizną posiadał nawet sekrety tego gmachu, a nie wiedziałby o tym, co na pewno nie jest tajemnicą dla żadnego z mieszkańców Kicina, a także dla bardzo wielu ludzi z Ciechanowa? Zorganizowanie napadu dla zagarnięcia stosunkowo niewielkiej kwoty nie pasuje do naszych bandytów. A poza tym jest zima.

– Ułożyście sobie, sierżancie, pewien stereotyp i odrzucacie wszystko, co z nim się nie zgadza. To niebezpieczna metoda.

– Pozwoli porucznik, że tymczasem obejrzę ten motocykl porzucony przez bandytów? Zbadam ogumienie. Zdaje mi się, że przed paru dniami do naszej komendy wpłynął jakiś meldunek o kradzieży motoru, właśnie z Działdowa. Sprawdzę to. Odszukam telefonogram i porównam numery.

– Idźcie, Chrzanowski, a przy okazji powiedzcie w areszcie, żeby doprowadzili mi stamtąd Kaczorowskiego.

Kiedy dyżurny milicjant wprowadził małego, oficer wskazał mu krzesło.

– Siadajcie, Kaczorowski, chciałbym z wami pogadać.

– Ja tam nic nie wiem. Jestem niewinny.

– Naturalnie – zgodził się porucznik – jeszcze żaden winny w ogóle nie był w tym gmachu. Tacy z nas niedobrzy ludzie, że tylko

do niewinnych się przyczepiamy.

- Pobili mnie w Ojrzeniu. Strzelali jak do psa.
- A wy, Paluch, tak dla zaczerpnięcia świeżego powietrza biegaliście po lesie. Prawda?
- Myślałem, że jacyś bandyci mnie gonią, to i uciekałem.
- Biedaczek. A powiedzcie, co robiliście w Kicinie?
- Pojechałem tam do znajomych.
- Do jakich? Może do Curusia?
- Nie znam takiego.
- No to do kogo? Zawsze, Paluch, jesteście tacy rozmowni, a dzisiaj trzeba was ciągnąć za język.
- Do jednej dziewczyny.
- Jej nazwisko?
- Nie mogę powiedzieć. To męzatka. Mąż by ją zabił, gdyby się dowiedział.
- No proszę – uśmiechnął się oficer – nie wiedziałem, że z was, Kaczorowski, taki dżentelmen. Sam woli siedzieć z dziesięć lat, a kto wie czy i nie pohuścić się trochę na sznurze, ale nazwiska ukochanej nie zdradzi. Brawo!
- Pan porucznik mnie nie zastraszy.
- A tę pończochę wzięliście ze sobą po to, żeby z tą męzatką grać w ciuciubabkę?
- Nie miałem żadnej pończochy.
- Przecież znaleźli przy was.

– To na pewno podłożył mi ten milicjant, który później mnie pobił. Ten czarny.

– Tak mu się nie podobałeś?

– Bo on też uderzał do tej w Kicinie.

– Weszło się z wami rozmawia, Paluch. Co mi jeszcze powiecie?

– Wszystko już wyjaśniłem. Teraz chyba pan mnie zwolni?

Do pokoju powrócił starszy sierżant Chrzanowski i usiadł nieco z boku, nie wtrącając się na razie do przesłuchania.

– Nie spiesz się, Paluch. Zawsze kiedyś was zwolnią. Może nawet i w lutym, ale nie w tym roku. Porozmawiajmy lepiej o napadzie na Curusia.

– Nie wiem nic o żadnym napadzie.

– Słuchajcie, Kaczorowski, dwudziesty piąty rok włazi wam na kark, a mówicie jak dziecko. O daktyloskopii, czyli o odciskach palców nigdy nie słyszeliście?

Tomcio Paluch milczał.

– Wiem, wiem – ciągnął dalej porucznik – byliście obaj w rękawiczkach. Wy, Paluch, w wełnianych, a ten wasz kumpel w jasnych, skórzanych. Ale obaj zrobiliście dziecinny błąd. Wasz kumpel zdjął rękawiczki, żeby mu się nie pobrudziły, kiedy czarnym od sady pogrzebaczem ukręcał kłódkę u kasetki z pieniędzmi. A wyście także ściągnęły rękawiczkę do picia wódki, bo wam o mało co półlitrowka nie wysliznęła się z ręki i nie rozbiła. Nic dziwnego. W wełnianej rękawiczkę niewygodnie pić. W ten sposób paluszki zostały na szkle. A tego drugiego na pogrzebacz.

Zygmunt Kaczorowski słuchał oficera z dużą uwagą. Na jego twarzy widać było wysiłek, aby przypomnieć sobie szczegóły minionego dnia; wreszcie roześmiał się i powiedział zadowolony:

– A nieprawda!  
– Co nieprawda? Tak było, Paluch.  
– Nieprawda. Nie zdejmowałem rękawiczek. Milicja łże jak zawsze.

– Zdejmowałeś, zdejmowałeś, kochasiu.  
– Nie zdejmowałem. Na butelce nie ma żadnych śladów.  
– Dobrze – zgodził się porucznik. – Możemy w protokole zapisać „na pytanie przesłuchującego, podejrzany Zygmunt Kaczorowski wyjaśnił, że przy picciu wódki rękawiczki nie zdejmował”. W porządku?

– W porządku – przytaknął Tomcio Paluch i w tej samej chwili spostrzegł, że wpadł w pułapkę zastawioną przez oficera milicji. – Ja tam wcale nie byłem.

– Gdzie nie byliście? – Lewandowski udawał naiwnego.  
– Nie byłem w sklepie, kiedy Curusiowi zabrano forszę.  
– Skąd wiesz, że Curusiowi zabrano pieniądze i to właśnie w sklepie? Przecież przed chwilą powiedziałeś, że nie słyszałeś nic o żadnym napadzie.

Bandyta, widząc, że się ostatecznie zaplątał, milczał. Dopiero po pewnym czasie wykrztusił:

– Odmawiam zeznań. Żądam widzenia z prokuratorem.

– Zobaczysz go, zobaczysz. Odmawiać zeznań też ci wolno. Ale zastanówcie się, Kaczorowski, co tym zwojujecie? Kto uwierzy w wasze bajeczki. Złapaliśmy was w czasie ucieczki. Nawet motocykl porzuciliście na drodze.

– To nie mój motor.

– Racja. Nie wasz – wtrącił starszy sierżant – bo skradziony w Działdowie w ubiegły wtorek Adamowi Tomaszewskiemu.

– Ja nie kradłem.

Sierżant dał znać porucznikowi, że i on chce zadać pytanie przesłuchiwanemu. Lewandowski kiwnął głową na znak zgody. Chrzastowski wyjął z szuflady kilka fotografii i położył je przed Zygmuntem Kaczorowskim.

– Obejrzyjcie sobie te zdjęcia.

Tomcio Paluch wziął do ręki podane mu fotografie i uważnie im się przyjrzał.

– Poznajecie?

– Kto to?

– Zabita Antonina Michalakowa, kierowniczka sklepu w Grabienicach Małych. Przyjrzyjcie się uważnie. Wasza robota. Wszystko jedno, kto strzelał. Dla sądu to nie ma znaczenia. Razem wybraliście się na rozbój i każdy z was będzie odpowiadał za zabójstwo. To już nie żarty, jakie stroiliście sobie z Curusia, każąc mu wypić duszkiem pół litra wódki, lecz morderstwo. Wiecie, jak się za to w sądzie płaci?

– To nie ja – Kaczorowski zbladł.

– Nie wy? Dobrze, przeczytam wam zeznanie pewnej dziewczynki, która widziała was, kiedy czatowaliście przed sklepem i zaglądaliście oknem. „Jeden był duży, a drugi mały... cały czarny... czarny na twarzy...”. A ten wyższy, miał według zeznania świadków szramę na czole.

– Prokurator – uzupełnił Lewandowski – postawi wam na rozprawie kilkudziesięciu świadków, którzy widzieli dwóch bandytów. Jeden wysoki ze szramą na czole, drugi niski z czarną pończochą kryjącą całą głowę. Trzydzieści kilka napadów. Przeszło milion złotych zrabowanych pieniędzy państwowych i osób prywatnych oraz zabójstwo Antoniny Michalakowej.

– Pan chce mnie do tego przypuconować?!

– Nikt nie chce ciebie przypuconować – wpadł mu w słowa sierżant – ty sam się w to pakujesz.

– Psiakrew! – zaklął Tomcio Paluch. Dopiero teraz zaczął zdawać sobie sprawę ze swojego położenia.

– Gdybyście, Kaczorowski, powiedzieli nam prawdę, bez tych bajeczek o mężatce w Kicinie i wymienili waszego współnika, to byłaby okoliczność łagodząca. A tak – będziecie odpowiadali za wszystko.

– Pan porucznik chce, żebym sypał? To nie ze mną.

– Chcesz, milcz. Sami go znajdziemy. Choćby po tych odciskach na pogrzebaczu. Nie będziesz przecież opowiadał, że twój kumpel naciągał po to nowe rękawiczki, żeby usmolić je żelazem. A on już cię wsypał. Zrobił ciebie w konia, każąc ci nosić czarną

pończochę, żebyś wyglądał jak ten bandyta, który zastrzelił Michalą-kową. Chyba że to ty ją zabiłeś.

– Nie, nie! – Tomcio Paluch był coraz bardziej przerażony.

– No to jak, Kaczorowski? – zapytał porucznik, biorąc długopis do ręki. – Pisać ci zarzut o morderstwo?

Przestępca spuścił głowę. Chwilę milczał.

– To ja powiem, jak było... Kiedy miałem tę odsiadkę pół roku, pan porucznik wie, za co? Co to tego staruszka potrąciliśmy przed dworcem autobusowym...

– Aha – przypomniał sobie porucznik – tego Balacha. Złamanie trzech żeber i rany twarzy zadane butami. Zrabowany zegarek marki „Delbana”...

– Właśnie. Ale to nie ja, tylko Wiktor. Ja stałem z boku. Dlatego sąd dał mi sześć miesięcy, a jemu cztery lata. Ja tego starego chciałem ratować i po to nad nim się nachyliłem, ale pan sędzia nie uwierzył. Więc wypadła mi ta odsiadka w Elku. Tam jest taki więzienie nad jeziorem. Nazywają go „pensjonat Orbisu”. Nawet dobry więzień. Gdyby co teraz, to pan porucznik może by po starej znajomości załatwił mi znowu ten „Orbis”?...

– Mówcie lepiej o napadzie.

– Właśnie mówię. W tym Elku jeden odsiadywał pięć lat. Byliśmy razem pod całą. Gadało się o różnych rzeczach. To ja mu opowiedziałem, że u nas w Ciechanowskim są takie dwa knajaki, które prują kogo się da, sklepy, księży, pocztę, a milicja tylko lata

z wywieszonym ozorem i nawet ich w... pocałować nie potrafi.

– Słuchajcie no, Kaczorowski... – głos porucznika przybrał groźne akcenty.

– Tak się tam językiem pytowało. Temu Malinoszczakowi też się wyrok kończył i powiada kiedyś do mnie: „Jak wyjdę na wolność, przyjadę do Ciechanowa. Tam frajerstwo na pewno jest tak wystraszone przez tych dwóch, że można się za nich podstawić. Wystarczy byle większy klucz pokazać, a forszę dadzą”. Takie się różne gadki odstawiało, potem mnie się wyrok skończył i wróciłem, a Malinoszczak jeszcze został.

– Kiedy was wypuścili?

– Równo 25 listopada. Można sprawdzić, bo po przyjeździe meldowałem się i powiestkę oddałem.

– Co dalej?

– Jakoś w początkach lutego przyjechał do mnie Malinoszczak. Dobrześmy sobie popili i on wraca do tego, co mu opowiadałem. „Robimy skok na sklep?”. Nie chciałem. Pan porucznik wie, że ja jestem spokojny i nigdy nic złego nikomu nie zrobiłem.

– Wiem, wiem – poświadczył Lewandowski – cztery wyroki za chuligaństwo, a ile razy w kolegium, trudno mi zliczyć.

– To tylko tak się złożyło. No i ten Malinoszczak powiada: „Łamiesz się. Strach cię obleciał”. Co było robić? Honorowy człowiek ze mnie. Zgodziłem się. Uradziliśmy, że najlepiej będzie zrobić Kicin, bo tam sklep znajduje się z boku wsi, a kierownik mieszka



przez drogę. Motor skombinował Malinoszczak, nie wiem, skąd go wziął. Tłumaczył, że maszynę po robocie podrzuci na szosę, bo trefna.

– A pistolety skąd wzięliście?

– Jakie tam pistolety? – szczerze zdziwił się Kaczorowski. – Ja nie miałem w ręku nic. Nóż wyjąłem dopiero w sklepie, kiedy Curuś nie chciał pić gołdy i trzeba mu było trochę mojra dodać. A Malinoszczak miał w rękach małą, czarną rurkę. Znalazł ją w torbie z narzędziami, jaka była przy motorze. Ale i ta rura nie była potrzebna. Jak nas Curuś zobaczył, od razu grzecznie podniósł rączki do góry. Aż mu się portki trzęsły ze strachu. Kluczem nie mógł trafić w zamek. Musiałem mu pomagać przy otwieraniu sklepu.

– Ten Malinoszczak ma bliznę na czole?

– Skądże.

– Blondyn?

– Czarny jak Cygan. Tak go nawet w kiciu nazywali.

– A co miał na twarzy?

– Drugą pończochę. Ale nie włożył jej na głowę, ale okręcił tak, żeby zakrywała brodę, usta i nos, i zapiął ją na agrafkę.

– A dlaczego jej nie włożył tak jak wy?

– Chodziło o to, żeby się upodobnić do tamtych dwóch. Żeby się frajerzy bali. Przecież gdyby taki Curuś krzyknął, z miejsca byłaby z nami krewa. W tym Kicinie chłopcy zajadłe. Rozerwaliby nas albo orczykami zrobili mokrą plamę na śniegu...

Potem długo jeszcze Kaczorowski odpowiadał na rozmaite pytania, zadawane mu zarówno przez starszego sierżanta, jak i przez porucznika. Tomcio Paluch wyjaśniał szczegóły napadu, ale zasadniczej wersji swojej historii nie zmienił ani na jotę. Kiedy podejrzanego odprowadzono do celi, Chrzanowski poinformował porucznika:

– Badałem ogumienie motocykla. Nie ulega wątpliwości, że to nie ten, którym uciekł facet polujący na mnie.

Przeprowadzone badania pogrzebacza wykazały, że znajdują się na nim odciski ręki Wacława Malinowskiego, zwolnionego przed 10 dniami z więzienia w Ełku.

Milicja warszawska ujęła Malinowskiego w ciągu zaledwie trzech dni. Zrabowane pieniądze zdążył już naturalnie przepić. Do zorganizowania napadu Malinowski przyznał się na pierwszym przesłuchaniu. Motocykl zwrócono właścicielowi.

– A jednak jestem zadowolony – stwierdził starszy sierżant, kiedy po kilku dniach obaj funkcjonariusze milicji zamykali dochodzenie i przekazywali sprawę prokuratorowi – że ten Malinowski nie jest naszym człowiekiem z blizną.

– Rzeczywiście, ma niepodważalne alibi. Podczas wszystkich napadów siedział w więzieniu. A chociaż zakład karny w Ełku nazywają pensjonatem Orbisu, jednak nawet tam nie ma zwyczaju wypuszczania więźniów „na przepustkę”, na robotę. A cieszycie się, sierżancie, że wasza metoda dedukcji została na razie uratowana?

– Nie. Mniej chodzi mi o moją metodę, jak o to, że włożyliśmy w tę cholerną sprawę tyle pracy i już jesteśmy o krok od jej rozwiązania, a tu nagle nie nasz wysiłek, lecz zwykły przypadek daje rozwiązanie. To mnie najbardziej złościło.

– Nie widzę – przyznał szczerze Lewandowski – żebyśmy byli, jak to określacie, „o krok od rozwiązania”.

– Najdalej za tydzień aresztujemy przestępców.

– Dzisiaj nie pierwszy kwietnia, sierżancie...

– Wiem o tym.

– Macie jakąś tajemnicę, którą ukrywacie przede mną?

– Nie. Co prawda dowiedziałem się czegoś, co zresztą powinienem sam wydedukować z akt sprawy. Niestety, zabrakło mi do tego wykształcenia, żeby ze znanych dobrze faktów wyprowadzić odpowiednie wnioski. Ale za to teraz już wiem, na czym polegały nasze błędy.

– Wiecie, kim są przestępcy?!

– Jeszcze nie, ale domyślam się, gdzie ich szukać. Muszę przeprowadzić pewne doświadczenie i jutro naradzimy się, co dalej robić.

Słowa sierżanta bardzo zaintrygowały porucznika, ale mimo jego nalegań Chrzanowski nie chciał powiedzieć nic więcej. Jedyne uparcie twierdził, że najdalej w ciągu tygodnia sprawa będzie zakończona, a mordercy Antoniny Michalakowej znajdą się pod kluczem.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### *Kapitan Żwirski wkracza do akcji*

Następnego dnia starszy sierżant Chrzanowski zjawił się w Ciechanowie znacznie później niż zwykle. Porucznik Andrzej Lewandowski już zaczynał się denerwować. Pamiętał przecież, że sierżant zapowiadał na dzisiaj jakieś rewelacje. Obawiał się więc, że sierżantowi przytrafiła się znowu jakaś przygoda lub, co gorsza, człowiek z blizną podjął jakąś akcję dla usunięcia podoficera z grona żyjących.

Wreszcie, dobrze już po 9.00, Chrzanowski wszedł do pokoju w pełnym rynsztunku. Sierżant miał na sobie kożuszek i motocyklowy hełm na głowie. Czyżby tak się spieszył, że nie zostawił wierzchniego okrycia na dole?

Ale zdumienie porucznika wzrosło jeszcze bardziej, kiedy sierżant rozebrał się i wyswobodził głowę z hełmu. Na czole Chrzanowskiego, nad lewym okiem, aż do linii włosów, ciągnęła się czerwona, trójkątna blizna. Taka sama, jaką tyle razy opisywali w aktach sprawy świadkowie napadów rabunkowych. A ponadto zamiast swych ciemnych włosów miał jasnoblonde fryzurę.

– Co wy... Co z wami... – jękał się Lewandowski. – Ten znak na czole? Włosy?

– Blizna? Głupstwo. – Chrzanowski był bardzo zadowolony z efektu, który wywołał. – Maluje się ją „wiśniówką” i collodium. A usuwa się w ciągu minuty watką zmoczoną w acetonie. Perukę zdejmuje się jednym ruchem ręki.

– Maluje się? – powtórzył zdumiony oficer.

– Tak. Z faktu, że bezskutecznie szukamy po całej Polsce człowieka z taką blizną, już dawno powinienem wydedukować, że to jest tylko maska bandyty, używana dla lepszego zakonspirowania się. Niestety, o metodach charakteryzacji twarzy nie miałem zielonego pojęcia. Nigdy nikt mnie tego nie nauczył. Dopiero w Warszawie znany aktor, pan Henryk Letyński, udzielił mi nie tylko pogładowej lekcji, ale nawet zaopatrzył w niezbędne w tym celu przybory. Nawiasem mówiąc, tę perukę muszę mu jak najszybciej zwrócić. Obiecałem w ciągu dwóch dni, ale z tym Malinoszczakiem zeszło nam przeszło tydzień. Mam nadzieję, że pan profesor nie będzie się jednak bardzo gniewał.

– Maluje się bliznę na czole! – porucznik zaczynał wszystko rozumieć. – To znaczy, że człowiek z blizną w ogóle nie istnieje. Jedyne używa zręcznej charakteryzacji. Bandytą może być każdy wysoki mężczyzna.

– Może – potwierdził sierżant – pod warunkiem, że doskonale wie o wszystkim, co się dzieje w Ciechanowie i w powiecie oraz ma swobodny dostęp do gmachu milicji. A poza tym ma własny lub rozporządza motocyklem marki SHL o ogumieniu, którego odlew spoczywa w naszej stalowej kasie.

– Poczekajcie chwilę, sierżancie. Tylko nie zmywajcie tego z czoła i nie zdejmujcie peruki. Zaraz wrócę – porucznik wybiegł z pokoju.

Powrócił w towarzystwie kapitana Wojciecha Żwirskiego.

– Kapitanie, niech pan spojrzy!

– Co? – zdumiał się Żwirski. – Człowiek z blizną?!

– A teraz?

Chrzanowski jednym ruchem ręki ściągnął z głowy perukę. Wyjął z kieszeni flaszeczkę z acetonem, nawilżył watkę i przejechał nią po czole. Blizna zniknęła.

– Rozumiem! – przytaknął Żwirski. – Jak to się robi?

– Trochę specyfiku zwanego collodium. Mając znajomości, kupi się go w każdej aptece. Poza tym szminka sceniczna, zwana „wiśniówką”.

– Collodium? – powtórzył Żwirski. – Widocznie ta nazwa nie była mu obca.

– Tak, collodium. Kiedy ten płyn zasycha na czole, tworzy przezroczystą warstwę, jakby szkliwo, i marszczy skórę, podobnie jak to się dzieje przy prawdziwej bliźnie – sierżant, dumny z siebie, pouczał oficerów milicji.

– Collodium – przypominał sobie kapitan i nagle zbladł. – Potworne – powiedział raczej do siebie niż do obecnych w pokoju.

Lewandowski milczał.

– Obawiam się, że wiem, kim jest bandyta...

– Ja się także obawiam, panie kapitanie...

– Sam mu to collodium kupowałem – szepnął Żwirski – przyjaciel, oficer milicji... Człowiek, któremu ufałem bardziej niż sobie samemu. Rozmawiałem z nim, pokazywałem akta. Radziłem się go...

Żwirski był po prostu zdruzgotany tym, co stało się dla niego pewnikiem.

– Panowie – w głosie kapitana zabrzmiały twarde akcenty. Oficer milicji opanował się najwyższym wysiłkiem. – Daję słowo honoru, że nie odbiorę wam zasługi rozwiązania sprawy i wykrycia bandyty. Ale pozwólcie mi to z nim załatwić. Był moim fałszywym przyjacielem. Prowadziłem śledztwo, przyznaję się, że nawet w pewnym momencie sam mu powiedziałem, że gdyby nie brak blizny, byłby głównym podejrzanym. Obaj wtedy serdecznie się uśmieliśmy. Teraz widzę, że on śmiał się z mojej głupoty. Zostawcie mi go.

– O to samo chciałem prosić pana kapitana.

– On będzie w Ciechanowie pojutrze. Obiecał, że prosto ze stacji wstąpi do mnie do komendy. Umówiliśmy się, że razem z naszymi paniami zjemy obiad w konsumie. Przyprowadzę go do was i sam mu wszystko powiem.

– Dobrze – zgodził się porucznik. – Przez te dwa dni na pewno nam nie ucieknie.

– Sądzę, że wasze spostrzeżenie trzymaliście w tajemnicy?

– Oczywiście, kapitanie – zapewnił porucznik – tylko jest jedna sprawa...

– Jaka?

– Bandyta już raz usiłował dokonać zamachu na życie sierżanta. Zorganizował pułapkę na drodze. Po prostu rozciągnął w poprzek drogi stalową linkę, a sam czekał z pistoletem, ukryty za drzewem. Na szczęście tylko zranił Chrzanowskiego w rękę. Żeby przestępca nie chciał powtórzyć swojej akcji! Tym bardziej że nie ma nic do stracenia...

– Nawet nie mogę o tym myśleć.

– Może się porucznik nie obawiać – uspokajał sierżant – pilnuję się teraz. Drugi raz mnie nie zaskoczy.

– Niech sierżant jutro nie przyjeżdża do Ciechanowa. A pojutrze jedzie w dzień i nie sam. Gdyby w tym czasie przestępca pokazał się w Dąbrowie Zakościelnej, od razu rozbroić i zamknąć w areszcie. Na moją odpowiedzialność. Jeżeli chcecie, dam wam rozkaz na piśmie.

– To niepotrzebne. Sądzę, że do tego nie dojdzie. Moim zdaniem obaj panowie mylicie się. Był czas, kiedy i ja go podejrzewałem, ale teraz widzę przestępcę zupełnie gdzie indziej.

– O żadnej pomyłce nie może być mowy – twardo powtórzył kapitan Żwirski. – Ja sam kupowałem mu to collodium. Tłumaczył, że ma uczulenie na jodynę i musi używać innego antyseptyku.

Minęły dwa dni. Dochodziła czwarta po południu, kiedy drzwi do pokoju Lewandowskiego otworzyły się i weszli dwaj oficerowie. Kapitan Wieniecki był jak zwykle w cywilnym ubraniu. Żwirski tego dnia włożył mundur. Oficer komendy głównej był nieco zdziwiony



prośbą przyjaciela o wstąpienie do porucznika, ale nie miał powodu odmówić.

– Proszę, niech pan siada, kapitanie Wieniecki – Żwirski powiedział te słowa bardzo oficjalnie.

Kapitan spojrzał na przyjaciela jak na wariata. Odkąd to przeszli na „panie kapitanie”? Stał, niczego nie rozumiejąc.

– Proszę, niech pan siada, kapitanie – powtórzył z naciskiem Żwirski.

Wieniecki usiadł.

– Rozumiem – powiedział. – Porucznik Lewandowski wraca do tej historii sprzed miesiąca. Czy znowu będziecie myli mi czoło w poszukiwaniu blizny?

– Nie ma potrzeby, panie kapitanie – dialog toczył się między oficerami o równych szarżach – takie blizny rysuje się na czole za pomocą collodium i kawałka szminki, a ściera watką z acetonem. Włożenie na głowę peruki również nie przedstawia najmniejszej trudności.

– Zwariowałeś!

– Pozwolę sobie przypomnieć panu kapitanowi, kogo pan prosił jeszcze niedawno o kupienie mu collodium.

Chrzanowski, który uczestniczył w tej scenie jako milczący świadek, zauważył, że twarz Wienieckiego blednie, a ręce zaczynają mu lekko drżeć.

– To nonsens! Prosiłem, żebyś mi kupił collodium, bo nie znoszę jodyny. Mam na nią uczulenie od chwili wypadku motocyklowego.

– Sądzę, kapitanie, że prokurator względnie oficer dochodzeniowy Komendy Głównej MO sprawdzi i tę okoliczność.

– Ależ panowie, co wy?! – w głosie Wienieckiego narastał niepokój.

– Czy pan kapitan może nam przedstawić jakieś wiarygodne alibi? Choćby tylko w jednym przypadku. Na przykład w dniu zamachu na sierżanta Chrzanowskiego?

– Zamachu na sierżanta?!!

– Tak, zamachu. Sierżant Chrzanowski został wtedy lekko ranny w rękę. A pan kapitan tego dnia umówił się ze mną o piątej, ale przyszedł dopiero po szóstej i był dziwnie zdenerwowany.

– Przepraszałem cię wtedy i tłumaczyłem, że pokłóciłem się z Baską.

– Z Baską? Z człowiekiem w czarnej pończosze? Rzeczywiście, wspaniały świadek. Ma nawet motocykl, na którym tak często jeździsz.

– Co za brednie!

– Takie same brednie jak to, że panna Barbara pracuje w cukrowni w Ciechanowie i doskonale wie, który rolnik ile i kiedy inkasuje za buraki cukrowe. A jej szwagier, naczelnik poczty, także orientuje się, kiedy i do której wsi idą grubsze przekazy pocztowe. Zaś siostra panny Barbary zna tajemnice klientów PKO podnoszących większą gotówkę. Bardzo dziwne, ksiądz proboszcz w południe podniósł z PKO kilkadziesiąt tysięcy, a już wieczorem miał wizytę człowieka z bliźną. Pana kapitana Wienieckiego widziano wtedy

po południu w Ciechanowie. A potem jechał motocyklem ze swoją najdroższą.

- To tylko zbieg okoliczności.
- Bardzo dużo jest tych zbiegów okoliczności – zimno powiedział Żwirski.
- Nic na to nie poradzę...
- Przyznaje się kapitan do winy?
- Wojtek, ty chyba masz źle w głowie! Skończmy te żarty! Zaszły już trochę za daleko.
- Jedyne konie tych, jak pan kapitan mówi, żartów, to przedstawienie nam murowanego alibi. Choćby tylko alibi z tych dni, kiedy zdarzyły się dwa, trzy napady.
- Wyście poszaleli! – Wieniecki był coraz bardziej zdenerwowany. – Skąd ja wam wezmę na poczekaniu alibi i to sprzed kilku miesięcy lub nawet lat. Przecież nie prowadzę diariusza wydarzeń.
- Więc pan kapitan odmawia?
- Nie odmawiam. Ale nie jestem w stanie zrobić tego tutaj. Przecież nie znam nawet dokładnie dat napadów.
- Pójdziemy do majora. Komendant zadecyduje, co z kapitanem zrobić.
- Zmiłujcie się! Nie wywołujcie skandalu! Zostaw mi dwa, trzy dni, żebym mógł dowieść swojej niewinności.
- Udowodni ją kapitan oficerowi prowadzącemu śledztwo albo prokuratorowi.
- Proszę o trzy dni, ostatecznie o dwa.

- Nie. Idziemy do majora – kapitan Żwirski był nieubłagany.
- Myślę – wtrącił sierżant Chrzanowski – że byłoby dobrze dać panu kapitanowi ten termin, o który prosi. Jestem pewien, że kapitan Wieniecki nie będzie próbował ucieczki, nawet jeżeli jest winnym tego, co mu się zarzuca.

Żwirski pytająco spojrzął na Lewandowskiego, ale porucznik milczał.

- Taki trzydniowy termin – ciągnął dalej starszy sierżant – pozwoliby na uniknięcie niepotrzebnego rozgłosu w tej sprawie, jeśli w ogóle będzie można go uniknąć. Dlatego popieram prośbę kapitana Wienieckiego.

– Rozumiem – zgodził się Żwirski. – A więc dobrze... Trzy dni. Ale ani minuty dłużej.

– Dziękuję wam, sierżancie – kapitan Wieniecki zwrócił się do Chrzanowskiego.

– Proszę, kapitanie, nie próbować żadnych sztuczek. Takich, jak na przykład niedawny zamach na życie starszego sierżanta. Uprzedzam, że zdeponowałem w Komendzie Głównej MO i u majora, w zalakowanych kopertach, wszystkie zarzuty przeciwko kapitanowi. Gdyby choć jednemu z nas w tym czasie tylko włos spadł z głowy, koperty zostaną otworzone. Zabezpieczyłem się przed wszelkimi ewentualnościami.

Wieniecki podniósł się.

- Czy mogę już wyjść? – zapytał sucho.
- Proszę – kapitan Żwirski otworzył drzwi.

– Miał pan rację – powiedział później do sierżanta – z tymi trzema dniami. W ten sposób rzeczywiście uniknie się skandalu. Mam nadzieję, że nie zabraknie mu odwagi, żeby wpakować sobie kulę w łeb.

– Nie – zaprzeczył sierżant – nie odbierze sobie życia. Po prostu dlatego, że jest niewinny. Przyznaję, że to ja właśnie byłem tym człowiekiem, który podsunął swego czasu myśl porucznikowi Lewandowskiemu, że kapitan Wieniecki może być poszukiwanym przez nas bandytą. Teraz jestem jednak pewien, że wówczas się myliłem. Nie mam na to wprawdzie dowodów, ale sądzę, że stosunkowo łatwo je otrzymamy.

– W jaki sposób?

– Alibi kapitana Wienieckiego może być trudne do ustalenia, ale z alibi narzeczonej nie powinno być żadnych kłopotów. Oficer milicji, i to z komendy głównej, zawsze może wyskoczyć z biura pod jakimkolwiek pozorem. Co innego zwykła urzędniczka z cukrowni. Wiemy, kiedy i których napadów dokonano w ciągu dnia, do południa lub wczesnym popołudniem. Żeby w nich uczestniczyć, pracowniczka cukrowni musiałaby wcześniej wyjść z biura. Przez portiernię nie można wyjść bez przepustki albo odbicia karty zegarowej. Poza tym takie zwalnianie się z pracy nie ujdzie uwagi kolegów i koleżanek, którzy na pewno zapamiętali tego rodzaju fakty.

– Są jeszcze odlewy opony motocykla. Muszę to zaraz sprawdzić – przypomniał sobie Lewandowski.

– Nie trzeba – sierżant powstrzymał porucznika – nie zgadzają się. To nawet nie jest SHL. Sprawdziłem to, kiedy pan kapitan Żwirski

powiedział nam, że kupował collodium dla Wienieckiego. Wydawało mi się, że lepiej taki dowód mieć w ręku przed decydującą rozmową. Chociaż, przyznaję, już wtedy nie podejrzewałem oficera z komendy głównej. Po prostu, kiedy zestawilem fakty, jego osoba przestała mi pasować do sprawy.

– Bardzo bym się cieszył, gdyby tak było – kapitan Żwirski powiedział te słowa bez przekonania. – Obawiam się jednak, że Wieniecki jest jedyną osobą, do której pasują wszystkie poszlaki.

– Tylko pozornie. Rzeczywiście, za pośrednictwem swojej dziewczyny kapitan mógł się dowiedzieć o różnych operacjach finansowych poczty, banku, PKO i cukrowni. Ale zbieranie wiadomości z tych wszystkich źródeł przy posługiwaniu się najbliższą rodziną musiałoby wzbudzić podejrzenie tej rodziny. Przecież napadów było ponad trzydzieści. A wniosek, że cała rodzina narzeczonej kapitana należy do bandyckiego gangu byłby, tak na zdrowy rozum, zbyt daleko posunięty. Poza tym łupy mieli na miejscu. Mogli zorganizować kradzież na poczcie lub upozorować włamanie do kasy banku. Taki jeden skok dałby im więcej niż suma zebrana przez bandytów przez dwa lata ich owocnej działalności. Czy naczelnikowi poczty sprawiłoby trudność zdobycie kluczy do kasy lub do drzwi wejściowych? Zna on także systemy alarmowe i mógłby łatwo znaleźć sposób na unieszkodliwienie wartownika. Na pewno są takie dni, kiedy w kasie pocztowej leży znacznie więcej niż milion złotych. Te same szanse w PKO. Ryzyko jednego napadu, i to ze współnikiem wewnątrz, jest zawsze mniejsze niż przy trzydziestu akcjach. Bandycci działali

przede wszystkim na terenie różnych wsi i mniej ryzykowali niż w mieście, gdzie więcej świadków, szybsza reakcja milicji, ale i tam nie mogli wykluczyć choćby przypadkowej wpadki.

– A jednak – upierał się kapitan Żwirski – Wieniecki musi mi dowieść swojej niewinności. Nie odstąpię od tego ani na jotę.

– Pan kapitan ma stuprocentową rację – zgodził się sierżant. – Mam nadzieję, że kapitan Wieniecki dokona tego bez trudności.

Chrzanowski nie omylił się. Okazało się, że dwa lata temu w sierpniu Wieniecki był na urlopie w Bułgarii razem ze swoją dziewczyną. W tym czasie człowiek z blizną dwukrotnie zagarniał pieniądze. Alibi kapitana KG MO było niepodważalne. Kapitan Żwirski ucieszył się tą wiadomością, chociaż musiał zdawać sobie sprawę, że stracił przyjaciela, jeżeli nie na zawsze, to w każdym razie na długo.

– Z waszego zachowania wobec kapitana Wienieckiego – zauważył Lewandowski, kiedy tę przykrą sprawę definitywnie wyjaśniono – odnoszę wrażenie, sierżancie, że doskonale wiecie, kim jest człowiek z blizną i jego współnik.

– Wspólniczka – poprawił sierżant.

– Słusznie – przyznał porucznik – ale wiecie, kim oni są?

– Wiem – potwierdził sierżant – wydedukowałem to bezbłędnie z akt sprawy. Muszę mieć jednak dowody, które by to potwierdziły.

A te dowody mogę zebrać tylko przy pomocy pana porucznika. Czy pan mi pomoże?

– Oczywiście. Nawet nie wiem, czego ode mnie żądacie, ale zrobię wszystko, co będę mógł – zapewniał młody oficer.

– Muszę prosić pana porucznika o pomoc przy dwóch czynnościach. Obydwu może niezbyt formalnych, jeżeli chodzi o przepisy prawa. Ale nie widzę innych możliwości zdobycia dowodów winy tych osób, które podejrzewam. A dowody te wystarczą prokuratorowi do podpisania nakazu aresztowania bandytów.

– Zgadzam się w ciemno, byleby wreszcie mieć ich pod kluczem. Co wymyśliliście, sierżancie?

– Niech pan posłucha, poruczniku – sierżant odruchowo zniżył głos – musimy dzisiejszej lub jutrzejszej nocy dokonać małego włamania. A poza tym trzeba nieformalnie, poza protokołem, przesłuchać pewną panią i wydusić z niej prawdę. Mnie na pewno nic nie powie, wątpię nawet, czy przyznałaby się panu majorowi. Ale liczę, że pan porucznik da sobie z nią radę i ta pani będzie miała do niego tyle zaufania, że przyzna się do pewnego, drobnego zresztą, niedociągnięcia w pracy.

– O kim mówicie? Do kogo mamy się włamać? – porucznik był bardziej zaintrygowany niż zaskoczony propozycjami starszego sierżanta, którego nigdy przedtem nie posądzałby o postępowanie wbrew jakimkolwiek przepisom.

Ale, okazało się, że sierżant miał swoje racje, aby tak właśnie rozegrać ostatnią rundę z bandytami.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### *Człowiek bez blizny*

Noc była ciemna. Dwie postacie skradały się w stronę płotu, oddzielającego zabudowania mieszkalne od podmokłej łąki, schodzącej aż do brzegu Łodyni.

– Tam jest zły pies – szepnął porucznik Lewandowski. On to był jednym z włamywaczy.

– Wiem. Już od dwóch tygodni przynoszę bydlakowi to kielbasę, to inne przysmaki. Kupiłem mu nawet piaskową babkę. Temu nie oprze się najbardziej zły pies. Mam nadzieję, że zawarliśmy przyjaźń. Zresztą i teraz niosę dla niego różne smakowitości.

– Widzę, Chrzanowski, że moglibyście być dobrym włamywaczem.

– Jak trzeba, to trzeba. A w tym płocie – chwalił się sierżant – oderwałem od spodu dwie deski. Można je rozsunąć.

Zbliżyli się do płotu i chwilę nasłuchiwali. Zupełnie blisko rozległo się gniewne warknięcie.

– Na noc spuszczonego z łańcucha – stwierdził porucznik, którego perspektywa bliskiego kontaktu z wielkim czarnym owczarkiem alzackim wcale nie zachwycała. – Żeby tylko nie narobił alarmu.

Sierżant cicho zagwizdał, a potem zawołał półgłosem odsuwając deskę:

– Nero, Nero...

Pies jeszcze raz szczeknął i, poznając przyjaciela, zamilkł. Wielki łeb zwierzęcia wysunął się przez szparę.

– Dobry piesek, dobry – sierżant podsunął psu solidny kawał kielbasy.

Psisko połknęło przysmak jednym kłapnięciem potężnych, białych zębów.

– Masz tu kosteczkę – sierżant podał owczarkowi ogromny obrośnięty mięsem gnat.

Ubiegłego dnia pani Chrzanowska na polecenie męża ugotowała rosół na rurze wołowej, której podoficer nie pozwolił nikomu ruszyć. Nawet ulubieniec dzieci, Azor, musiał zadowolić się innymi resztkami z obiadu.

Nero uważnie obwąchał kość, jak gdyby sprawdzał, czy nie ma jakiegoś podstępu, potem chwycił ją w pysk i, machając ogonem, pobiegł do swojej budy. Od tej chwili przestał interesować się tym, co dzieje się na podwórku.

Włamywacze przeleźli przez dziurę w płocie i skierowali się do długiego, wąskiego budynku z licznymi drzwiami. Każdy mieszkaniec tego domu miał swoją komórkę na podwórzu.

– To ta – wskazał sierżant.

Porucznik pochylił się nad kłódką.

– Duża, ale zwyczajna – szepnął – nie zapadkowa. Dam sobie chyba z nią radę.

Wyjął z kieszeni kilka stalowych prętów, podobnych na pierwszy rzut oka do kluczy od konserw. Delikatnymi ruchami ostrożnie manipulował jednym z wytrychów.

– Ten nie pasuje – mruknął.

Dopiero czwarty był dobry. Kłódka otworzyła się lekko. Sierżant uchylił drzwi i wpuścił w szparę snop światła elektrycznej latarki.

– Tak, to tutaj – rzekł, wsuwając się do komórki.

Porucznik poszedł za jego przykładem. Przymknęli drzwi.

– Tu jest światło – zauważył oficer – namacałem kontakt.

– Lepiej nie zapalać. Za duży blask. Latarka wystarczy. Na wszelki wypadek mam i kawałek świeczki.

– To ten? – zapytał Lewandowski. Światłem latarki namacał stojący w komórce dość już sfatygowany motocykl SHL, a obok drugi, węgierską panonię.

– Ten węgierski to właściciela domu – wyjaśnił sierżant. – Trzyma tutaj, bo swoją komórkę ma zapełnioną węglem.

Porucznik wyjął z kieszeni płaszcz duży kawał grubej bibuły specjalnie spreparowanej i zwilżonej pewnym płynem. Położył bibułę na ziemi i przejechał po niej tylnym kołem motocykla.

– Gotowe – stwierdził, podnosząc papier z odciskami bieżników. – Gaście latarkę, możemy zwiewać.

– Jeszcze chwileczkę – sierżant podszedł do motoru i oświetlił go. Specjalnie zainteresował się tabliczką z numerem na tylnym

ślizgu pojazdu. – Ciekawe... – mruknął. – Jakies dziwne zamocowanie...

Potem sierżant uważnie obejrzał kierownicę. Pokazał palcem na jedną z dźwigni.

– A co to takiego? – zapytał. – W mojej eshaelce tego nie ma – i nacisnął palcem.

– Patrzcie, patrzcie, sierżancie! – porucznik złapał swojego towarzysza za ramię. Drugą ręką pokazał na tabliczkę. Była cała czarna. Numer zniknął.

– Jak to się stało? – sierżant nie rozumiał cudu.

– Odwróciła się – wyjaśnił oficer.

Chrzeznowski znowu przełożył dźwignię. Tabliczka bez najmniejszego szmeru dokonała obrotu wokół swojej osi. Znowu na czarnym tle widać było białe cyfry. Podoficer jeszcze raz przełożył nikłowe ramię. Numery zniknęły.

– Spryciarz – powiedział z uznaniem – prosty, ale bardzo pomysłowy figiel. Wystarczy na odwrocie tabliczki napisać kredą lub białą farbą jakikolwiek numer i można tymi numerami manipulować nawet w czasie jazdy. Wyjechać na własnej rejestracji, a powrócić na fałszywej. Teraz rozumiem, dlaczego z każdego z dwóch ostatnich napadów nasz człowiek z blizną wracał na motorze o różnych numerach. A pod swój dom podjeżdżał zapewne z prawdziwym. No, ale wracajmy, bo Nero kończy chyba swój gnat.

– Mam błogą nadzieję, że jeszcze nie skończył.

Komórkę zamknięto na kłódkę i włamywacze wrócili tą samą drogą, jaką się tu dostali.

– Porucznik mnie wzywał – do pokoju zajrzała panna Elżbieta, sekretarka komendanta milicji.

– Proszę, niech pani wejdzie i usiądzie. Bo właściwie powinienem panią oficjalnie przesłuchać – wyjaśniał Lewandowski – ale między przyjaciółmi taka zabawa w formalności jest przecież niepotrzebna, prawda? Porozmawiamy sobie i wszystko pozostanie tajemnicą tych czterech ścian. Zwłaszcza że chodzi mi o zupełny drobiazg. Dlatego wpadło mi na myśl, żeby nasze spotkanie odbyło się właśnie wtedy, kiedy ani majora, ani jego zastępcy nie ma w budynku komendy.

– Pan mnie przestrasza – głos sekretarki nie zdradzał jednak żadnej obawy. – Jakaś sekretna sprawa?

Lewandowski wyciągnął z szuflady biurka teczkę i wyjął z niej arkusz ręcznie zapisany.

– Chodzi o to, panno Elu – rzekł, wpatrując się w papier – że do milicji wpłynęła skarga. Na szczęście trafiła ona bezpośrednio do mnie. Trzeba będzie temu jakoś po cichu łeb ukręcić.

– Skarga na mnie?

– Na panią, Elu. Skargę złożył jeden z miejscowych ogrodników. Pisze tutaj, że jego żona w dniu... – porucznik wymienił datę, dziwnym trafem zgadzała się ona z datą, kiedy to na poczcie w Ciechanowie nadano przekaz na sto złotych do pewnego rolnika w Sarnowej Górze, a nadawcą przekazu miał być rzekomo porucznik Andrzej Lewandowski – ...zauważyła trzech łobuzów, rzucających kamieniami w jej szyby inspektowe. Ta obywatelka zatelefonowała do

komendy milicji. Telefon przyjęła osoba, która przedstawiła się jako „sekretarka komendanta”. Ale interwencja nie odniosła żadnego skutku. Łobuzeria spokojnie tłukła szyby, żaden milicjant się nie zjawił. Ten ogrodnik żąda teraz ukarania winnych i wynagrodzenia mu strat.

Ela była zmieszana.

– Ja sobie zupełnie nie przypominam takiego telefonu. Przecież wszystkie meldunki natychmiast przekazuję oficerowi dyżurnemu do załatwienia albo od razu przełączam na jego aparat. To jakieś nieporozumienie...

– Ja też tak myślałem początkowo – podkreślił porucznik – ale dla porządku sprawdziłem księgę meldunków oficera dyżurnego, a ponadto rozmawiałem z kolegą, który tego dnia miał służbę. Niestety, nie dostał od pani tego rodzaju informacji. Obawiam się, że gdy major o tym się dowie, będzie wiele nieprzyjemności, a najwięcej ucierpi pani, Elu. Dochodzenie, dyscyplinarka...

– Ale ja naprawdę nic takiego nie dostałam! Może ta kobieta pomyliła się przy wykręcaniu numeru?

– Przesłuchiwałem ją. Twierdzi, że po uzyskaniu połączenia usłyszała wyraźnie „Komenda powiatowa milicji, sekretarka komendanta”.

– Ja nigdy tak nie mówię. Telefon przyjmuję krótko: „Sekretariat komendy MO”.

– Ponadto, Elu, to bardzo ważne. Niech pani sobie przypomni. Może pani wychodziła tego dnia do miasta i zostawiła kogoś innego pod telefonem. To się przecież zdarza i nie ma w tym nic złego.

Może siostra przysłała? Sam kilka razy widziałem, że siostra zastępowała panią. Przecież ona także pracuje w milicji.

Ela nagle zaczerwieniła się.

– Muszę się przyznać do pewnej historii – szepnęła.

– Proszę mi ją opowiedzieć. Pani wie, jak ją lubię. Chciałbym uchronić panią przed konsekwencjami, ale muszę znać prawdę. A jak mówiłem, rozmawiamy prywatnie, w cztery oczy.

– Widzi pan, przypominam sobie, wyszłam wtedy z sekretariatu. Ale najwyżej na piętnaście minut. Tyle, żeby skoczyć do apteki i z powrotem.

– Źle się pani czuła?

– Nie. Ale właśnie w aptece sprzedawali perhydrol.

– Perhydrol? Czym to się je?

– To woda utleniona. Potrzebna do rozjaśniania włosów – wyjaśniła dziewczyna.

– Pani? Elu, pani ma takie śliczne blond włosy, że wszystkie ciechanowskie dziewczyny zazdroszczą.

– Nie dla mnie, ale proszono mnie, żeby kupić litr. Apteka normalnie sprzedaje w małych buteleczkach. No, a ja... Pan rozumie?

– Jasne. Sekretarce komendanta milicji nie odmówią w aptecę takiego drobiazgu.

– Obiecali, że jeżeli uda mi się kupić więcej tego perhydrolu, to poza kolejką uczeszą mnie w trapez. Pan wie, to ta fryzura, której opis sierżant Chrzanowski dostał z Paryża.

– Aha – domyślił się porucznik – rzeczywiście, fryzjerzy mają trudności ze zdobyciem takiej ilości wody utlenionej, jaka jest potrzebna dla ich klientek. Czytałem o tym kiedyś w „Trybunie Mazowieckiej”.

– Dostają, ale bardzo małe przydziały. Klientki muszą przychodzić z własnym perhydrolem.

– Rozumiem. Wyskoczyła pani do apteki, a tymczasem telefonu pilnował ktoś inny. To na pewno było wówczas, kiedy stary i jego zastępca pojechali na konferencję do przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej. Przypominam sobie, że tego dnia żaden z nich już nie wrócił do komendy.

– Tak. To było już po trzeciej. Prawie wszyscy wyszli. Zostali tylko ci funkcjonariusze, którzy mieli tego dnia dyżur. Nie mogłam nikogo znaleźć, kto by mógł posiedzieć zamiast mnie kilka minut w sekretariacie.

– Trzeba było zostawić kogoś znajomego... – porucznik ułatwiał dziewczynie przyznanie się do małego wykroczenia służbowego.

– Właśnie tak zrobiłam. Ona sama zaofiarowała się, że przez ten czas będzie odbierała za mnie telefony. Nie było mnie w pokoju najwyżej dziesięć minut, bo do apteki stąd przecież niedaleko. Kiedy wróciłam, powiedziała mi, że nikt nie dzwonił.

– Pewnie zapomniała, ucieszona tym, że udało się pani zdobyć perhydrol. Dużo sprzedali w aptecce?

– Chciałam chociaż litr, ale magister powiedział, że nie może. Że da więcej z następnego transportu. Ale pół butelki przyniosłam.



Oni by nawet kropli nie dostali – chwaliła się Ela.

– To dobrze – porucznik miał wyraźnie zadowoloną minę – że pani szczerze opowiedziała mi, jak to było z tym telefonem. Teraz, kiedy znam całą prawdę, porozmawiam z ogrodnikiem i przekonam go, żeby wycofał tę głupią skargę. Dużo stracił? Kilka szybek za jakieś 100, no, może 200 złotych. Nie odczuł tej straty. Za same goździki bierze miesięcznie więcej niż 15 tysięcy. Co trzeci dzień duże ich partie dostawia samochodem do warszawskich kwaciarni. A nowalijki, pomidory? Jeszcze robi hałas o trochę szkła. Gdyby się upierał, postaram się załatwić mu w geesie przydział szkła na inspektę. Na pewno uzna to za lepszy interes niż satysfakcję, że któryś z naszych pracowników dostał naganę od starego.

– Jest pan niesłychanie miły, poruczniku, i bardzo panu dziękuję. Gdyby ta sprawa trafiła do innego oficera, miałabym za swoje! Major nie puściłby tego płazem.

– No i co nowego? – tym pytaniem powitał komendant dwóch swoich pracowników, którzy zameldowali się u niego w sprawie człowieka z blizną. – Jak tam dedukcja?

– Skończona, obywatelu majorze – sierżant jak zwykle był służbiście i nawet kiedy siedział, wydawało się, że siedzi na baczność, skoro przyszło mu zdawać relację swojemu zwierzchnikowi.

– Jak to skończona?

– Panie majorze – trochę uroczyście rozpoczął Lewandowski – właśnie skończyliśmy dochodzenie. Przyznaję szczerze, że nie ma w tym zbyt wiele mojej zasługi. To głównie sierżant Chrzanowski doprowadził sprawę do końca.

– Co?! Wiecie, kim jest człowiek z blizną?! Mówicie o tym tak spokojnie?

– Tak jest. Sierżant wie przynajmniej od dwóch tygodni. Tylko jeszcze szukał dowodów. Teraz już je mamy.

– Słuchajcie, Lewandowski, przestańcie wreszcie mnie denerwować. Mówcie!

– Niech lepiej mówi starszy sierżant. Moja rola była tu bardzo skromna.

Czuło się, że cierpliwość majora jest na wyczerpaniu. Spojrzał na Chrzanowskiego.

– Gadaj wreszcie!

– Tak jest, obywatelu majorze. Kiedy obywatel major pozwolił mi na zajmowanie się tą sprawą, od razu wiedziałem, że to coś dla człowieka z doświadczeniem. Takiego, co zna życie i kobiety.

– Kobiety?

– Tak. Kobiety w tej historii odegrały decydującą rolę. Czułem, że potrafię rozwiązać tę zagadkę. Przecież z niejednego pieca chleb się jadło. A te dwadzieścia kilka lat pracy w milicji też swoje zrobiło. Zetknął się człowiek przez ten czas z wieloma sprawami.

– Wiem, wiem – przytaknął komendant – wy, Chrzanowski, należycie do starej gwardii MO.

– Dlatego nie bałem się, jak inni, sprawy człowieka z blizną. Kiedy po raz pierwszy przeczytałem te akta, zrozumiałem, że w nich samych tkwi rozwiązanie zagadki. Szukałem go nieustannie, powracając aż do znudzenia do zeznań świadków i okoliczności. Ale dzięki temu udało mi się najpierw ustalić, że drugi bandyta jest przebraną kobietą. Gdybym nie miał pomocy, przewróciłbym się w końcu na tej sprawie. Nie odkryłbym niczego. Po prostu zabrakło mi, obywatelu majorze, wykształcenia fachowego. Dla człowieka, który przed 12 laty ukończył sześciomiesięczny kurs podoficerski i później tylko sporadycznie był douczony, nowoczesne dochodzenie jest zadaniem ponad siły.

Major doskonale rozumiał trudności podoficera. Ba! Z góry je przecież przewidywał, zezwalając Chrzanowskiemu na udział w dochodzeniu. Nie chciał jednak odbierać temu zasłużonemu pracownikowi aparatu bodaj ostatniej szansy wyróżnienia się czymś większym niż prowadzenie posterunku w Dąbrowie Zakościelnej.

– Wiele pomógł mi porucznik Lewandowski. Myślę, że nie obrazi się na mnie, jeżeli powiem, iż rozpoczął to dochodzenie bez ochoty. Był na taką sprawę za młody i za mało doświadczony życiowo. Za to miał, czego mnie brakowało, wiedzę fachową. Poza tym dopomógł mi przypadek. W teatrze, dzięki uprzejmości Henryka Letyńskiego, dowiedziałem się, że zrobienie takiej blizny na czole nie jest wielką sztuką. To spostrzeżenie obaliło podstawowe założenie naszego dochodzenia: poszukiwania człowieka ze znakiem szczególnym. Teraz okazało się, że bandytą może być każdy

mieszkaniec Ciechanowa, pod jednym warunkiem...

– Jakim? – przerwał major zaintrygowany słowami sierżanta.

– Pod warunkiem, że doskonale wie o wszystkim, co się dzieje w naszym mieście, nie wyłączając wiadomości z gmachu Komendy Powiatowej MO. Kiedy to zrozumiałem, reszta okazała się dziecinnie łatwa.

– Wy, Chrzanowski, chcecie mnie dzisiaj doprowadzić do załamu serca...

– Tak jest, obywatelu majorze! To jest nie... – płatał się biedny sierżant. – Wcale nie pragnę choroby obywatela majora. Tylko zwracam uwagę, że kluczem do tej zagadki było znalezienie odpowiedzi na pytanie: jak to się dzieje, że człowiek z blizną wie o wszystkich tajemnicach Ciechanowa, a także komendy milicji?

– Rzeczywiście wiedział – mruknął major.

– Postanowiłem sporządzić listę takich osób. Jakiś oficer w naszej komendzie? Nie, bo byłoby mu trudno uzyskiwać wiadomości z banków, cukrowni i poczty. Ksiądz prałat lub któryś z jego wikariuszy? Nonsens, bo do spowiedzi chodzą jedynie praktykujący katolicy; zresztą nie wszyscy do jednego księdza. W ten sposób wyeliminowałem kolejno: kelnerów w konsumie, pracowników PKO, listonoszy i innych urzędników pocztowych oraz pracowników cukrowni. Każdy z tych ludzi mógł zebrać dużo wiadomości, ale nie taki komplet, jakim rozporządzali nasi bandyci. W końcu zostały mi tylko dwa zawody.

- Jakie? Mówicie samymi zagadkami.
- Pokazuję, obywatelu majorze, w jaki sposób wydedukowałem, kto jest przestępcą. Wiedziałem już, że to może być albo sprzedawca, albo ktoś w tym dużym SAM-ie.
- Dlaczego?
- Do SAM-u przychodzą właściwie wszyscy mieszkańcy. Kupują tutaj i milicjanci, i ci z cukrowni, i z poczty, i z PKO. SAM odwiedzają wszyscy przyjezdni. Każdy, kto z wioski przyjedzie do Ciechanowa, zawsze tutaj zajrzy. Kierowniczka sklepu w rozmowie ze mną powiedziała, że nawet nie mam wyobrażenia, czego to ludzie, z okazji zakupów, nie naopowiadają jej i ekspedientkom.
- To racja – przyznał komendant.
- A jednak SAM odrzuciłem. Nie dlatego, że nikt z jego pracowników, łącznie z kierowniczką i kasjerką, nie pasował do fizycznego obrazu któregoś z bandytów. Wyeliminowałem ich dlatego, że wiadomości tych ludzi dotyczące milicji mogły być wyłącznie fragmentaryczne. A bandyta wiedział doskonale, co się dzieje i co się mówi w tym gmachu. Poza tym nikt z pracowników SAM-u nie mógł wejść tutaj i wypełnić przekazu pocztowego na maszynie stojącej w sekretariacie.
- Tak. To wykluczone.
- Pozostał więc tylko jeden zawód, który zawsze wie o wszystkim.
- Ja was... – mruknął zirytowany major.

– Fryzjer, obywatelu majorze – szybko powiedział sierżant, przęcąc się na swoim krześle.

– Fryzjer? Karol?

– Tak jest, obywatelu majorze. Czy pan komendant, siedząc w dziale męskim u fryzjera, słyszał, co kobiety wygadują przy czesaniu? Najintymniejsze tajemnice, których żadna z nich nie powiedziałyby ani mężowi, ani matce, ani księdzu na spowiedzi, tutaj wypaple w pięć minut. A jeżeli jeszcze ten fryzjer będzie chciał się czegoś dowiedzieć, to od klientki wyciągnie wszelkie informacje. A przecież u Karola czesały się wszystkie nasze milicjantki i żony milicjantów.

– Moja żona też.. – major był nieco speszony.

– I żona zastępcy obywatela majora – dodał z pewną satysfakcją Chrzanowski – a także panie kapitanowe. A poza tym żona przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej, żona i córka naczelnika poczty, urzędniczki z PKO, żona...

– Wyście, sierżancie, tym swoim trapezem też Karolowi napędzili klientek...

– Nie chodzi tylko o klientki. Piękna Halinka strzygła i goliła mężczyzn. Kobiety nie mają wyłączności na długi język i łatwość zdradzania tajemnic. Ta dziewczyna, strzelając oczyma, potrafiła wycisnąć z chłopców potrzebne jej wiadomości.

W tym momencie porucznik Lewandowski zrobił się tak czerwony, iż wydawało się, że lada chwila krew tryśnie mu z policzków. Szczęściem dla niego major patrzył na sierżanta, dalej referującego skutki swojej dedukcji.

– Kiedy już uściśliłem, że tylko Karol może być człowiekiem z bliźną, nagle wszystko zaczęło mi się zgadzać, jak w pasjansie, który wychodzi. Karol często się chwalił, że uczył się zawodu przy placu Teatralnym w Warszawie, u słynnego Ewarysta, u którego cesały się sławne aktorki. Taki fryzjer musiał doskonale znać się na sztuce charakteryzacji. Zresztą, jak powiedział mi pan Letyński, Ewaryst zaczynał karierę właśnie jako charakteryzator w Teatrze Narodowym. Uczeń takiego fryzjera dobrze wiedział, jak się robi bliźnę na czole. Taką samą, jaką widziałem w sztuce Aleksandra Fredry *Dwie bliźny*. A peruka nie mogła być dla Karola problemem.

– To jasne.

– Teraz jednak trzeba znaleźć dowody, które potwierdziłyby moją hipotezę. Karol często wspominał, że niedługo sprzeda swój zakład i przeniesie się do Zakopanego, bo mu nasz klimat nie służy. Mam pod Giewontem starego kumpla. Kiedyś służyliśmy razem w milicji, a dzisiaj jest on kierownikiem domu wczasowego. Napisałem do niego i dostałem odpowiedź, że na imię małżonków Karola i Haliny Przałkowskich buduje się na Parcelach Urzędniczych piękna willa.

– Oni są małżeństwem?

– Od trzech lat, to znaczy odkąd Halinka zjawiała się w Ciechanowie – wyjaśnił sierżant. – Zbadałem w Warszawie, w aktach stanu cywilnego. Pomimo sporych zarobków, bo zakład Karola dobrze prosperuje, koszt budowy takiej luksusowej willi znacznie przewyższa dochody państwa Przałkowskich. Niemniej nadal była to

poszlaka, a nie dowód winy. Ale i ten znaleźliśmy razem z porucznikiem Lewandowskim.

– Jaki?

– Włamaliśmy się ubiegłej nocy do komórki Karola, tam, gdzie trzyma swój motocykl. Obejrzelśmy go dokładnie. Wszystko się zgadza.

– Dowiaduję się coraz bardziej interesujących rzeczy – komendant załamał ręce. – Moi ludzie włamywaczami!

Ale w tej uwadze sierżant wyczuł ton rozgrzeszenia, więc kontynuował swoją opowieść.

– Porucznik Lewandowski okazał się pojętym włamywaczem, bo nie stracił więcej niż kilka sekund na otworenie grubej kłódki. Ja bym musiał chyba ukręcać ją łomem... W komórcie Karola znaleźliśmy motocykl z taką samą oponą, poza tym ten motocykl ma wmontowaną specjalną dźwignię do obracania tabliczki z numerem rejestracyjnym. Z jednej strony jest numer, z drugiej czarna tabliczka, na której można kredą lub farbą napisać, co się żywnie podoba. Jeden ruch przekładni i numer jest zmieniony nawet w czasie biegu motoru. Te dowody są chyba wystarczające. Resztę, mam nadzieję, uzupełni rewizja u bandytów.

– Tak, to jest przekonujące – zgodził się major – ale nie wyjaśniliście jeszcze, w jaki sposób Karol mógł napisać przekaz na mojej maszynie...

– O, to głupstwo – szybko wtrącił Lewandowski – nie on pisał, ale piękna Halinka. Zna przecież wszystkich pracowników milicji.



Większość z nich usiłowała flirtować z przystojną dziewczyną. Nie-raz pod różnymi blahymi powodami przychodziła do gmachu komendy. Sam ją tu często widywałem. Znalazła odpowiedni moment, choćby wtedy, kiedy sekretarka nosiła do majora papiery do podpisu. Wypełnienie blankietu nie trwa długo. Nawet jeżeli ktoś zobaczył ją przy maszynie, był pewien, że to panna Ela pozwoliła jej coś napisać.

– Macie rację, poruczniku. Przypominam sobie, że kiedyś Ha-linka i mnie wspominała podczas strzyżenia, że ma coś do napisania na maszynie. Bodajże sam jej poradziłem, żeby porozumiała się z Elą i dała jej do napisania lub też sama wystukała. Potem zupełnie wyleciało mi to z głowy.

– Na pewno tak było – potwierdził porucznik, zadowolony, że udało mu się ukryć drobne przewinienie sympatycznej koleżanki.

– A więc, panowie – zakończył major – przystępujcie do ostatniego aktu dramatu, aresztowania przestępców. Proszę jednak zrobić to szybko i zręcznie. Nie zapominajcie, że mają broń i niewiele do stracenia, ale... Dlaczego oni zabili tę Michalakową? Jedyne ich śmiertelne ofiara...

– To proste – odpowiedział sierżant. – Ta kobieta na tydzień przed napadem była w Ciechanowie. Odwiedziła SAM, załatwiła swoje urzędowe sprawy i wstąpiła do fryzjera. Właśnie do Karola, który zapewne od niej samej dowiedział się, że w sklepie jest dużo gotówki. Michalakową miała doskonały słuch. Śpiewała przez wiele lat w chórze, solo w kościele i na różnych akademiach. Taka

artystka-amatorka, bardzo muzykalna, z niezłym głosem i bez żadnej szkoły. Kiedy zamaskowany bandyta kazał jej oddać pieniądze, natchmiast poznała go po głosie i zdradziła się z tym, iż wie, kim on jest. Wyraz ogromnego zdziwienia, że fryzjer jest człowiekiem z blizną, zastygł nawet na jej twarzy. Karol zrozumiał, że jest zdemaskowany, i bez namysłu strzelił.

W dwie godziny po konferencji u majora bandyci byli pod kluczem. Szczegółowa rewizja ujawniła dwa pistolety, zapas naboju oraz czarną maskę. Czarnych pończoch także nie brakło w garderobie pięknej Halinki.

Był późny wieczór. Mężczyzna w zniszczonym milicyjnym mundurze siedział za stołem. Półgłosem czytał: *trapez równoramienny ma podstawy a i b, a większe od b...*

– Kacperek – zawołał przerywając naukę.

Kapral wyszedł z sąsiedniego pomieszczenia.

– Słucham, komendancie.

– Kacperek, mam tu takie cholernie trudne zadanie. Kiedyś już tłumaczyliście mi je, ale czy ja w ostatnich czasach miałem głowę, żeby to zapamiętać? Powtórzcie jeszcze raz, bo matura za pasem. A wiecie, że muszę zdać. Major obiecał, że jeżeli zrobię maturę, skieruje mnie na trzyletni kurs oficerski do Szczytna...

## Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY	
<i>Lekcja matematyki</i>	5
ROZDZIAŁ DRUGI	
<i>Na miejscu zbrodni</i>	18
ROZDZIAŁ TRZECI	
<i>To był diabeł</i>	31
ROZDZIAŁ CZWARTY	
<i>Uczesanie w trapez</i>	48
ROZDZIAŁ PIĄTY	
<i>Starszy sierżant rozpoczyna dochodzenie ....</i>	72
ROZDZIAŁ SZÓSTY	
<i>Znowu napad!</i>	88
ROZDZIAŁ SIÓDMY	
<i>Wizyta na plebanii</i>	104
ROZDZIAŁ ÓSMY	
<i>Spotkanie w „Jagiellonce”</i>	118
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	
<i>„Wsypa” porucznika Lewandowskiego</i>	135

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	
<i>Zwierzyna i myśliwy</i>	153
ROZDZIAŁ JEDENASTY	
<i>Dwie blizny</i>	170
ROZDZIAŁ DWUNASTY	
<i>W potrzasku</i>	189
ROZDZIAŁ TRZYNASTY	
<i>Tomcio Paluch zaczyna śpiewać</i>	203
ROZDZIAŁ CZTERNASTY	
<i>Kapitan Żwirski wkracza do akcji</i>	221
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY	
<i>Człowiek bez blizny</i>	234